

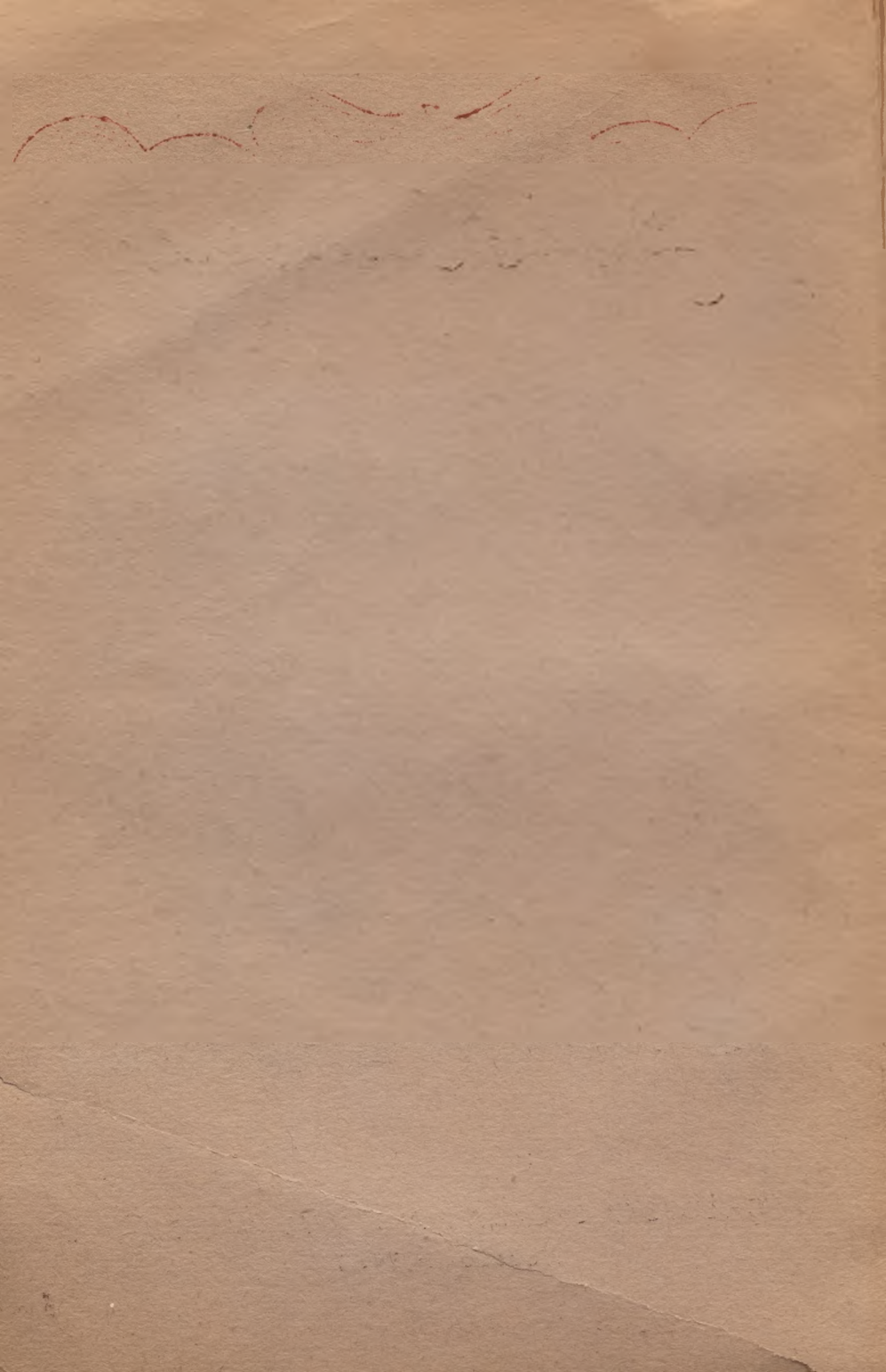
Josef Konneriowski

KOLLOKACJA



CHŁOPSKA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Warszawa 1946



KOLLOKACJA

220
8 2.47

BIBLIOTEKA P O W S Z E C H N A

ARTYKUŁY

JOZEF KORZENIOWSKI

KOLLOKACJA

CHŁOPSKA SPÓLDZIELNIA WYDAWNICZA
WARSZAWA 1946

DRUKARNIA Nr 2 CHŁOPSKIEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
w WARSZAWIE, ul. CHMIELNA Nr 25 -- B-11406

I.

Było to w roku 1838 — albo: podczas jednego pięknego poranku w maju — albo: w jednej z najrozkoszniejszych okolic Podola lub Polesia. albo: właśnie słońce miało się ku zachodowi, gdy... itd.

Tym sposobem zaczynają się zwykle powieści tkliwe, za bawne lub pouczające. Pozwolą mi jednak czytelnicy odstąpić od tych przyjętych form i zacząć od rzeczy najbardziej krajowej, najbardziej charakteryzującej naszą żyzną prowincję w pewnych porach roku, to jest: od błota.

Otóż błoto było ogromne, jak zwykle bywa na Wołyniu w połowie października. Koleje pełne gęstej i brudnej wody nie pozwalały wymierzyć swej głębokości; po czarnej i rozmięklej ziemi błyszcząły tu i ówdzie jeziorka na trawie i nawet na polach, przygotowanych do wiosennej siewby; we wsiach wszystkie płoty były obryzgane, wszystkie karczmy wyglądały pstrokato; wszędzie ludzie, dochodzący do wrót lub do drzwi domów, podkasani jak najwyżej, z zabłoconymi nogami, ślizgali się i grzęźli; jeżeli kto jechał, to jechał stępo, i leniwemu postępowi jego towarzyszyła muzyka kopyt końskich, klapiących o rzadkie błoto lub topiących się w rozmięklej ziemi, wcale różna od tego odgłosu, jaki wydawał koń Farysa, gdy lotną swą nóżkę w głębokim piasku zanurzał.

W takim była stanie piękna w innej porze okolica starokonstantynowskiego ¹⁾ powiatu; żyzna, wzgórkowata, ozdobiona przesłicznymi laskami, które teraz nie zieleniły się, nie rzu-

1) *Stary Konstantynów*: miasto na Wołyniu, nad rzeką Słuczą.

cały rozkosznych cieni, ale, obnażone z liści, stały spokojnie na wzgórzach jak szkielety gajów i klombów.

Niebo jednakże było czyste i, jak to się czasem zdarza w połowie października 1), słońce świeciło jasno, tym blaskiem melancholicznym, tak podobnym do ostatniego uśmiechu, którym od dalający się przyjaciel żegna przyjaciela, lub odjeżdżający w daleką drogę syn żegna rodziców i krewnych stojących na ganku i przesyłających mu ostatnie pocałowanie.

O cztery mile od Starego Konstantynowa na lewo ugrzązł na drodze w kałuży wielkiej i głębokiej kocz otwarty, w którym były dwie kobiety. Jedna, już niemłoda, brzydka, ale ubrana z przesadą i kokieteryą, zżymała się i łajała furmana łamanym polskim językiem, druga, mająca nie więcej jak lat osiemnaście lub dziewiętnaście, w eleganckim kapeluszu, w materialnej salopie, strzelała wokoło czarnymi oczyma, śmiała się do rozpuku i z swojej przygody, i z gniewu towarzyszkii, i poprawiała białą i wąską rączką pukle czarnych włosów, które się wydobywały spod kapelusza i ocieniały twarz jej, trochę śniadą, ale pełną czerstwości i ognia.

Furman i lokaj, grzęznąc w błocie, starali się pomóc koniom i podnieść cokolwiek kocz, ale w żaden sposób z miejsca ruszyć go nie mogli. Ich ładna liberia, ich ręce i twarze, wszystko było obryzżane i zalane. Zmęczeni nareszcie i zdesperowani, sami nie wiedzieli, co począć.

— Żeby jaki chłop nadjechał z drączkiem 2) — rzekł Maciej furman, obcierając rękawem twarz i rozmazując jeszcze gorzej błoto, z wielką pociechą panny Kamilli.

— Kto tera jeździ, co ma rozum? — odpowiedział lokaj Ignacy z gniewem i ofuknieniem.

— Słyszysz, Belciu, co on mówi? — rzekła panna Kamilla do panny Beldeau 3), swojej guwernantki 4), którą przez skrócenie i w poufalości panny na wydaniu, a może i przez kontrast jej szpetności, Belcią nazywała.

1) *Oktober*: październik.

2) *Drączek*: drążek, drążki = wóz

3) *Beldeau*: czytaj Beldo.

4) *Guwernantka*: wychowawczyni, nauczycielka domowa

— Bo ma rację — odpowiedziała Francuzica z okropnym grymasem. — Zachciało ci się tej wizyty nie wiedzieć po co: teraz wrócim do domu piechotą po kolana w błocie, *Fi! quel vilain pays!*¹⁾

— Widzisz, Belciu, jakaś niewdzięczna! Nie byłabyś widziała pana Kazimierza, który nie mógł się napatrzeć na twoje kolczyki i tak admirował twój łańcuch.

Uśmiechnęła się guwernantka i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

— Ignacy! — zawołała panna Kamilla — wszak to Szyszkowce widać.

— A rozumie się, że Szyszkowce — odpowiedział ruszając ramionami.

— O! to nie ma czego desperować, moja Beluniu! Wszak tu nie więcej jak ćwierć mili do domu. Przez ten wzgórek musi być sucho; słońce świeci tak jasno, możemy pójść i piechotą.

— Co panna mówi? — rzekł Ignacy. — Za tym wzgórkim zaraz staw i bagno po szyję.

— O! ja nieszczęśliwa — krzyknęła panna Beldeau. — Widzicie, jak wy głupca zajechała, *quel gens, mon Dieu! oh! le maudit pays!*²⁾

— Ale doprawdy, Ignacy, cóż my robić będziemy? — zapytała panna Kamilla.

— A cóż? będziemy czekać; może się te bestie namyśla i wezmą razem, jak odpoczną.

— A jak się nie namyśla? — rzekła uśmiechając się figlarnie.

— To będziemy czekać, póki kto nie nadjedzie.

— A jak nie nadjedzie? — mówiła znowu panienska; — i ja myślę, że tak będzie. boś sam powiedział, że teraz nikt rozumny nie jeździ.

1) *Fi, quel vilain pays:* Płe, co za szkaradny kraj!

2) *Quel gens, mon Dieu! Oh! le maudit pays!* Co za ludzie, mój Boże. oh! przeklęty kraj!

— A cóż, to wtenczas wsiądę na konia i pojedę do domu po insze konie.

— Czy nie lepiej by od tego zacząć, panie Ignacy, jak myślisz? — rzekła opierając na dłoni piękną swą twarzyczkę.

— Jeśli panna każe, to pojedę zaraz. Macieju, odprzeż ślepego.

— Aha! żeby cię zrzucił, mazgaju! Lepiej siadaj na biało nóżkę; a i na tym trzymaj się dobrze, bo to wy. kredensowa piechota, nie umiecie się obchodzić z koniem.

Tak mruczał wąsaty furman i zabierał się odprzeżać dyszlowego konia, odgartując biczyskiem błoto z pasów i sztelwagi. ¹⁾ Panna Kamilla uśmiechnęła się patrząc na tę pogardę furmana dla lokaja. Gdyby była więcej znała świat, wiedziałaby o tym, że na różnych szczeblach społeczności bywa to samo; różnica tylko w dowcipie drwinek i formie liberii. Gdy tak Maciej krzątał się i kłął wizyty w październiku, obie kobiety oparły się w otwartym koczku, patrzyły jedna na prawo, druga na lewo.

Na lewo były Szyszkowce, wielka wieś prezesa Zagartowskiego, ojca panny Kamilli; na prawo, w rozkwierającej się coraz dolinie, rozciągały się Czaplince, wieś ogromna i wielu licząca dziedziców. Należała ona niegdyś do możnej rodziny hrabiowskiej S., a później, przez eksdywizję ²⁾ rozdzielona na wiele części, stała się rzeczpospolitą kollokacyjną ³⁾, pełną instryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partii itd., słowem, pełną tego wszystkiego w małych wymiarach, co bywa w każdej rzeczpospolitej na wielką skalę.

O kroków dwieście od tego miejsca, gdzie stał w błocie kocz panny Kamilli, zawracała się na prawo szeroka droga do Czaplinek, i widać było, jak, rzędem wierzb wysadzona, ciągnęła się przez wieś całą. Tu i owdzie, na prawo i na lewo drogi

¹⁾ *Sztelwaga*: drewno w poprzek na dyszlu, przy którym są przytwierdzone orczyki.

²⁾ *Eksdywizja*: podział majątku ziemskiego na części między wierzycieli.

³⁾ *Wsia szlachecka*, podzielona na części należące do różnych właścicieli.

sterczały kominy dworów i dworków okrążonych, ten ogrodem ten zabudowaniami gospodarskimi. Wiedziała o tym panna Kamilla, że ojciec jej, który był wielbicielem pruskiej metody zakrąglania, miał wielki pociąg do Czaplinc i używał wszelkich sposobów i intryg, aby tą wsią zawładnąć, bo grunta jej wchodziły długim pasem w jego łany i przerzynały najkrótszą komunikację między Szyszkowcami a innymi wsiami prezesa, które poza tą wsią leżały i już po obu stronach obejmowały ją dławiącymi ramionami. Wszakże panna Kamilla żadnego z tych dziedziców nie знаła, ledwie parę ich nazwisk obito się o jej uszy, a przez wieś samą przejeżdżała tylko kilka razy. Teraz, gdy siedziała i patrzyła, zastanawiała ją, nie wiedzieć dlaczego, wierzby nagie, długim szeregiem rozciągnięte dworki i domki, w które myślą wchodziła i wyobrażała sobie ich mieszkańców; ale nade wszystko zastanowił ją dym wychodzący jasnym słupem z komina jednego z najpokaźniejszych dworków, który w środku wsi z prawej strony drogi leżał, czysto wyglądał, miał przy bramie wysokie topole, z tyłu jakby ogród czy lasek, a z boku obszerne zabudowania gospodarskie. Im wyżej podnosił się ów biały słup w powietrze, tym przezroczyściej się stawał, tym rozmaitsze przybierał formy; a przyjmując w siebie żywe promienie jesienno-ego słońca, rozlicznymi ozdabiał się kolorami. Panna Kamilla z próżnowania zapewne i z nudów wpatrzyła się w tę żywą i ruchawą kolumnę, zamysliła się i zaczęła marzyć. Tymczasem koń już był odprężony, Ignacy z niezgrabnością, z której ironicznie uśmiechał się Maciej, miał już wsiadać, gdy nagle z tyłu dał się słyszeć łoskot z bicia.

— Ot, zaczekaj — rzekł Maciej — ktoś jedzie, to może prędzej da nam radę niż ty. Ty tam gdzie zlecisz w błoto, i będziemy czekać do wieczora. — To powędziawszy wziął konia za cugle i znowu go przykładał do dyszla. Tymczasem uderzenia z bicia powtarzały się i powóz się przybliżał. Gdy już był niezbyt daleko, rzekł Maciej, kiwając głową:

— Diabła by zjadł, klusem jedzie; musi mieć tęgie konie.

— Albo lekką bryczkę — dodał Ignacy. — To my tylko po błocie takimi powozami jeździmy.

W rzeczy samej była to nietyczanka ¹⁾, zgrabna i leciutka, cztery konie dzielne, choć niewielkie. Poganiał je chłopak młody i żwawy; a im bardziej przybliżał się do stojącego powozu tym głośniej wołał: hou! i tym silniej wał z bicia. W nietyczance siedział młody człowiek pięknej i męskiej twarzy, z ładnymi włosami blond, w ciepłym tużurku zapiętym pod szyję spod którego widać było jego wzrost wysoki, silną budowę i zgrabną figurę. Czapka aksamitna nakrywała gęste i jasne włosy, brwi ciemniejsze zaginały się pod białym i szerokim czołem, a rzęsy jeszcze ciemniejsze ocieniały oczy duże, błękitne, śmiałe i spokojne. Obok niego sterczała strzelba, a piękny legawiec z ogromnymi kasztanowatymi uszami, wsparty przed nią łapą na wasążku, bystro i ciekawie patrzył ku powozowi.

Droga była szeroka, tak, że dwa powozy wygodnie wyminać się mogły. Wjechała i nietyczanka śmiało w kałużę, ale gdy się zrównała z koczem, gdy pan Józef Starzycki (bo czemuż nie mamy go nazwać od razu) postrzegł dwie panie w tak krytycznym położeniu, krzyknął na swego chłopaka: — Stój! — Zatrzymał Michaś konie, które się otrzęsły, zadzwoniwszy kolkami krakowskich chomat, i wyciągając głowy naprzód i szczerząc zęby, folgowały sobie zbyt ściągnięte cugle. Wtenczas pan Józef, obracając się do panny Kamilli, zdjął czapeczkę, błysnął szerokim i białym czołem, które ślicznie odbijało się od ogorzałej cokolwiek twarzy, i zapytał:

— Czy panie potrzebują pomocy?

— Stoimy tu od godziny i nie możemy ruszyć — odpowiedziała panna Kamilla z uśmiechem, pełnym słodyczy, i obrzuciła wzrokiem pięknego młodzieńca.

— Niech wielmożny pan pozwoli swemu chłopakowi, aby pomógł podjąć cokolwiek kocz, a może ruszę z miejsca. Diabli by wzięli tę szlachtę z Czapl niec! Nie naprawiają drogi.

Uśmiechnął się na te słowa pan Józef, i wzięwszy lice z rąk Michasia, kazał mu pomagać.

¹⁾ *Nietyczanka*: także najtyczanka albo najdyczanka. rodzaj bryczki

Tymczasem panna Kamilla, odgarniając pod kapelusz lokl, które twarz jej zasłaniały, rzekła:

— Mamy dom obok, a nie możemy się do niego dostać.

— Pan'e stąd niedaleko mieszkają?

— Oto jest mieszkanie mego ojca — odpowiedziała, ukazując na Szyszkowce.

Na te słowa, nie wiedzieć dlaczego, żywy rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa. Panna Kamilla postrzegła to, i także nie wiedzieć dlaczego, spuściła oczy, a panna Beldeau, patrząc na przystojnego młodzieńca, także nie wiedzieć dlaczego zaśmiała się i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

Wszakże wszelkie usiłowania ludzi nie pomogły; konie licowe szarpnęły i zaczęły skakać, czując ciężar nad siły, dyszlowe spierały się nazad, i jakiś upór je opanował. Nie brały razem, i dlatego powóz został na miejscu.

— Słuchaj no, kochanku! — rzekł pan Józef do Macieja. — wypręż ty swoje konie, zostaw tylko licowe, na które wsiądzie mój chłopak, do dyszła załóżcie moje, to wyjedziecie. A pan'e dobrze by zrobiły, żeby przeszły do mojej nietyczanki. Nie dlatego — dodał z uśmiechem — aby ciężar był wielki, ale że szarpnięcie może być za silne i furman z próżnym koczem będzie śmielszy.

— O co to, to wielmożny pan doskonale powiedział, dali bóg że prawda. Żeby tam panienki nie było, jakieśmy wleźli w tę jamę, byłbym i swoimi wyjechał, choćby na złamanie szyi. A dałżebym im bestiom hartu! — rzekł Maciej, złącząc z kozłami biorąc się do odprężania dyszlowych koni.

— Ale jakże my się dostaniemy do pańskiego powozu? — rzekła śmiejąc się panna Kamilla. — Belciul idź ty naprzód, obaczę jak tam głęboko.

— Ach! mon Dieu! mon Dieu!¹⁾ — zawołała z grymasem Francuzica. — Czyż ty chcesz, żebym utonęła w błocie? — Zaśmiała się na te słowa panna Kamilla głośno, ple-

1) *Mon Dieu*: Mój Boże

szczęc rękami, a pan Józef, słysząc ten głos czysty i wdzięczny, patrząc na te ruchy pełne gracji i żywości, zamyślił się, i po chwili, odsuwając swego legawca i ukazując mu miejsce na koźle, co Amor natychmiast wykonał, oddał lice kozakowi, a sam wyskoczył z bryczki, i w kilku susach był obok koczka.

— Nie ma innego środka, jak panie przenieść — rzekł i chciał drzwiczki otworzyć. — Czy pani się zrezygnuje? — Zaczzerwieniła się jak róża panna Kamilla; spojrzała bystro na młodzieńca, który z niej nie spuszczał oczu, i zapytała:

— Czy innego środka nie ma?

— Zdaje mi się — odpowiedział młodzieniec, którego oczy zaiskrzyły się od radości.

— Ignacy, przenieście mnie na bryczkę tego pana — rzekła panna Kamilla.

Przystąpił Ignacy i podniósł ku niej ręce czarne i błyszczące lawą błota, która ciekła po rękawach i za rękawy, i w szerokich kałużach stała na jego płaszczu. Na ten widok parsknęła od śmiechu panna Kamilla, cofnęła się w głąb koczka ze wstrętem i zawołała:

— Belc'u, niech on ciebie przeniesie.

— Fi, fi! — krzyknęła Francuzica — nieznośna Kamillciu! czyż ty masz sumienie?

W rzeczy samej to nie podobna — rzekł pan Józef. — Ten biedny człowiek okropnie wygląda. Raczej panie przyjąć moją usługę. Jestem silny i cokolwiek czystszy od niego.

— Cóż mam robić, pan zamoczy nogi... nie czas certować się. Bierz pan — dodała z niewypowiedzianym wdziękiem i wyciągnęła ku niemu ręce.

— Michaś, trzymaj konie — krzyknął pan Józef, otworzył drzwiczki i wziął na ręce wyniosłą, zgrabną i lekką panienkę. Ona objęła jego szyję drżącą ręką i już nie śmiała się, bo czuła, jak ją tulił silnym ramieniem, jak stąpał ostrożnie, aby żadna kropla na nią nie bryznęła, jak szedł zwolna może dlatego, aby dłużej nieść tak miły ciężar, jak ją wsadzał delikatnie, aby jej nóżka nie dotknęła nawet zabryzganego wasążka. Gdy już usiadła, spojrzała nań z wdzięcznością, i w tym wejrzeniu jej

czarnych, słicznych oczu wypisało się może nawet więcej, niż chciała.

Wrócił pan Józef znowu do kocza i przeniósł także pannę Beldeau, która z dziwnymi umizgami i minoderią ¹⁾ sadowiła się w jego objęcia. Tak więc obie znalazły się niespodziewanie w bryczce młodego podróżnego, który stanął na stopniu i usiadł z boku na wasażku. Nim przeprężono konie i wydobyto powóz, co potrwało blisko pół godziny, panna Kamilla, chcąc zacząć rozmowę, a może dowiedzieć się czegoś, skąd dokąd jedzie, rzekła:

— Jakiego pan masz pięknego psa. — Amor, leżąc na kole i spuściwszy głowę do środka bryczki, jakby zrozumiał, że o nim mowa, spojrział ciekawie i łagodnie w oczy panienki i zaczął podnosić ogromne swe uszy. — Jak on patrzy — dodała panna Kamilla — jakby mnie rozumiał.

— Bo w rzeczy samej rozumie — odpowiedział pan Józef. — Pies jeszcze bystrzej patrzył w oczy, to swemu panu, to pannie Kamilli.

— Ma nazwisko trochę romansowe, a razem pedanckie. Nazywa się Amor — odpowiedział czerwieniąc się pan Józef.

— On pewnie nie kasa? — rzekła panna Kamilla wyciągając rękę i głaszcząc nieśmiało piękne zwierzę. W mgnieniu oka Amor podniósł się, spuścił się delikatnie do środka bryczki, przysiadł na zadnich łapach tak, że jej nóg nie ugniótł, i położył głowę na jej kolanach. Z początku trochę przestraszona, potem uradowana panienka zaczęła go głaskać i pieścić, a pies patrzył jej w oczy i wejrzeniem pełnym wyrazu zdawał się dziękować za jej dobroć. A gdy po chwili odjęła rękę od jego głowy i przestała go karesować, zwinął się w kłębek i u nóg jej się położył.

— On pani nogi ugniecie — rzekł prędko pan Józef, rad w duszy, że pies przeniknął jego myśli.

— Bynajmniej. Pozwól mu pan tak zostać! Co to za pocziwe stworzenie! On by mnie teraz bronił, gdyby mi kto chciał

¹⁾ *Minoderia*: wdzięczenie się

krzywdę zrobić — dodała panna Kamilla patrząc dziwnie na zajmującego się widocznie młodzieńca.

— Tego możesz pani być pewna, i dziękuję pani, żeś tak taskawie przyjęła wiernego towarzysza mojej podróży.

— Pan z daleka jedzie? — zapytała.

— Jadę z Podola, gdzie mam małeńki mająteczek, dla odowiedzenia moich rodziców, dziada i babki, którzy tu mieszkają. Mam także siostrę, dobrą i kochaną, której Bóg daje męża i na której ślub śpieszę.

— O, mój Boże! Cóż to musi być za szczęście mieć brata! — rzekła panna Kamilla.

— Jest to błogosławieństwo Boga, kiedy familia liczna i zgodna — odpowiedział pan Józef.

— Pan mówiłeś, że rodzice pana mieszkają tu; gdzież to? czy daleko? — zapytała, spuszcżając oczy.

— W tej wsi, którą pani widzisz.

— W Czaplńcach?

— Tak jest — odpowiedział, czerwieniąc się.

Zywy rumieniec okrył także twarz panny Kamilli. Ale wkrótce, jakby uczuła to, że jej lice płonie, potrząsnęła głowę i z uśmiechem rzekła:

— Więc będziemy przez niejaki czas sąsiadami! Mam nadzieję, że pan zechcesz odwiedzić mego ojca. To tak blisko!

— Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan prezes pozwoli mi złożyć sobie uszanowanie.

— Czy nie jest już panu zobowiązany, żeś wyratował z biedy jego jedynaczkę? — Potem obracając się na prawo, może dla ukrycia swego pomieszania i wzruszenia radości, rzekła: — Stąd widno wiele dworów w Czaplńcach; czy też ja zgadnę, w którym pana rodzice mieszkają?

— Niech pani spróbuje — odpowiedział czując jakieś dziwne szczęście, które piersi jego zalewało.

— Patrz pan — rzekła wyciągając rączkę — w tym domu, gdzie topole koło wrót i z którego ten wysoki słup dymu wychodzi. Czy zgadłam? — dodała zwracając twarz ku niemu, i patrząc z wyrazem pełnym znaczenia.

— O, zgadłaś pani, tam urodziłem się — odpowiedział drżącym głosem, ale daleko wymowniej odpowiedział wzrokiem na jej przenikliwe wejrzenie. W czasie tej chwilowej i nie mej rozmowy ich oczu i dusze tych dwojga ludzi, które przypadkiem sprowadził, zawierały z sobą ścisłą znajomość.

Tymczasem powóz był już wyciągnięty z kałuży i konie na powrót przeprężone. Furmani siedzieli na kozłach, szło tylko o to, jak znowu damyprzeprowadzić do ich powozu, aby nie zamoczyły nówek. Panna Kamilla, z taktem właściwym kobiecie, a raczej nie chcąc pokazać rodzącej się słabości, rzekła z wdziękiem:

— Już teraz pana fatygować nie będziemy. Niech pan każe tak podjechać pod nasz powóz, żebyśmy mogły przeskoczyć niewielki przedział.

Gdy się stało, jak chciała, i drzwiczki od kocza były otwarte, naprzód panna Beldeau, stanawszy na wasażku i opierając się jedną ręką na ramieniu pana Józefa, a drugą na ramieniu Ignacego, szczęśliwie, choć nie bez grymasów i śmiechów dostała się do kocza.

— Teraz na mnie kolej — rzekła panna Kamilla — ale chciałabym się jeszcze pożegnać z pańskim towarzyszem podróży, który mnie tak gościnnie przyjął.

— Amor! — zawołał pan Józef. Powstał pies i spojrzał w oczy panu, jakby chciał dowiedzieć się, co każe:

— Poczciwy Amor! — zawołała panienska głaszcząc go. On położył znowu głowę na jej kolanach, a wdzięczna panna Kamilla, objawszy ją oboma rączkami, przyłożyła do niej zarumienioną twarz i rzekła: — Bądź zdrow, poczciwy piesku! ładnie się nazywasz. — Potem porwała się lekka i zgrabna, a zaledwie dotknawszy ręką pana Józefa, jak sarneczka przeskoczyła z bryczki do kocza.

Gdy drzwiczki były już zamknięte, a młodzieniec stał jeszcze przy powozie, jakby czekał ostatniego słowa, wyciągnęła ku niemu rękę i dodała:

— Dziękuję panu! nie zapomnę nigdy tej przysługi. —
Wziął jej rękę pan Józef, przycisnął do ust i uczuł delikatne
i parę razy powtórzone ściśnienie.

Ruszył kocz, ruszyła nietyczanka, i rozdzielili się. Jedno
pojechało na lewo, drugie na prawo, ale myśli ich były podob-
no razem.

II

Dom prezesa Zagartowskiego był obszerny, zamożny; ale jak zwykle bywa u zdobywców fortuny, wszędzie jeszcze czegoś nie dostawało: był niedobudowany, w gospodarskich budowlach niekompletny, nawet w wewnętrznym umeblowaniu nie miał tego wykończenia, tej zupełności, która zdaje się mówić już dosyć. Bo w rzeczy samej, dla prezesa, jak niegdyś dla Jezuitów, nigdy nie było dosyć. Dla niego cel był wszystkim. Dążył do niego stale i upornie, oceniał środki nie uczuciem, nie sumieniem, ale rozumem, i przyznawał każdy z nich za dobry jeżeli doprowadzał do celu prędko i skutecznie. W zewnętrznym ułożeniu miał także wiele podobieństwa: był łagodny, ujmujący, kochał dzieci, pochlebiał matkom, chętnie pożyczał na maleńki procent, ale gdy przyszedł termin, był nieubłagany. Nie był to wszakże skąpiec. Owszem, lubił wygody i dla siebie niczego nie żałował. Szczególniej jadł ogromnie, i stół jego można było uważać za najlepszy w okolicy. Ale był łakomy, zdobywczy, pragnął coraz więcej nabywać, rozszerzać się, zaokrąglać. Szyszkowce dostał po ojcu, który był kiedyś komisarzem¹⁾ w jednym z najzamożniejszych domów na Podolu. Do tej pięknej wsi przydał już pięć innych, ale jeszcze nie powiedział sobie: basta. Teraz właśnie wszystkie swe siły, wszystkie sprężyny wyteżył na Czaplince, aby kollokowaną w nich przed kilkunastu laty szlachtę skupić. Ten był cel życia, to marzenie prezesa; z tą myślą kładł się i wstawał.

1) *Komisarz*: tu rządca, administrator.

Prezes nie był wielkiego wzrostu. Gdy szedł, przechylał się na kucych nogach, bo był dość otyły. Podniesione miał plecy, krótkie ramiona i tłuste rączki, które zwykle splatał na brzuchu i kręcił młynka dwoma wielkimi palcami, przechyliwszy głowę. Była to jego zwykła poza, i że tak powiem, jego szych bojowy, zwłaszcza gdy się imał defenzywy; gdy kogo słuchał, a nie chciał odpowiedzieć; gdy co innego myślał, a co innego mówił; gdy krętą ścieżką sprowadzał ofiarę do swego celu; gdy go o co proszono, a nie chciał zadosyć uczynić; gdy mu kto ostre przymówki robił, a on je znosił i ofiarował Bogu. Bo prezes nigdy się prawie nie gniewał, nie zapalał; ale cicho, jednostajnie, to idąc, to pełnząc, to drapiąc, to deptając, ale zawsze pobożnie z przechyloną głową, z rękami splecionymi, z młynkiem dwóch wielkich palców, dochodził do swego. Czasem tylko, gdy już był zupełnie panem swego przeciwnika, porzucał tę pobożną i pokorną minę, zmieniał zupełnie głos i wówczas mówił wprost do rzeczy, zwięźle i mocno. Twarz miał nieszpętną, ale szeroką, takiż nos i usta. Dwóch zębów nie miał z przodu, przez co syczał, zwłaszcza wówczas gdy wymawiał: Jezus Maria! od czego zwykle zaczynał frazes, gdy udawał zdziwienie, gdy się na co zgadzał, gdy pod powłoką łagodnych słów i sumienia ukrywał jad zawziętości, szachrajstwo lub łakomstwo. Wtenczas także przymrużał siwe oczy, bystre i przenikliwe, marszczył wąskie czoło, na którym sterczały prosto nisko przycięte włosy, jasnego, ale nieczystego koloru.

Od lat dwunastu prezes owdowiał. Żona jego, po której wzięt znaczny posąg, pochodziła z dawnych ormiańskich rodzin, osiedlonych koło Kamieńca i w Galicji na Pokuciu. Była to kobieta żywa, ładna, wysoka i mocno śniada, z nosem cokolwiek za dużym i z oczami zanadto wielkimi. Zostawiła mu jedną tylko córkę, która wzięta od matki kibić wyniosłą i giętką, płeć cokolwiek śniadą, czarne oczy, krucze włosy, a może i żywość wschodnią. Ale co w matce było nadto wydatnym i ostrym, to już złagodziło się i zaokrągliło w rysach córki, tak że była kompletnie piękną brunetką. Prezes nie żałował wydatków na jej wychowanie, ale nie umiał nim kierować,

a przy tym nie miał czasu i chęci. Mówiła ona ładnie po francusku, ale mało umiała; grała biegle, ale bez wyrazu i taktu; rysowała, ale niepoprawnie, ostro, bez pojęcia cieniów i światła, bez uczucia piękności. Ten niedostatek miał źródło w jej charakterze żywym, samowolnym, nieujętym, któremu zatrudniony swymi zdobyczami ojciec pozwolił rozwinąć się zupełnie, a którego guwernantki niedbale i nieumiejętnie z dzieciństwa uha-
mować nie umiały. Wszakże te wady nie ujęły pannie Kamilli powabów, bo szczodra natura dała jej dowcip, rozum naturalny i bystry, serce ogniste, prawe, pełne nieograniczonej dobroci i majszlachetniejszych popędów. Pysnił się prezes wdziękami i rozumem córki, ale nie można powiedzieć, żeby ją kochał tą wysoką rodzicielską miłością, która jest najczystszym promieniem, jaki się z nieba przedarł do ziemi. On ją kochał jako coś najdroższego, co do niego należało. Ona zaś widząc wszystkie działania ojca, chociaż go kochała, choć milczała, ale w duszy przechodziła nieraz do tego bolesnego stanu, do którego czasem niebaczni i nieuczciwi rodzice dowodzą rozumne i szlachetne dzieci; panna Kamilla nieraz w bezsennych nocach sądziła postępkę ojca i potępiała je ze łzami.

Panna Beldeau była to brzydka Francuzica, bez nauki, ale nie ze złym sercem, pełna pretensji, z której sobie drwiła rozumna i dorosła panienska. Panna Beldeau nie była w stanie poprawić wad, jakie się w tym cudnym stworzeniu zagnieździły. Całą jej zaletą była śliczna francuska pronuncjacja ¹⁾, za co też od lat piętnastu brała na Wołyniu i na Podolu po różnych domach po 200 i po 250 dukatów. Z początku panna Beldeau zwróciła baterie swych wejrzeń i uśmiechów na prezesa, od czego zwykle zaczynają guwernantki Francuzki, gdy się dostaną do wdowców. Ale przekonawszy się, że nie będzie mogła zostać macochą swej uczennicy, i widząc, że miejsce dobre, stół wytworny, roboty żadnej, ekwipaż na zawołanie, postanowiła być dogodną i usłużną towarzyszką panny Kamilli, pozwolić jej robić, co by jej się tylko podobało, i znosić ze śmiechem wszyst-

1) *Pronuncjacja*: sposób wymawiania, wymowa.

kie jej drwiny i żarty, przeklinając tylko czasem przeklęty kraj, w którym za nic zgromadziła do 20 tysięcy i napakowała pełne kufry kulców ¹⁾, łańcuchów, grzebieni, koralu i sukien.

Taki to był dom, tacy główni mieszkańcy, do którego czwelnicy pozwolą się wprowadzić.

Na dziedzińcu, który był w części obmurowany niskim murem i ozdobiony topolami, a w części płotem, przed gankiem z kolumnami, który nie zajmował środkowej części domu, ale wznosił się na rogu, bo druga połowa miała dopiero podmurowanie, stała bryczka niekryta, pleciona, zabryzgana i stara. Siedzenie, wysłane słomą, zakryte było dziurawym kilimkiem, zamiast kozła była deszczułka, na której siedział w brudnej siermiędze niewielki chłopak zgarbiony, z rękami pochowanymi w rękawy, z czapką nasuniętą na uszy, i patrzył niedbale na dziedziniec, gdzie przeprowadzano zgrzane konie, którymi wróciła panna Kamilla. Koło nóg jego, w rogu bryczki, zatknięty sterczał batożek, i przytrzymywał trzy sznurki służące za lice trzech niewielkich koników zaprzężonych w szlejach parcianych. Konie były różnej maści i różnego wzrostu; ale wszystkie trzy doskonale chude i jednakowo widać głodne. Opuściły bowiem uszy i powieszały głowy, marząc zapewne, jeśli nie o obroku, którego już dawno nie widziały, to o dobrej wiązce siana, która im się także najsprawiedliwiej należała. Był to typ ekwipażu podupadłego szlachcica.

Wtem stajenny przeprowadzający konie zbliżył się do zamysłonego chłopca, i patrząc na jego ekwipaż i uprząż z pogardą, do czego miał zupełne prawo, bo trzymał w ręku parę dzielnych koni w ładnych szorach, zapytał:

— Czego to tak twoje szkapy zadumały się?

— Oho! — odpowiedział chłopak, nie zmieniając bynajmniej pozycji — i ty byś się zadumał, jakbyś jadł tydzień tylko słomę.

— Albo to u was w Czaplincach już i siana nie ma?

— W Czaplincach jest, ale u nas nie ma. Co było trochę zboża i siana, to wszystko Żyd zabrał.

¹⁾ Kulce: kulczyki.

— Jaki Żyd,

— A jużci wasz Szloma, co wszystko daje na kredyt, a potem zagrabi, co się urodzi.

— A na cóż b'ierzecie?

— Aha! na cóż b'ierzecie? a diabeł ich wie, na co oni biorą. Siedzą na trzech chatach, a chcą być panami i brać wszystko na kredyt. A jak przyjdzie płacić, to nie ma z czego.

Uśmiechnął się owym chytrym, chłopskim uśmiechem, który się zawsze objawia na licu poddanego, ile razy pan w kłopotcie.

— I czyżże ty?

— Pana Pożyczkowskiego?

— Czy on tu?

— A tu.

— A po cóż on tu przyjechał?

— A d'abli go wiedzą.

Stajenny odprowadził konie dalej. Chłopiec, wyrzekłszy obojętnie te ostatnie słowa, którymi zwykle kończy się rozmowa ludzi o projektach ich panów, siedział dalej zgarbiony, z gębą w pół otwartą, z okiem w pół przymrużonym, a jego konie stały, jak pierwej, ze zwieszonymi głowami, nieruchome, jak owa czwórka na kościele Ś. Marka w Wenecji.

Tymczasem w gabinecie prezesa, w którym pod jedną ścianą stało jego biuro ogromne i kosztowne, pod drugą piękną kanapa z drogim obiciem, pod trzecią także krzesła i szafki, a pod czwartą proste dębowe stołki i stolik taki, jaki by ledwie ekonom w swoim pokoju postawił, było trzy osoby. Na bogatym i wygodnym fotelu siedział prezes wyprostowany; pulchne rączki jego leżały na wypukłym brzuchu, dwa wielkie palce kręciły powolnego młynka, głowa z najeżoną czuprynką przechylona była na bok pobożnie, a oczy z wyrazem pokory i miłosierdzia zwrócone ku siedzącemu z boku panu Pożyczkowskiemu. Na jednym z owych prostych stołków i prawie na jego rogu przylepił się skromnie ów nieszczęśliwy pacjent. Był to człowiek już niemłody, blady, chudy, z siwą głową niedbale uczesaną; surdut miał wytarty, podobno kiedyś ciemno sieracz-

kowaty, kamizelkę białą i brudną, a spodnie nankinowe, które, podnosząc się zbyt wysoko, zdradzały cholewy niepoczernione i rude. Pod pachą miał czapkę barankową, niezmiernie starą i zwinętą w rurkę, a łokcie i ręce przycisnąwszy do swego ciała robił się jeszcze węższym, niż był w istocie. Widać, że to był człowiek zbiedzony, przywykły do subordynacji domowej, narzędzie obcej woli, popychadło, które zwracało się tam, gdzie je popchnięto. Bliżej ku drzwiom stał Szloma Krzemieniecki. Szloma był to żyd edukowany i Szejne-Morejne ¹⁾. Mógł mieć ledwie lat czterdzieści. Wysoki i kształtny, twarz miał cokolwiek ospą oznaczoną, ale rysy jego, chociaż okrągławe, nos trochę zadarty, usta trochę za szerokie, były pełne wdzięku i męskiej piękności. Oczy jego czarne, osłonięte długimi rzęsami, jaśniały uprzejmością, uśmiech prawie ciągly rozkwierał jego usta i odkrywał zęby czyste i nadzwyczajnie piękne. Aksamitna jarmułka przykrywała jego głowę, a pejsy niezbyt długie, broda niezbyt wielka, uczesane starannie, lśniły się jak krucze skrzydła. Czarny materiałny kaftan, prawie nowy, nie miał ani jednej placki. Za jedwabny pas zasunawszy wielkie palce, trzymał w jednej ręce sobolową czapkę, a drugą wystawił jakby na pokaz, tak była biała i czysta. Nawet buty Szlomy, z wysokimi cholewami, z węgierska wykrojone, były wyczyszczone wyglansowane i nie okazywały ni śladu błota. Szloma, syn bardzo wziętego w swoim czasie cyrulika, naznaczony pierwotkowo na doktora, do szesnastu lat był w szkołach w Krzemieńcu. Obdarzony z natury najpiękniejszymi zdolnościami, uczył się doskonale, przeszedł jako uczeń celujący cztery pierwsze klasy i był dwa lata na kursie nauk wyższych. Ale w tym czasie cyrulka, go, i natura żydowska przemogła, pociągnawszy od książki do łokcia, od rachunku algebraicznego do prostej krydki, którą się zapisuje złotówki i grosze. Wziął się więc do handlu, i zaponmiał o doktorstwie. Znajomość z paniczami, dawniejszymi kolegami, zrobiła go także ich bankierem. Pożyczał im, przez przyjaźń i koleżeństwo na mniejsze, niż inni żydzi

1) *Szejne—Morejne*: żyd arystokrata, spanoszony.

procenta, i tym sposobem liczną miał klientelę i nie stracił szacunku, a czasem i towarzystwa młodzieży, wśród której praktycznie się kształcił. Stąd więc, chociaż nie przestał być żydem, przybrał formy wyższe w sposobie wyrażania się czystą polszczyzną. w grzeczności i stroju. Wiedział przy tym, że jest pięknym mężczyzną, dołączył więc kokieteryę i wdzięczną układność do tych przymiotów naturalnych, i wszystko to obrócił na korzyść swojej kieszeni. Po zmianach w Krzemieńcu poznał się przypadkiem z prezesem. Odgadli się prędko oba, bo cel ich był jednaki, chociaż sposób zapatrywania się na środki, które do niego prowadziły, niezupełnie tenże sam. Został więc Szloma agentem i mistrzem prezesa, zastrzegłszy sobie we wszystkich działaniach znaczne beneficja ¹⁾. Porzucił miasteczko, przeniósł się do Szyszkowic wzięwszy w arendę wielką karczmę na trakcie, gdzie kontynuował swój handel. Szloma miał wszystko: sukno, materie, płótna, cukier, kawę, wino, mięso, słowem, czego tylko potrzebować mogła szlachta okoliczna i przejezdni panowie. Wszystko było na pozór w niewielkich masach, po troszku, kupowane niby dla siebie i ustępowane przez grzeczność. Tym sposobem unikał podejrzeń i przesładowań ziemskiej pol'cji, z którą przy tym umiał się zachować w najprzyjaźniejszych stosunkach, szczególnie przez żony urzędników, które do niego często zwracały drogę na popas, lub na nocleg. Nie tylko towary dawał Szloma chętnie na kredyt, ale nawet i pieniędzy pożyczał, i to na umiarkowany procent, zwłaszcza tym z osobnych posiadaczów, których mu ukazał prezes. Tym sposobem zrobił sobie wielką reputację ²⁾, i zjazdy u niego bywały liczne. Zyskiwała na tym arenda, a jeżeli co utracił przez nieakuratność lub bankructwo którego z dłużników, to mu bonifikował prezes. Teraz skłoniwszy państwa Pożyczkowskich do wyprzedania części swojej w Czaplńcach prezesowi, wraz z nim przybył skończyć ten ważny interes, umówić się o cenę i dług swój zabezpieczyć.

1) *Beneficja*: dochody.

2) *Reputacja*: dobre imię, opinia.

— Jaśnie wielmożny pan sam widzi — mówił Szloma z uśmiechem — że wszystko w moim rejestrze porachowano sumiennie i taniej, niż się płaci w miasteczkach. Niech jaśnie wielmożny pan raczy zwrócić uwagę na wino, na cukier, na inne produkty, których dostarczałem pani Pożyczkowskiej. W Krzemieńcu daleko drożej, nie licząc tego, że trzy lata czekam.

— Już to ja nie widzę żadnej różnicy. I owszem, zdaje mi się, żeś na każdej rzeczy naliczył dobry procent — odpowiedział prezes.

— Tak i moja żona mówiła — rzekł, podnosząc się z lekka na stołku pan Pożyczkowski i siadając znowu jeszcze prościej

— Jaśnie wielmożny pan się myli — odpowiedział Szloma. — Jest to zwykłe panów uprzedzenie o ludziach naszego wyznania, że żadnej przysługi bez wielkich zysków nie czynią. Bez wątpienia, w wielkiej części zarobiliśmy na tę opinię, ale są wyjątek, chcę mówić wyjątki, i między żydami.

Te wyrazy opinia, honor, moralność itp. wymawiał zawsze z pretensją, jako niezwykle w ustach żyda, a ile razy mu się zdarzyło pomylić w języku, tyle razy zawsze się poprawił, przypomniawszy sobie lekcje wymowy, które brał na pierwszym kursie w Krzemieńcu. Prezes puścił swymi palcami prędszego młynka, przechylił głowę i rzekł:

— Słuchaj no, Szloma! my wiemy, że umiesz ładnie mówić i wszystko potrafisz okraszyć.

— Co to, to prawda, jaśnie wielmożny panie! — dodał przedko pan Pożyczkowski, podnosząc się na stołku i znowu opadając. — Tak i żona moja mówi.

— I prawdę mówi pani Pożyczkowska dobrodzika — rzekł prezes. — To filut niebezpieczny, który nie darmo był w szkołach. — Szloma uśmiechnął się na te słowa i znowu, założywszy palec za pas, zaczął prawą ręką wybić capstrzyk na brzuchu. — Otóż słuchaj, żydzie! — dodał prezes wzięwszy ze stołu rachunek — należy ci się wszystkiego trzy tysiące złotych. Czy tak, panie Pożyczkowski?

— Tak, jaśnie wielmożny panie!

— Wziąłeś — mówił dalej rozjemca — zboża na pięćset złotych. Tak?

— Tak, jaśnie wielmożny pan'e — odpowiedział żyd.

— Otóż widzisz, sumienie przede wszystkim. Grosz, ustąpiony sierocie i wdowie, daje zasługi na dukat; grosz wzięty nadto od biednego człowieka, przyczynia grzechu na cetnar. Wszystko nam jest porachowane... tam. — To powiedziawszy, prezes przechylił jeszcze mocniej głowę; pan Pożyczkowski skruszony westchnął głęboko, a usta żyda przeciągnęły się ironicznym śmiechem. — Otóż, zważając — mówił dalej prezes — małe przydatki na cenie tych rzeczy, któreś porobił; zważając znowu na niskie ceny, jakieś położył na żyto, na jęczmień, na siano, wzięte od państwa Pożyczkowskich... bo gdzie to teraz korzec żyta po cztery złote, ha? Oj! Szłoma! Szłoma!

— Ale niech jaśnie wielmożny pan raczy uważać...

— Jezus Maria! — zawołał prezes sycząc — czy to ja nie wiem? czy nie sprzedaję? czy nie kupuję? Powinieneś ustąpić Szłoma!

— Jeżeli jaśnie wielmożny pan znajdziesz, że rzecz słuszna — rzekł Szłoma, niby rezygnując się.

— Jakże niesłuszna? bardzo słuszna! Odstąpisz im, i odstąpisz pięćset złotych.

— Jaśnie wielmożny pan jesteś prawdziwym naszym dobrodziejem — rzekł wstawszy prosto jak świeca pan Pożyczkowski. — Nie darmo moja żona mówiła...

— Jezus Maria! czyż to warto dziękować za to, co człowiek robi przez obowiązek sumienia? Czymże bym ja był, że bym nie użył ładajakiego wpływu, jaki tu mam nad tym szachrajem, na ulżenie moim sąsiadom? Więc ustępujesz?

— Cóż mam robić? — odpowiedział żyd — dla dobrego uczynku. Znam położenie tych państwa, i Pan Bóg mnie tego, chcę mówić to, z innej strony nagrodi — dodał z konfidencjonalnym ¹⁾ wejrzeniem na prezesa, który nieznacznie westchnął i zaczął prędszego młynka palcami, bo wiedział dobrze, że on te pięćset złotych zapłaci.

1) *Konfidencjonalne*: poufale.

— Tak więc z ceny mająteczku państwa spada dwa tysiące złotych — mówił prezes cichszym głosem. — Ale usiądźże Pożyczkowski! Czy są jeszcze inne długi?

— Są, jasnie wielmożny panie — odpowiedział wyprostowany szlachcic i przypadł na róg stołka.

— A jakie?

— Panu Starzyckiemu winniśmy pięćset złotych.

— No, to bagatela.

— Tak i żona moja mówi, jasnie wielmożny panie!

— A więcej?

— Panu komisarzowi Jampolszczyzny winniśmy dwa tysiące sześćset sześć złotych groszy dwadzieścia. Moja żona mówi, że to człowiek zły i nieludzki; gotów nas tradować¹⁾.

— Jeżeli wierzyciel upomina się o swoje, to już to u nas taka moda nazywać go nieludzkim — rzekł żyd z powagą.

— Pani Pożyczkowska dobrodzika ma rację — przerwał prezes — bo są przypadki, w których nawet upomnienie się o swoje jest nieludzkością. Sumienie, przede wszystkim sumienie, panie Szłome! Ja wiedziałem o tym, że ten pan komisarz człek twardy, i przez względy sąsiedztwa i szacunku, jaki mam dla pana i dla pani Pożyczkowskiej dobrodziki, nabyłem ten dług. Żyd uśmiechnął się, uderzywszy się parę razy palcami po brzuchu, a pan Pożyczkowski powstał nie wiedząc, czy ma być wdzięcznym i dziękować, czy się tym zmartwić i przestraszyć.

— Usiądź, panie Pożyczkowski! o ten dług możecie być spokojni! Jeszcze ja tu mam — rzekł prezes kiwając głową — rewersik pani Pożyczkowskiej dobrodziki, który mi się dostał od Rejci. Poczc'wa ta żydow'ca uzał'ła się nad wami. Dała się skłonić do ustąpienia z tysiąca złotych stu, i te ja wam ustępuje.

— Dziękuję, jasnie wielmożny panie. Moja żona mówiła...

— Pani Pożyczkowska dobrodzika zna mnie dobrze, i niech będzie pewna, że w każdym zdarzeniu gotów będę jej służyć. Tak więc ważniejszych długów państwa jest: 2000 Szłomie, 500 zł. panu Starzyckiemu, mnie 3500, bo tych 66 zł. 20 gr. nie

1) Tradować: na mocy wyroku sądowego zabierać czyjąś własność za dług.

rachuję. Sumienie bowiem przede wszystkim. Wszystkiego zatem 6000 zł. polskich. Czy tak?

— Tak, jaśnie wielmożny panie — rzekł biedny szlachcic podnosząc się i przysiadając.

— Suma wyszła okrągła — dodał żyd z uśmiechem.

— Drobnych dłużników po kilkadziesiąt i kilkanaście złotych nabierze się zapewne na tysiąc złotych. Nieprawdaż? Pan zapewne ich i nie pamiętasz wszystkich.

— Moja żona pamięta wszystkie, jaśnie wielmożny panie!

— O! pan! Pożyczkowska to gospodyni całą gębą. *Hic mulier*¹⁾ — rzekł żyd, uśmiechając się.

— Jeszcześ nie zapomniał łaciny — przerwał prezes. — Oj ty, żydzie! lepiej mniej łaciny, a więcej sumienia! sumienia! Otóż te 6000 zł. i 1000 na drobne dłużki państwu zatrzymam; a reszta przy zawarciu transakcji natychmiast gotowizną zapłacone zostaną.

— Ale, jaśnie wielmożny panie! — rzekł szlachcic, powstawszy — moja żona mi mówiła, że nie mogę inaczej ustąpić tej części jak po 55 dukatów za męską duszę.

— A za kogóż mnie pan masz, panie Pożyczkowski? Czyżbym ja chciał korzystać z położenia takich zacnych ludzi? Wasza częśćka ma tę niedogodność, że leży w samym środku Czapliniec i ma ze wszystkich stron złych sąsiadów — rzekł prezes, westchnąwszy i patrząc z ukosa na Szłomę, który się na to uśmiechnął; ale zato ma wodę, która mi się przyda. Żebyś więc pan miał dowód, jak ja państwo szanuję, jak cenię panią Pożyczkowską dobrodzikę, to daję wam nie po 55, ale po 56 za duszę, i koszta wszystkie biorę na siebie. — Żyd pokiwał głową, a prezes mówił dalej: — Czegóż się ty dziwisz, Szłoma? Sumienie, mój kochany, sumienie przede wszystkim! Wiele to wypadnie za jedenaście dusz ostatniej rewizji?

Żyd podniósł głowę w górę, błysnął ładnymi oczyma, zaębnił palcami po brzuchu i rzekł:

— Za odtrąceniem 7.000 zł. na długi, zostaje na rzecz państwa 5.320.

¹⁾ *Hic mulier*: kobieta energiczna. herod-baba.

— Kontrakty w Dubn'ie niedaleko. Za tę sumkę będziecie państwo mieli ładną posesyjkę, i będziecie spokojni. Bo to małe dziedzictwo, panie Pożyczkowski, to wielkie kalectwo, nie prawdaż?

— Prawda, jasnie wielmożny panie! Tak mi i żona moja mówi.

— Jedźże pan teraz do domu, powiedz to wszystko pani Pożyczkowskiej dobrodzice, i przyjeżdżajcie tu razem jutro lub pojutrze dla podpisania transakcji; a już ja sam pošlę ją do akt. To nie będzie was kosztować ani grosza.

Powstał szlachcic, jeszcze bledszy, niż był dotąd, ukłonił się nie odejmując rąk od ciała, i wysunął się cofając tyłem do drzwi. Gdy siedział już na swoim wózku, odziany dziurawym i wytartym płaszczykiem, powtarzał sobie w myśli całą rozmowę, aby mógł zdać dobrze sprawę żonie, sam nie wiedząc nieborak, czy nie zrobił jakiego głupstwa, i czy mu się za to nie dostanie od najdroższej połowicy. Tymczasem chłopiec woźnica ćwiczył batożkiem głodne i chude szkapy, i szarpał co moment sznurkami, aby im dodać energii. Gdy się dowłókł do domu i wjechał we wrota, postrzegł na ganku swego dworku panią Pożyczkowską dobrodzikę. Była to kobieta wysoka, pleczysta, dosyć ciała mająca, z ogromnymi czerwonymi rękami. Cała jej twarz, dość regularna, obsypana była pryszczami. Siwe oczy bez rzęs iskrzyły się z daleka. Na głowie miała czepek perkalowy biały z wielką szlarką, którą wiatr na tył odrzucał. Szlafrok materialny, ale stary, dziurawy, założony na piersiach i zamoczony na łokciach, ją odziewał. Przed sobą miała fartuch, a w ręku wałek, którym właśnie wałkowała ciasto na kłuseczki, które miały stanowić kolację. Za matką wybiegła dziewczynka obszarpana, bosa, brudna i rozczochrana, którą ona nazad do sieni wtrąciła. A gdy mąż podjechał pod ganek i, widokiem tym zmieszany, sam nie wiedział, którą nogę wprzód wysadzić z bryczki, krzyknęła na niego grubym głosem pani Pożyczkowska: — Chodźże prędzej, serce, i gadaj, coś zrobić.— Zlął biedak, straciwszy cały ciąg rozmowy z prezesem. Żona wzięła „serce” za płaszcz i popchnęła do sieni, których drzwi wkrótce za tym dobranym stadłem z trzaskiem się zamknęły.

Gdy pan Pożyczkowski wyszedł, prezes i jego minister zostali na miejscu. Żyd stał, jak pierwszej, z rękoma splecionymi na brzuchu. Ale wielkie jego palce z wolna już obracały się, jak koło wiatraka, kiedy wiatr ustaje. Było to znakiem ukończonej roboty, uspokojonej myśli i dobrego humoru. Jak niegdyś Ludwik XIV, posadziwszy na tronie hiszpańskim Burbona, wykrzyknął: „Już nie ma Pireneów“, tak prezes, osadowiwszy się w samym środku wsi, na którą od dawna czatował, pomyślał w duchu: już Czaplince mojej! W tej chwili spojrzął na Żyda a Żyd na niego tym wzrokiem, jakim niegdyś poglądali na siebie bez świadków dwaj авгуrowie rzymscy, gdy się przepowiednie skończyły i oszukaństwo udało.

— Czegóż tak na mnie patrzysz? — zapytał wreszcie prezes. — Czy może źle?

— Jasnie wielmożny pan wspaniale postąpił — odpowiedział Szłoma.

— Ha! sumienie przede wszystkim, panie Szłomol

— Czaplince przede wszystkim, jasnie wielmożny panie! — odpowiedział Żyd.

Zaśmiał się prezes głośno i syknął przez szczyrbę dwóch zębów:

— Jezus Maria! jakiś ty, Żydzie, szelma! — i powstawszy przybliżył się, wyciągnął ku niemu pulchną rączkę, na której Żyd z uśmiechem położył białą i piękną rękę. Ścisnęli się obaj. i prezes dodał: — Wypijesz kieliszek Malagi?

— Należy mi się — odpowiedział Szłoma — a także 870 złotych.

— Pięćset, durniu! — rzekł prezes splótnszy prędko ręce i puszczając palcami prędkiego młynka.

— A trzeci procent od 12.320 zł.? — rzekł Szłoma.

— A prawda; no, pójdź, niech cię diabli wezmą, obdzierasz mnie ze skóry.

I wyszli, prezes naprzód, przechylając się na krótkich nogach, a Żyd za nim z powagą, wspaniale, z wyrazem jakiejś wyższości i pogardy.

III.

Trzy są u nas typy w mieszkańach wiejskich, odróżnione od siebie wielkością, architekturą i rozporządzeniem wewnętrznym, to jest: pałac magnata, dom zamożnego obywatela i dworek szlachica. Do tych ostatnich należałomieszkanie państwa Starzyckich. W samym środku wsi położone odznaczało się od innych dworków porządkiem, czystością, obszernością i miłym widokiem dostatku, którego każdy prawie obywatel ma dosyć, byle się chciał we właściwych sobie granicach utrzymać. Pan Starzycki nie więcej miał od kilku innych posiadaczy Czaplinc; ale wiedział dokładnie, co ma, czego może żądać, co sobie pozwolić, a w czym odmówić. To ostateczne i ciągle rozmierzanie sił własnych i nieprzedsiębranie niczego, co by je przewyższało, było najgłówniejszym gospodarskim przymiotem tego właściciela i najistotniejszym źródłem jego zamożności.

Z tego przymiotu wyrodziły się i inne. Bo żeby ciągle wiedzieć, co się ma, znać własne siły, trzeba to, co je stanowi, mieć ciągle przed oczyma, a zatem mieć je w porządku, w całości, w dobrym stanie i w dobrym schowaniu. Żeby do tego przyjść, trzeba polubić porządek, trzeba go ciągle utrzymywać, przyuczać do niego dzieci i sługi. Żeby ten ważny rezultat otrzymać, trzeba być ciągle zajętym, czynnym, czujnym, oko gospodarza mieć wszędzie i zawsze. Stąd pracowitość, stąd rozumne użycie czasu, stąd brak marnotrawstwa w chwilach życia i w tym wszystkim, co je przyjemnia; stąd owa spokojność o jutro, którą daje zdrowie ciała, wesołość twarzy, uprzejmość i dobroć dla dzieci i domowników; stąd nareszcie owa istotna nie-

zależność, polegająca na wybitciu się spod tyranii potrzeb nad stan i chęci nad siły.

To usposobienie gospodarza odbiło się wszędzie: w jego pomieszkaniu, w jego rodzinie, w jego domownikach i poddanych. Powiedzieliśmy wyżej, że dworek pana Starzyckiego leżał w samym środku wsi, na prawej stronie drogi, która ją wzdłuż przerywała. Był on wsunięty cokolwiek w głąb wioski, a przed nim znajdował się plac niewielki i pusty. Podwórze, obniesione częstokołem, ozdabiała wielkie topole. Było ono obszerne i czyste. Z lewej strony niego był ogród niewielki, złożony z młodych drzew fruktowych najlepszych gatunków; z prawej strony był drugi dziedziniec gospodarski, na którym w podkowę wszystkie zabudowania gospodarskie. Równoległe do ulicy, w głębi podwórza stał dom właściciela, niewysoki, niezbyt wielki, pod dachem słomianym, ale ściany jego były białe, okna o sześciu szybach czyste i całe, a na samym środku był ganek obszerny, nakryty, wyheblowany, z ławeczkami do siedzenia, i mający z obu stron po dwa wielkie klony, których szerokie liście dawały latem chłód, cień, i zielonymi kitami zagłądały do ganku i na białych rysowały się ścianach. Z ganku wchodziło się do wielkiej sieni, w której środku były drzwi do spiżarni pani Starzyckiej, na lewo do trzech pokojów, stanowiących ich pomieszkanie, na prawo do pokoju próżnego, gdzie mieszkał syn, Józef kiedy odwiedzał rodziców, i z którego wchodziło się do dwóch pokojów, gdzie mieszkał ojciec gospodarza i matka. Za domem ciągnął się ogród warzywny, a dalej stary ogród fruktowy, zakończony niewielkim brzoszowym laskiem i sadzawką. Wszędzie widać było ślad porządku i gospodyni; na dziedzińcu było prawie sucho, ganek był wymyty, podłogi wszędzie wyheblowane i jak nowe, meble z jesionu obite płócienką szarą, wyszytą czerwonymi i czarnymi sznureczkami; nǳdzie nic modnego, ale ani starego i obszarpanego, wszystko na równi ze stanem odpowiadało możności, wygodzie i istotnej potrzebie.

Do takiego to domu, gdzie panowała cichość, zgoda, miłość i wesołość, wjeżdżał z bijącym sercem nasz młodzieniec

całym klusem dzielnych swych koni. Obejrzał się wkoło, czy gdzie kogo nie obaczy, i nie dojechawszy jeszcze do ganku, zatrzymał nagle Michasia w połowie dziedzińca, wyskoczył z bryczki i pobiegł ku furtecze ogródka na lewo. Wyszedł z niej starzec wysoki, pełny, z twarzą jeszcze świeżą, oznaczającą czerstwość i zdrowie. Miał na sobie kurtkę manszestrową¹⁾ czarną, sukienną kamizelkę, na głowie jasno-popielatą zajęcza czapeczkę, miękką i ciepłą, która, z fantazją i cokolwiek na bok nałożona, odkrywała włosy srebrne, spadające na skronie. Niewielkie wąsy białe zakrywały wierzchnią wargę, a w oczach jego siwych i na ustach jeszcze rumianych zajaśniał uśmiech radości i szczęścia. Na lewym ręku miał toporek, który był nieoddzielnym towarzyszem jego wędrówek po ogrodzie, a w prawym trzymał ręczną piłeczkę, którą widać suche gałęzie odpilowywał. Był to dziadek naszego młodzieńca, dziadzio familijny. Tak go nazywały wnuki, tak synowa, tak słudzy i poddani.

— Jak się masz, mój drogi chłopcze! — zawołał czystym głosem i uściskał wnuka, który ręce jego całował. — Oho? i ty tu, mosanie Amor! — rzekł do legawca, który wyskoczył za panem i stał z boku, patrząc na nich bystro i kiwając ogonem. Pies zapiszczał od radości, gdy do niego starzec przemówił, spiął się na jego piersi i twarz jego lizał. Gdy się to działo na dziedzińcu, turkot bryczki i brzęk kólek chomątów wywołał resztę familii. Stał na ganku ojciec pana Józefa, stała matka, stała siostra, a wkrótce za nimi wyszła niewielka, cokolwiek przygarbiona staruszka z laseczką w ręku, i rozpychając synową i wnuczkę, wysunęła się na przód i do faworyta swego wyciągała drżące ręce. Upadł jej do nóg młodzieniec, a gdy powstał przeżegnany, powitał z uszanowaniem ojca i matkę i chwycił w objęcia siostrę, która śmiała się i płakała razem.

Gdy wszyscy poszli do pokoju, oddani wspólnej radości powitania, gdy babunia usiadła w swoim krześle i posadziła obok siebie swego Józia, gdy matka poszła już z kluczami do spiżarni, aby jeszcze jaki przysmaczek przydać do zadysponowa-

1) *Manszestrowa*: uszyta z aksamitu bawelnianego, welwetu (od nazwy miasta angielskiego Manchester).

nej już kolacji, gdy Anusia pobiegła do swojej szafki i wybie-
rała garnuszeczek śmietanki z najlepszym kożuszkciem do ka-
wy; gdy dziadzio karesował¹⁾ Amora i wypytywał go, wiele
bekasów spłoszył, wiele kaczek nie zniósł, gdy ojciec milczą-
cy i poważny przechadzał się zwolna i spoglądał z rozrzewnie-
niem to na rodziców, to na syna: my tymczasem poznajmy się
cokolwiek bliżej z tą zacną rodziną, która, jak się domyślam,
zainteresowała już każdego, kto ceni poczciwość staropolską
i wysłużone rozumem i cnotą błogosławieństwo Boże.

Pan Wincenty Starzycki, dziadek rodziny, wychowany w
Polsce, w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej,
której imieniem i tytułem zaprawione było każde jego opowia-
danie, przeniósł się na Wołyń w r. 1785 i tam rządził długo ma-
jątkiem hrabiego S., który w nagrodę jego usług i uczciwości
dał mu na dziedzictwo w Czaplincach, piętnaście chat z dwor-
kiem i zabudowaniami. To początek jego fortuny, która po-
większyła się niewiele, ale powiększyła się istotnie przez
oszczędność, dobre zagospodarowanie; i taki był stan tych kil-
kudziesięciu chłopków, że każdy miał najmniej parę wołów,
parę koni, kilka krów, czystą i porządną chałupę, ogród, całą
stodołę i szopę. Gdy się syn jego, Hipolit, w r. 1811 ożenił, oj-
ciec zdał mu gospodarstwo, przyuczał do porządku i oszczęd-
ności, patrząc z ukontentowaniem, że nauki jego nie idą w las,
że syn z całą energią młodego wieku brał się do dzieła i pro-
wadził wszystko z rozsądkiem i zimną krwią, którą stary
szlachcic pochwalić się nie mógł. Tym sposobem szły rzeczy
zgodnie w miłości, porządku i zaufaniu. Powiększono dworek,
założono nowy ogródek, poprzezbierano gospodarskie zabudo-
wania, i tak zwolna, stopniami, ciągłym staraniem, ciągłym
rozszerzaniem sił i przedsięwzięć przyszedł ten folwarczek do
tego kwitnącego stanu, w którym się znajdował w r. 1838, to
jest w epoce tych wypadków, któreśmy opisać przedsięwzięli.

Znają już czytelnicy mniej więcej naszego dziadzia, dodam
tylko, że to był człowiek kardynalnie²⁾ uczciwy, ale gorączka.

1) *Karesować*: pięścić, przymilać się.

2) *Kardynalnie*: zasadniczo, rzeczywiście.

Każda podłość, każda krzywda bliźniego oburzała go niezmiernie. Przywykły z młodości do korda¹⁾, w późniejszym wieku zachował tylko laskę grubą czereśniową, znajomą w całym domu pod nazwiskiem generycznym²⁾ czereśni, którą się odgrzązał często krzywdzicielom, czy możnym, czy ubogim, czy bliskim, czy dalekim. Wszakże czereśnia nigdy nie była w użyciu, stała ona spokojnie w tym kącie pokoju dziadziowego, gdzie wisała jego dubeltówka, jego borsucza torba, rogowa trąbka i pas skórzany z ładunkami. Od dawna już dziadzio nie wtrącał się bynajmniej do gospodarstwa, widząc, że syn lepiej nawet rzeczy prowadzi od niego; ale pod wyłączną i bezpośrednią jego dyрекcją znajdował się ogród. Całe lato o czwartej z rana, w manszestrowej kurtce, z popielatą czapeczką na bakier, z toporkiem na rękę i krobką pasieczniczą, w której nosił swoje narzędzia ogrodnicze, wychodził do ogrodu. Tam nie cierpiał żadnej kontradycji³⁾, i od nikogo też jej nie doznawał. Wszyscy szanowali nawet jego wymysły ogrodnicze, w których wszakże nie upierał się długo. Miło było patrzeć na fantazję starca, gdy niósł z triumfem pierwszą wiązkę szparagów, pierwszych kilka truskawek, lub parę wisienek tylko co dośpiałych⁴⁾, i oddawał synowej, którą nadzwyczajnie kochał i której się zwykle te prymicje⁵⁾ industrii⁶⁾ dziadziowej dostawały. Oprócz ogrodu miał jeszcze swoją komórkę, gdzie był warsztat stolarski, narzędzia ciesielskie i ogrodnicze. Tam przesiadywał całe dni słotne, wyrabiał różne drobiazgi, reperował brony, pługi, wózki itd. Zawsze czynny, zawsze wesoły, umiał mnóstwo piosenek do każdej okoliczności, mnóstwo dykteryjek i powieści, które się zwykle kończyły jakimś szczegółem o domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Wieczorem grywał w mariasza z żoną, staruszką cokolwiek schorowaną, już przy-

1) *Kord*: miecz, szabla, pałasz.

2) *Generyczny*: właściwy jakiemuś rodzajowi, rodzajowym.

3) *Kontradycja*: zdanie przeciwne, przeciw.

4) *Dośpiałych*: dojrzałych.

5) *Prymicje*: tu — pierwsze plony.

6) *Industria*: przemysł.

garbioną i bladą, ale miłych rysów, jeszcze zupełnie przytomną, czystą, okrężną w stroju, i przywykłą ulegać mężowi i szanować nawet jego kaprysy, za które ją później serdecznie przeproszał. Jedną wszakże miała słabość i uprzedzenie ta zacna kobieta, i w tym nikt nie śmiał być innego z nią zdania. Podnosiła się ona zawsze i prostowała, jak mogła, gdy rzecz szła o jej faworyta, jej wnuka, pana Józefa. Właśnie niedawno, wskutek tej predylekcji¹⁾ babki, przyszedł nasz bohater do owej nietyczanki, która jak port przypadkowy dała przytułek pięknej podróźnej, bliskiej zatonięcia w kałuży. Ofuknęła się staruszka na męża i syna, którzy znajdowali, że wydatek ten niepotrzebny i zbyt kowny, i postawiła na swoim. Widziała ona w panu Józefie wszystkie doskonałości i broń Boże było zaprzeczyć. Miał on wprawdzie wiele przymiotów, ale dalekim był od perfekcji²⁾, o których marzyła babunia. Mniej była pobłażliwa dla wnuczki, chociaż serdecznie kochała Anusię, ładną blondynkę z ślicznymi niebieskimi oczyma, potulną, ale rozumną i gotową zawsze na każde zawołanie babuni.

Różnym był w wielu względach od ojca syn jego, Hipolit Starzycki, terażniejszy gospodarz tego domu. Bardziej oświecony, lubiący czytanie, i zajęty często książką w chwilach swobodnych, nie miał on żywości i wesołego humoru starca. Często zamysłony, głęboko zastanawiający się nad wszystkim, co się koło niego działo, zawsze serio, patrzył na życie ze strony jego poważnej; każdy swój obowiązek roztrząsał, widział wszystkie jego wymagania i konsekwencje, i z każdego kroku zdawał przed sobą samym ścisły rachunek. Pełen uszanowania dla rodziców, długo, a nawet i teraz niekiedy radził się starego ojca. W zatargach nieuchronnych z tyłu sąsiadami, zawsze ustępował pierwszy, jeśli wina była jego ludzi; lecz krzywdy sobie zrobić nie dał, i zadierać się z sobą kłótlivej szlachcie nie pozwalał. Nie był on mściwy, ale energiczna jego dusza, zapominając krzywdę, gardziła krzywdzicielem. Żonę kochał nad życie, chociaż jej tego nie okazywał. Przywykła już ta delikatna, dobra i ładna kobieta do takiego obchodzenia się męża. Od szesnastego roku

1) *Predylekcja*: szczególne upodobanie do kogoś.

2) *Perfekcja*: doskonałość.

życia znajdując się pod jego kierunkiem, poznała go doskonale i wiedziała dobrze, że pod tym obojętnym pozorem jest uczucie pełne głębokości i siły. Ale zato jakąż cenę miało uściśnienie, gdy czasem w chwilach smutku lub radości położyła jasną swą i małą główkę na jego szerokiej piersi i poczuła się w tym męskim i opiekuńczym objęciu! Pan Hipolit Starzycki był wysoki, silnie zbudowany, cokolwiek łysy, skromny w jedzeniu i napoju. Od dawnego czasu zarzucił frak i chodził zawsze w jasnym sieraczkowym surducie, a latem przy gospodarstwie w płóciennej szarej czamarce z czarnymi potrzebami.

Takie były personele ¹⁾ tej zacnej rodziny. Niech się nikt nie dziwi, że nie było w niej żadnego wyrodka, żadnej karykatury; bo, jak powiedz'elśmy, dom ten kwitnął pod błogosławieństwem Bożym, wysłużonym pocziwymi myślami, pobożnym poddaniem się, czystością obyczajów, umiarkowaniem i pracą.

Punktualnie o dziewiątej wszyscy w domu pana Starzyckiego rozchodzili się do siebie. Wtenczas matka przyrządzała dla wszystkich czystą biel'znę, jeśli to była środa lub sobota, i roznosiła ją najczęściej mężowi sama, dziadziowi i babce. Anusia odświeżała czepeczek dla matki i babki; ojciec przepatrywał w swojej kancelarii rachunki lub czytał; dziadzio pochodził po pierwszym pokoju naprzeciwko i odmawiał pacierze, a babunia siedząc w swoim krzeselku przy zasłanym już łóżku z paciorkami w rękę, odmawiała jeden pacierz za męża, jeden za dzieci, jeden za wnuków w ogólności, jeden za siebie, jeden za dusze zmarłych, a potem dwa cichaczem i osobno za pana Józefa. Tymczasem w domu i obejściu było już cicho i spokojnie. Wszystkie wniśc'ia były pozamykane, wszyscy słudzy byli na swoich miejscach, konie, bydło i drób, wszystko to było zamknięte i opatrzone; bo zaraz po wieczery, która się skończyła o ósmej, gospodarz domu latem i zimą, w pogodę i słotę, obchodził cały dom, zaglądał wszędzie, widział wszystko własnym okiem, i potrzebne wydawał dyspozycje. Tak było co dzień i do tego porządku, którego nigdy nikt nie

1) *Personale*: dane osobiste.

psuł, przyzwyczajeni byli i członkowie rodziny, i demownicy. Dziś, z okazji przybycia pana Józefa, był on cokolwiek naruszony. Gdy bowiem o godzinie dziewiątej wszyscy oddali sobie dobranoc, ojciec, odchodząc do swojej kancelarii, zawołał jeszcze za sobą syna. Tam pan Józef musiał mu zdać sprawę ze wszystkiego, co się tyczy mająteczku matki, składającego się ze czterdziestu dusz i leżącego w latyczowskim powiecie na Podolu, a którego rząd zupełny był mu od lat czterech oddany. Konferencja ta trwała blisko z godzinę. Na koniec ojciec, kontent z syna i widząc, że rzeczy b'ierze serio, że zna wszystkie najdrobniejsze szczegóły, pochwalił go, podał mu rękę i kazał pójść odpocząć po drodze. W całym domu była cichość głęboka. Matka już była w łóżku, ojciec kładł się, dziadek i babka już spali. Gdy pan Józef przechodził przez pierwszy pokój, postrzegł koło drzwi matczynych postać białą, która się do niego cicho zbliżyła. Była to Anusia.

— Józiu! — rzekła — chciałabym z tobą pomówić.

— Chodź do mnie — odpowiedział brat i wzięwszy się za rękę, poszli na drugą stronę, otworzyli drzwi cichutko, przeszli przez pokój na palcach, żeby starszków nie zbudzić, i usiedli na łóżku obok siebie. Amor położył się w nogach Anusi, a ona, wzięwszy rękę brata w swoje dłonie, rzekła tkliwie:

— Józiu! ty mnie o nic nie pytasz? ty coś dla mnie obojętny i jakiś zamyślony.

Zaczerwienił się młodzieniec na te słowa, stanęła mu w myśli jego dzisiejsza przygoda, wyobraziły się czarne loki, ciemne oczy błysnęły przed jego duszą, uczuł w swoim objęciu tę kibić wyniosłą i wiotką, i mimowolnie westchnął.

— Ty wzdychasz, mój drogi Józiu! — dodała siostra ścisnąc jego rękę. Przewyciężył się młodzieniec, potrząsł głową i rzekł:

— Nie, moja Anulko! Tak ci się zdało. Jestem cokolwiek zmęczony... drogę miałem niegodziwą.

— A przecież ładna twoja nietyczanka musi nieść lekko. Ale żebyś ty wiedział, jaka tu była scena o tę nietyczankę, jak

się babunia rozgniewała, gdy dziadzio i ojciec mówili, że to będzie dużo kosztować i że to tobie niepotrzebne.

— Kochana babunia! — rzekł pan Józef, znowu wzdykając. — Tym droższym teraz będzie dla mnie ten powóz. Wierz mi, Anusiu! — dodał z przyciskiem — nie oddałbym go dziś za nic w świecie. Ale nie mówmy o tym. No, moja droga Anulku! tak tedy idziesz za męża?

— Podobno — odpowiedziała Anusia, spuszczać oczy i czerwieniąc się.

— Jakże to było? — powiedz mi.

— Najprościej w świecie — odpowiedziała panienka. — Pan Ignacy przyjechał tu w czasie samych żniw z jakimś interesem do ojca. Bawił pół dnia, i wkrótce spostrzegłam, że na mnie poglądał i czerwienił się, co mnie cokolwiek mieszało. Jakem mu po obiedzie podała kawę, sama zaczerwieniłam się nie wiedzieć czego, i zmiarkowawszy to, byłam zła sama na siebie i jeszcze gorzej zmieszana. W tydzień potem przyjechał posłaniec z listem. Ojciec, przeczytawszy ten list, zawołał mamę, i potem poszli razem do babuni i posłali za dziadziem do ogrodu. Dziadzio z początku nie chciał iść, bo tam miał jakąś pilną robotę, ale mama sama za nim poszła, i dziadzio, śmiejąc się i śpiewając piosneczkę o Jasiu i Kasi, poszedł także do babuni, i tam wszyscy długo z sobą rozmawiali.

— A ty nie posłałaś dowiedzieć się, od kogo to posłaniec? — przerwał uśmiechając się pan Józef.

— Fe, Józciu! nie zawstydzaj mnie! — odpowiedziała panienka kładąc rękę na jego ustach. — Ach, zgadłeś, zgadłeś! posyłałam, bo nie wiem dlaczego, serce mi biło i nie mogłam się uspokoić. Prawda, żem nie powinna była być tak ciekawa?

— To pan Ignacy temu winien, że się rumienił, gdy na ciebie patrzył. Więc to list był od niego?

— Naturalnie, że od niego — odpowiedziała żywiej — ale mnie nic o tym nie mówiono.

— A ty udałaś także, że niby nic nie wiesz? — rzekł pan

— Oczywiście — mówiła, tuląc się do brata i włącząc z nogami na łóżko. — Ale słuchajże dalej. Przez cały tydzień po-

tem ojciec, jak zwykle, był poważny i nic po sobie nie pokazał. Mama częściej mnie karesowała, i uważałam, że przeglądała bieliznę w szpiżarni; babunia ciągnęła pasjans¹⁾ i kabałę²⁾, i zawsze mnie kazała karty zdejmować, a dziadzio coraz nowe śpiewał piosneczki. Aż tu raptem w następującą niedzielę parzę, mi z tego, ni z owego, znowu pan Ignacy przyjechał. Rodzice miło go przyjęli, dziadzio go uściskał i babunia także.

— A ty? zaczerwieniłaś się?

— Okropnie! jak piwonia, aż mi wstyd było. Ale potem jakoś przyszedłam do siebie, i jakem mu podawała kawę po obiedzie, już nic a nic nie zmieszałam się — tylko...

— Tylko co?

— Powiedzieć ci prawdę?

— Wszak po toś tu przyszła, żebyś mi się wypowiedziała ze wszystkiego.

— Otóż powiem ci, że mi bardzo miło było jemu usłużyć. I jak zmiarkowałam, że on u nas będzie nocować, to byłam bardzo kontenta, naprzód dlatego, że go jeszcze jutro obaczę, a potem, że nie będzie po nocy jechać, i u nas, na twoim łóżku, lepiej mu będzie niż gdzie w karczmie u żyda. Krótko mówiąc...

— Krótko mówiąc — przerwał pan Józef — pan Ignacy podobał się panience.

— Bardzo — odpowiedziała prędko i pocałowała brata. Ale pocałowanie było tak szczere, że się biedna przełękła, i kładąc palec na ustach, spojrzała ku drzwiom babki. Potem dodała: — Ach, ciszej mówmy, bo mnie babunia jutro wyłajać gotowa, że ci po drodze spać nie daję. Ona cię więcej kocha niż nas wszystkich razem. Ale może ty doprawdy chcesz już spać?

— Bynajmniej, moja droga! Szczęśliwaś, że kochasz i jesteś kochana — dodał z westchnieniem.

1) *Pasjans*: -jednosobowa zabawa w karty, polegająca na układaniu kart podług pewnych zasad, aby dojść do zamierzonej kombinacji (dla zabicia czasu lub nudów albo też dla wróżenia).

2) *Kabała*: wróżenie z kart.

— A czegoż ty wzdychasz, Józiu? ja ci powiadam, że to nie darmo. O! ja się znam na tym; ty musisz także kochać.

— Roi ci się... Nie, nie moje życie — odpowiedział drżącym i cichszym głosem.

— Mów co chcesz, a to nieprawda. Ale nie dziś, to jutro. a przecież dowiem się. Bo nie wytrzymasz, powiesz mi, bo tak miło pomówić o tym, co serce czuje. Ja czekałam twego przyjazdu jak zbawienia.

— Dawnoż ci się pan Ignacy oświadczył?

— Oświadczył? On mi się wcale nie oświadczał. Już na drugą niedzielę jak przyjechał, tośmy tak z sobą rozmawiali. jak gdybyśmy się znali od niepamiętnych czasów. A jak wyjeżdżał już we wtorek, ścisnął mnie za rękę i powiedział: — Czy panna Anna pozwoli mi przyjechać w niedzielę? — A ja podobno także ścisnęłam go za rękę i odpowiedziałam: A jak pozwolę, to pan pewnie przyjedziesz? — Chybabym umarł! — rzekł i popatrzył mi w oczy tak miło, że aż mi się płakać chciało. Widzisz, Józiu! ty znowu wzdychasz?

— Nie, nie. Cóż dalej?

— A cóż? na drugą niedzielę pan Ignacy jak wyrósł w Czaplińcach. Po śniadaniu wszyscy poszli do babuni, i on tam poszedł, a ja niby to nie wiedziałam po co. Potem i mnie tam zawołali. Dziadzio zaczął mnie ścisnąć, śmiać się i płakać, i zapytał mnie, co też ja myślę o tym panu, który tu stoi, spuściwszy nos na kwintę?

— Cóżes odpowiedziała?

— Zawstydziałam się bardzo, schowałam twarz na piersi dziadzia, a ręka moja, sama nie wiem jak, znalazła się w rękę pana Ignacego. Ach! mój drogi Józiu! co to była za szczęśliwa chwila! nawet w oczach ojca widziałam łzy. A o mamie, to już nie ma co mówić. Kiedyśmy jej do nóg upadli oboje, ścisnęła nas i płakała biedna, że aż ją babunia połajała. Potem, wyobraź sobie, przy obiedzie siedzieliśmy już przy sobie, i cały dzień gęba się nam nie zamykała. Ale ty już drzemiesz, Józiu?

Pan Józef nie drzemał wcale. Przechylił on głowę na tył, oparł ją o chłodną ścianę, a spod przymkniętych jego powiek

ży się wytoczyły i popłynęły po twarzy. Anusia spostrzegła to, pokiwała główką, ale tym razem już mu się nie uprzykrzała pytaniami. Potem, pomyślawszy, rzekła nieśmiało:

— Słuchaj, Józiu! ja ci chciałam jedno zrobić zapytanie, i nie śmiałem.

— Dlaczego nie śmiesz?

— Bo widzisz, mój drogi, w nim zamykać się będzie jakaś wątpliwość, która może ubliżyć temu, którego kocham, i którego mi dają rodzice. Ale ja tobie tak ufam! tyś taki dobry, taki rozsądny! ty mnie tak kochasz! — powiedz mi, Józiu, szczerze, czy ja będę szczęśliwa?

— Będziesz, będziesz, moja Anulko — rzekł ściskając ją z wylaniem. — Pan Ignacy człowiek uczciwy, rozsądny, kocha cię pewnie, bo jakżeby ciebie nie kochać? Największa moja obawa była, czy ty go kochasz? Ale i w tej mierze zaspokołaś mnie zupełnie. A nade wszystko cieszy mnie to, że pan Ignacy równy tobie urodzeniem i majątkiem; a to ważna rzecz, moje życie — dodał ściskając mocno jej rękę.

— A tyś pewnie pokochał jakąś osobę bogatą? nieprawdaż? biedny bracie!

Powstał pan Józef, zrobił parę kroków, ale spojrzawszy na drzwi babki, zatrzymał się, wrócił nazad na palcach, i uściskawszy serdecznie siostrę rzekł cicho:

— Idź już spać, Anulko.

Anulka poszła cichutko, oglądając się smutno na brata. On rozebrał się, położył i chciał zasnąć. Ale sen daleko odbiegł od jego oczu. Stał przed nim cały obraz walk, na jakie się narażę, jeżeli da się pokonać słodkiemu uczuciu, które się zagnieżdżało w jego sercu. Czuł zaś, że zwycięstwo będzie trudnym, ledwie niepodobnym. Obraz szczęścia siostry rozmarzył go do reszty. Opisanie zaś proste tej chwili, kiedy jej związkowi błogosławili rodzice, kiedy dziad i babka żegnali ją sędziwą swą ręką, napełniło serce jego śmiertelną obawą, że i starcy zganią jego zapędy, że ojciec nie zaaprobuje¹⁾ ubiegania się o rękę

1) *Zaprobuje*: zatwierdzi.

panny, która, jeśliby weszła pod dach szlachcica, to wejdzie z dumą i pretensjami pańskimi. Z drugiej strony byłże pewnym jej uczuć? może już zapomniała o młodzieńcu, do którego uśmiechała się słodko, którego ścisnęła za rękę. Ale któż wie? nie byłż to z jej strony kokieteria lub prosta wdzięczność za uczynioną przysługę? Panna tak ładna, tak bogata, mogłaż do tej pory nie mieć nikogo, co by się ubiegał o jej miłość? Prosiła go wprawdzie, aby odwiedził jej ojca. Ale to mogło tylko dowodzić jej grzeczności; a jeżeliby nawet było oznaką tklіwszego uczucia, pod jakimże pretekstem przestąpić ten próg, dla niego zakazany? Jak powiedzieć ojcu, że chce zawrzeć znajomość z bogaczem, którego on nie szacował, kiedy znał surowość jego zasad i niezachwiane postanowienie niebratania się nigdy z wyższym od siebie? Wszystkie te myśli tłumnie krążyły po jego głowie; i ledwie przede dniem ciało wzięło górę i sen zamknął jego powieki.

IV.

Pan Płachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplińcach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Płachta był w młodości swojej totumfackim ¹⁾ w jednym z możliwych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *komilfo* ²⁾, i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony *komilfo*. Była to kobieta niebrzydka, ale wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu. przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *A Madame la Comtesse* ³⁾ Płachcina; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur* ⁴⁾ Płachta, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykułów ⁵⁾ *eni y*, które pasjami lubiła. *En volez vous du café? Monsieur Jakob!* ⁶⁾, mówiła zawsze do pana Jakuba, starego kawalera, który ją często odwiedzał, i jak kronika Czapliniecka głosiła, od dawna cholew-

1) *Totumfacki*: sługa do wszystkiego.

2) *Komilfo*: (franc. *comme il faut*), jak należy (wytwornie).

3) *A Madame la Comtesse*: franc. — do Pani Hrabiny.

4) *Monsieur*: franc. — pan.

5) *Partykuła*: cząsteczka, wyrazek.

6) Czy chce pan kawy, panie Jakubie, (*En* niepotrzebne).

ki do niej smalił. Mąż, jak mówią, patrzył na to przez szpary, bo pan Jakub był k o m i l f o, bywał u pani Włodzimerzowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: T e b r z ó z k i l k a i inne piosenki. Oprócz pana Płachty i pani Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki: Zenobia i Kryspinia, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionym swoim k o m i l f o, dodawał: M e d m o z z e l Z e n o b i i K r y s p i n, a pan Jakub, który miał widać pewne prawa do pieszczenia progenitury ¹⁾ pani Płachciny, nazywał Biniu i Piniu. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpętne, ale ich edukacja i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Płachtów. Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Płachcie dostał się przy kollokacji dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego attynencjami ²⁾. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obora w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej części utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy; wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowana. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Płachta osądził, że jest k o m i l f o mieć kilkanaście pokoi i obszerną zagrodę, chociaż mu ciężko za kołnierz, chociaż często panny Płachcianki musiały z łódeczkami swoimi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne cielęta w chlewie przezroczystym, jak małeńkie foki, siedziały nieraz po szyję w wodzie. W toalecie państwa Płachtów i panienek Płachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarzałej k o m i l f o w o ś c i. Pani Płachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii jak w b i r e c i e ³⁾ z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materii, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiały się na jej głowie.

1) *Progenitury*: potomstwo.

2) *Attynencja*: przyległość, przynależność.

3) *Biret*: lub beret — czapka okrągła hiszpańska bez daszka.

i porobił szczyrby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej w stanie, wąskiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakuba dającej jej postać królowej. Panny Płachcianki występowały także w materialnych sukienkach, robionych na kogo innego i branych na kredyt w tandetnym składzie Szłomy, w trzewiczkach materialnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki przedziurawione na pięcie, w perłach ogromnych z fermoarem ¹⁾ ciężko brązowym, w kwiatkach, na których kurzawa leżała grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit paznokci w febrze.

Państwo Płachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon ²⁾, bo jakże może być dom k o m i l f o bez galowej liberii? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hrycka we fraku, którego pani Płachcina, nie wiadomo dlaczego, przezwiała Żorzem, nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie: zszarzana elegancja, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet niepołatanе dywaniki itd. Otóż w takim to domu, 17 października, w dzień świętej Lucyny, była wielka feta. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości i nie tylko wszystkich czaplunieckich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Płachta w cynamonowym fraku, z długimi, ale wążiutkimi połami, granatowych ciasnych szarawarkach, podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż ³⁾ białego halsztuka ⁴⁾. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinnie, zaczął obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przeszawiał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zastawiając po ką-

1) *Fermoar*: zapinanka u naszyjników, łańcuszków.

2) *Galon*: obszycie z taśmy złotej albo srebrnej na ubraniu mundurowym, liberii.

3) *Fontaż*: kokarda, węzeł fantazyjny.

4) *Halsztuk*: halsztuch — krawat, zawiązywany na szyi.

tach. Niemało także miał roboty, nim wazonikami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frenzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i industrii panny Zenobii, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Płachta, nastrzępił bardziej komilfo i symetryczniej poustawiał. Spora trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonymi skórkami z jabłek. Zadyszany i spotniały Żorz związał się jak mucha w ukropie i ciągle dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Płachty, z zachowaniem jednak własnych butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorzowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuliły w siermięgach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynia.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych, o które brukały się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, buchastymi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale zato na rozległym jej gorsie związał się w przezroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym malowały się żywe kolory tej korpulentnej Irydy.

Pani Płachcina rzuciła przymrużonymi oczyma wokoło, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przyplaszczonego, aby się wydawał zadartym, i podchodząc ku rozbitemu zwiercadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie zapytała:

— *Eh bien, monsieur!*¹⁾, czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co? komilfo? nieprawdaż?

Tak, tak — odpowiedziała — wszystko to twoje starania, *Monsieur Płachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu...

¹⁾ *Eh bien, monsieur:* — No, Panie!

— M o n s i e u r ! — przerwała obrażona pani Płachcina, i starając się wyrazowi temu dać intonację, jaką jej dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię. — Zaśmiał się pan Płachta, podłożył obie ręce pod poły fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę, i nachylając się pocałował żonę w ramię pulchne i jeszcze białe.

— Ale gdzież to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się pokażą — odpowiedziała pani Płachcina, idąc z pewnym arystokratycznym chwieciem się ku drzwiom córek, a uchyliwszy je cokolwiek zawołała:

— Z e n o b i , K r y s p i n ! e n v e n e z - v o u s ? o u n o n ¹⁾?

— N o u s y v e n o n s , m a m a n , t o u t - d e s u i t e ²⁾ — odpowiedziały po francusku. Bo zacna pani Płachcina, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomość francuskiego języka. Katowiały go one jak mogły w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle, rozumiały się doskonale. Słyszac tę ich rozmowę pan Jakub, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał, a pan Płachta, który nic nie rozumiał pysnił się, że ma tak k o m i l f o żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystym stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęli się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historii.

Wszedł naprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facjatą ³⁾, obsypany pryszczami, z nosem zaczerwienionym, szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w ręku. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna, dość nisko przycięta, posypana była już szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był to człowiek dobry, niekłótniwy, i bał się dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się staroświeckim susem do ręki

1) Czy idziecie, czy nie? *

2) Idziemy, mamó, w tej chwili.

3) *Facjata*: tu twarz.

pani Płachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobę i pannę Kryspinię. Obok niego była pani Birucka, chuda, miła, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami¹⁾ podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej ręku, jeszcze jednak włożył się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co jej ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckimi i widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz jak sroczki, i lubiły się wzajemnie; ale od tego czasu, jak pani Płachcina dała fałszywy model na czeppek pani Biruckiej, tak że zmarnował się tyfon, z którego miał być zrobiony, i gdy nawzajem pani Birucka, odpłacając za zdradę zdradą, dała fałszywy przepis na baby, tak że mąka, jaja i drożdże poszły wniwecz, i państwo Płachtowie z tej okazji nie mieli ciast k o m i l f o, oziębły się zupełnie sąsiedzkie stosunki, i tylko mężowie jeszcze utrzymali pozorną zgodę. Wszakże mówiono już o tym w Czaplincach, że burza co moment była bliska wybuchnięcia.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajechała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześćoro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niego wylazła ta płodna para i z całym swym pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce, dzieci mniejsze chimerowały²⁾, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbiierać i wołały: do domu, a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to fo, to owo. Matka zażenowana piskliwym głosem zwoływała je; panna Zenobia, bojąc się o swoje frenzelki przy świecach, które już jeden

1) Szlarki: koronki.

2) Chimerować: kaprysić, grymasić.

malec szarpnął, krzyczała z daleka, a pan Birucki grubym głosem śmiał się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło. Nowoprzybyły był to pan Bartłomiej Skrętski z żoną Placydą, kobietą niebrzydką, tłustą, ale flondrowatą, którą zawsze nazywał przez pieszczoty: Placus'ul. Posiadał on także część w Czaplincach, a jako dalszy cokolwiek sąsiad Płachty, żadnych z nim nie miał zatargów. To tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że mieć taką zgraję dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośrednimi jego sąsiadami. Dziedzinec pana Skrętskiego był Scyllą i Charybdą¹⁾, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarne — przepadało bez wieści.

Ale że pan Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprzysąc się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartej kłótni nie dochodziło. Właśnie, gdy pan Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powinszowali solenizantce, pocałowali rzędem wszystkie damy w rękę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił i ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniała się kompania; schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów; ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiały się i panie w perkalowych czepkach, i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach, i z białymi chusteczkami na szyi.

Ale pani Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Płachcanki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedziniec, a pan Płachta także co chwila zazierał

1) *Scylla i Charybda*: Scylla, niebezpieczna dla żeglugi skała w Cieśninie Sycylijskiej naprzeciw wiru Charybda; między Scyllą a Charybdą, być w opalach, między młotem a kowadłem.

do sieni. Pani Płachcina wyglądała naturalnie pana Jakuba, a pan Płachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkali, wspólną mieli karczmę i za hałaburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigiusz grał na skrzypcach i obiecał je z sobą przywieźć, a pan Paweł akompaniował mu na klarynecie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące luki i przerwy, i wydawały się umyślnymi przestankami wtóru, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Płachty i jego córek, które, oprócz nadziei tańca, miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch reosorach i panowie Smyczkowsy, jeden ze skrzypcami w ręku, obwinętymi czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem, okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli, i wszedłszy — prawie razem wieszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie Smyczkowsy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nie nowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo straszne mieli bakenbardy ¹⁾. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli obaj zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tym straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się skłócił, posyłał w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli ogromne obaj, tak że biedny sąsiad, zatknawszy uszy, uciekał do izby. Dla państwa Płachtów zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno pan Remigiusz miał widoki na pannę Zenobię, a pan Paweł na pannę Kryspinię. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że wi-

1) *Bakenbardy*: bokobrody.

dzieli wyraźnie, że panny słodko poglądały na wąsatych muzykantów, a powtórę że bali się któregośkolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił węża, drugi także brwi zmarszczył i z tejże samej strony węża pokręcał.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakub się opóźniał, ale że gospodyni postrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazał podawać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz matki Żorzowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *l e s b u l e s* ¹⁾). Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę śmietanki, panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się umizgami, wykradali cukier z filiżanek, tręcali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne, równie miłe i dowcipne figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzenie długie i znaczące, to łyżeczką po rękę, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionymi zręcznie, po twarzy. Patrząc na te manewry, panowie Zarzycki i Cepowski młodzi przechadzali się, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które miało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle, ile gości, pani Płachciana, siedząca na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakuba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakub miał lat około czterdziestu, był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okrywały wąskie kortowe szarawarki jasno-migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastymi rękawami, zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała spod niego paliowa ²⁾ kamizełka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce, grubo i dosyć wolno okręcona. szła pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się,

1) *Les bules*: francuzczyzna panien Płachcianek, bo wyraz taki w języku francuskim nie istnieje.

2) *Paliowa*: słomkowa.

i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód; a że miał tylko część ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub z tylnych włosów zaczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapal muzyczny psuł i to ruszowanie kokieterii, bo gdy pan Jakub, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli: — A! pan Jakub! Pan Jakub! — Widząc się tak pożądanym, Orfeusz¹⁾ Czaplinięcki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, miękki kastorowy²⁾ tak, że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę i tak witał kompanię. Uśmiechnęły się oczy pani Płachciny, a pani Burucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakub, przechodząc koło panienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

Lecz puście mnie do mamuni,
Ażebym w dzień jej imienia
Złożył u nóg jej życzenia,
A potem dacie kawuni.

— A co? — dodał, i nie czekając, jaki efekt zrobi czworowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pełno było zdrobniałych i pieszczotliwych wyrazów, które mocno lubił. Zakończył zaś rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Panie Boże,
Byśmy za rok, o tej porze,
Zeszli się na imieniny
Do Lucyny, do Lucyny!

1) *Orfeusz*: u starożytnych Greków śpiewak, którego czarująca gra poruszała nawet kamienie; był synem Apolina i Kaliopy.

2) *Kastorowy*: zrobiony z pilśni z sierści bobrowej.

— A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tą razą wszyscy huknęli brawo; pani Płachcina rozrzewniła się i wyciągnęła rękę do pana Jakuba, a pani Birucka ruszała ramionami.

Pan Jakub wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kal'bru kieliszki i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanii nie stało, nie zważając na to, pan Jakub wystąpił naprzód i znowu zaimprovizował:

Dalej panie i panowie!
Drogie to są imieniny!
Niechże, kto ma olej w głowie,
Duszkciem to wychyli zdrowie!

krzyknął i potem dodał: A co? Zdrowie Lucyny!

— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkciem. Kobiety siedziały cokolwiek niekontentne, że nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie, i obrażyły się na pana Jakuba, wszakże niesprawiedliwie, bo pan Jakub, przez drogę układając swoją improwizację, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej na damy, i one dostały po kieliszku, które potem poszły w niezaprzeczone władanie mężczyzn, i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta, szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnym, prosił, aby zabiła czym innym kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pirogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane było k o m i l f o. Wówczas pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakuba, z wejrzeniem pełnym przyszłości, rzekła:

— E n v o u l e z — v o u s c h a n t e r q u e l q u e c h o s e , m o n s i e u r J a k o b ¹⁾?

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowi,

1) Czy nie chciałby pan czego zaśpiewać, panie Jakubie?

i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Płachcianki, uradowane, zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku pokoju; panowie Smyczkowscy pokręcali węża, obaj z prawej strony, bo nie bardzo admiirowali talent pana Jakuba, który także nie miał ich za bardzo wielkich wirtuozów ¹⁾, a pani Placyda przywozowała do porządku swoich chłopczyków, którzy, wydzierając sobie kawałek bułeczki, pocubili się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakub usiadł na swoim miejscu, i założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando ²⁾, i z czuciem, nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą ręką z góry na dół i z dołu do góry, wydobywając z instrumentu dziwne jęki; publiczność dawała znaki ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tym, pan Jakub przestał nagle, spojrział po wszystkich, i zapytał:—A co?— A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go naprzód był pewny, po krótkim preludium ³⁾ zaśpiewał:

Te brzóz kilka, ten bieg wody
Jak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu żyła niegdyś Lucyna ⁴⁾

Ostatnie dwa wiersze powtórzył raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej strofie i po każdej z nich szerokie łono pani Płachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał: a co, wszyscy milczeli. Zachęcony tym pan Jakub rzekł:— Może państwu co nowego? a co? — i nie czekając prośby, bo jej był naprzód pewny, zaśpiewał:

Nie postrzegłszy w krzaku róży
Kupidyn, że pszczołka siadła itd.

1) *Wirtuoz*: mistrz w jakiejś sztuce, artysta.

2) *Tremolando*: drżąc, wibrując.

3) *Preludium*: przegrywka, krótki wstęp muzyczny.

4) Pieśń Ludwika Kropińskiego. Muzykę do niej dorobił niejaki Bystry z Czerwiszcz.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skrętski szepnął panu Biruckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a panowie Smyczkowsy pokręcali węża; gdy jednak przyszło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeśli, synku,
Tak dolega żądło pszczoły,
Cóż dopiero, Kupidyunku,
Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakub zawołał: a co? cała kompania umilkła; pan Remigiusz, zwyciężony, spojrzął na pannę Zenobię, pan Paweł na Kryspinię, a panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czym znowu zachęcony pan Jakub, już miał zacząć wesełszą piosenkę i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przygrywką po każdym wierszu:

Nie wiem, z jakiego powodu,
Drum, drum, drum, drum, drum,
Poszła Filis do ogrodu,
Drum, drum, drum...

Ale pirogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapał i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, po co Filis poszła do ogrodu i każdy ruszył się do półmiska, a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzycząc różnymi głosami, które stłumiły przygrywki pana Jakuba, wołały: pirożki! pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Płachcianki, przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły, jak mogły najwdzięczniej i spojrzały, jak mogły najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowsy tę niemą prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywijał także z solenizantką, a gdy który z panów Smyczkowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakub zastępował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy spały po różnych kątach; pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ruszała ramionami, patrząc, jak pani Płachcina wywija; Żerz zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się o ścianę, wyciągnąwszy naprzód nogi i nos palcem ucierał, a pan Płachta,

patrzac na ten ruch i symetrię, cieszył się w duchu, że wszystko się odbywa k o m i l f o.

A państwo Starzyccy? U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio chodził po pokoju i odmawiał pacierze; babunia siedziała już w swoim krześle przy łóżku i modliła się za męża, dzieci i wnuków; ojciec obchodził cały dom i patrzył, czy wszystko w porządku; matka z córką jeszcze doszywały wyprawę a pan Józef, trzymając rękę na głowie Amora, dumal o lśnących lokach, które ocieniały cudną twarzyczkę, o ustach rumianych, które się do niego tak słodko uśmiechnęły, o czarnych ślicznych oczach, które tak głęboko zajrzały do jego duszy.

V.

— Co tobie, Kamilciu? — rzekła panna Beldeau do panny Kamilli, która, siedząc w kącie obszernej kanapy, przerzucała jedno po drugiej książeczki, które obok niej leżały, a potem, zniecierpliwiona, zgarnawszy je wszystkie, cisnęła od siebie daleko na pokój. Zaśmiała się Francuzica i mówiła dalej:

— Od niejakiego czasu zmieniłaś się zupełnie.

— Tak ci się zdaje — odpowiedziała panienka, podpierając się na rękę z madrasaną minką.

— Wcale nie... nic cię nie bawi.

— Czyż może teraz co bawić, w takiej porze, kiedy deszcz i śnieg, i zimno, i wietrzno, kiedy tylko okiennice stukają, smutno szumią topole i brudne krople biją w okna?

— Czyż niepogoda mogłaby mieć taki wpływ? — rzekła panna Beldeau ze znaczącym uśmiechem.

— Zapewne, na tobie nie. Ty, Belciu, nim się zasznurowiesz, nim uczesziesz, nim poprzypinasz wszystkie kulce, łańcuszki, grzebyki, szpilki i sprzączki, to i nie masz czasu widzieć, co się dzieje; a ja potrzebuję świeżego powietrza i nie mam go, ja nie tylko niczym zabawić się nie mogę, ale gotowam dostać zapalenia płuc i czarnej melancholii.

Znowu zaśmiała się Beldeau, a panna Kamilla spojrzała na nią, ruszyła ramionami i zamyśliła się.

— Żart na stronę, Kamilciu, czy nie choraś ty doprawdy, boś pobladła?

— Nie wiedzieć co gadasz. Czy taka cyganka, jak ja, może poblednąć? kiedyż ja miałam rumieńce?

— Nie miałaś nigdy rumieńców wypiętnowanych na papierowej twarzy, jak panna Hortensja, ale miałaś twarz świeżą, czerstwą i cerę sliczną, a teraz tego nie ma, nawet usta twoje pobladyły, co były zawsze jak korale. — Panna Kamilla westchnęła i nic nie odpowiedziała. — A widzisz — mówiła dalej guwernantka — wzdychasz.

— O! co to, to kłamiesz, Belciu! — odpowiedziała prawie z gniewem panienka, i powstawszy, wyszła ze swego pokoju do sali, siadła przy fortepianie i zaczęła bić po klawiszach, mieszając różne sztuczki razem, przerywając w połowie frazesu, aby wpaść w inny z innego tonu, a wszystko szybko, bez taktu, forte, fortissimo, aż póki struna zerwana smutno nie zabrzęczała i zawziętej muzykantki nie przyprowadziła do opamiętania. Wtenczas panna Kamilla zaczęła chodzić po sali i marzyć. Marzyła o kałuży na drodze, o ładnym młodzieńcu, który jej przyszedł na pomoc; widziała żywo jego postać męską, wzrost przystojny, twarz miłą i myślącą; podobało się jej to, że choć blondyn, był ogorzałym od słońca, że tylko czoło jego wysokie było białe i jasne; przypominała głos wdzięczny i brzmiący i te oczy ciemno-błękitne, co tak rzewnie, tak rozumnie, zarazem tak niebojaźliwie patrzyły. Wyobraziwszy go sobie z całą żywością młodej imaginacji ¹⁾, zapragnąwszy go jeszcze raz obaczyć z całym wytężeniem duszy ognistej i energicznej, panna Kamilla zatrzymała się na środku pokoju, przycisnęła serce obiema rękami, i głęboko westchnąwszy, zawołała: — Oh! doprawdy nie rozumiem.

— Czegóż to nie rozumiała panna Kamilla? Otóż wówczas gdy ją na rękę trzymał, gdy, obok niej siedząc na wasażku nie-tyczanki, patrzył jej w oczy, gdy potem, żegnając się z nią, rękę tulił i całował, wówczas mówię, zdało się jej, że ją ogarniał wzrokiem, myślą, duszą; że po takim spotkaniu się, krótkim ale stanowczym, już ten mężczyzna należał do niej, a ona do niego, tym bardziej, że i ona czuła to dobrze, jak zdradzała swoje zajęcie się wzrokiem, głosem i uśmiechem; że ściskając jego drżącą

1) *Imaginacja*: wyobraźnia

rękę tym samym powiedziała mu: — zrozumiałam cię, znaleźliśmy się. A przecież już dwa tygodnie przeszło od tej chwili, a o nim ani słychu, ani wieści. Prosiła go, aby odwiedził jej ojca, a on nie przyjeżdżał. Tego to nie mogła pojąć panna Kamilla i nad tym rozmyślając, rozbierając różne powody, to upokorzona tą myślą, że może ona sama pokochała, to przestraszona może chorobą, może jakim innym nieszczęściem jego rodziny, chodziła coraz prędzej po pokoju; potem, nagle zatrzymawszy się, zadzwoniła. Wszedł Ignacy.

— Kto u papy?

— Szloma.

— Szloma? — odpowiedziała, jakby uderzona jakimś ciśniętym pomysłem, po chwili rzekła: — Jak wyjdzie, powiedz mu, żeby tu zaszedł do mnie; mam do niego interes.

Lokaj wszedł i w kwadrans potem zjawił się Szloma, zbliżając się z całą elegancją i powagą dobrze wychowanego żyda Szejne-Morejne. Ten sam kaftan materialny był na nim, buty równie wyglansowane, pejsy i broda równie lśniące, a w lewym ręku, której wielki palec był za pasem, też sama sobolowa czapka. Panna Kamilla, siedząc na małej kanapce oparta z gracją na rękę, patrzyła na niego z wdzięcznym uśmiechem; co spostrzegłszy, żyd uśmiechnął się także, zaświecił czarnymi oczyma, pełnymi rozumu, i pokazał zęby białe jak perły.

— Monsieur Szloma! — rzekła panna Kamilla.

— Qu'ordonnez-vous, Mademoiselle? ¹⁾ — odpowiedział żyd z wdzięcznym charkotaniem. Było to charkotanie czysto żydowskie, ale niejednym z naszych elegantów i niejedną z dam, które świeżo wróciły z zagranicy, zazdrościły Szlomie, bo czyniło jego akcent zupełnie paryskim.

— Je m'en nuie à la mort, Monsieur Szloma! ²⁾ — rzekła panienska.

— Ce n'est pas etonnant — odpowiedział żyd — la saison est très mauvaise ³⁾.

¹⁾ Co pani rozkaże?

²⁾ Nudzę się śmiertelnie, panie Szloma.

³⁾ Nic w tym dziwnego; pora roku jest szkaradna.

— Pomówmy o czym, Szloma; zabaw mnie trochę — rzekła panna Kamilla pół żartem, pół serio.

— Bardzo pani dziękuję za ten honor — odpowiedział, pociągając ładną swą ręką pejsy — ale jeżeli pani pozwoli położyć jeden warunek.

— Jakiż to, mości Szloma?

— Żebyśmy mówili po polsku; bo ja nie jestem tak biegły we francuski język, chcę mówić, we francuskim języku, abym mógł utrzymać ciągłą konwersację.

— O! z ochotą, panie Szloma. Język francuski sprzykrzył mi się i tak. Panna Beldeau ciągle mi nim nad uszami terkocze.

— Panna Beldeau — odpowiedział żyd ze znaczącym uśmiechem — ma rację, że mówi zawsze swoim rodowitym językiem.

— Tak byśmy i my powinni robić; nieprawdaż, panie Szloma?

— Zdaje mi się — odpowiedział. — Ale to się do pani nie stosuje — dodał pochlebnie. — Pani, choć majętna i wyniańczona francuskimi rękoma, jednak mówisz bardzo dobrze po polsku, co u nas na Wołyniu rzadko się zdarza.

— Że ja mówię jakkolwiek, to nic dziwnego, ale że ty, panie Szloma, tak czysto mówisz językiem, to dziwniejsze.

— Uczyłem się i starałem się — odpowiedział, gładząc brodę. — Czytałem dosyć, póki miałem czas i dawniej mówiłem daleko lepiej. Potem wzięłem się do handlu i naszych spekulacji pieniężnych, i wiele zapomniałem. — To powiedziawszy, uśmiechnął się. Jak autor, który przez skromność sam się gani. pewny, że mu słuchający zaprzeczą.

— Teraz tym bardziej musisz nie mieć czasu, panie Szloma, kiedy, oprócz handlu, zajmujesz się interesami mojego ojca i pracujesz tak gorliwie nad wzbogaceniem mnie coraz więcej. Nieprawdaż, mości Szlomo? — dodała z ironicznym uśmiechem. Zaczzerwienił się cokolwiek żyd, a potem patrząc jej bystro w oczy, jakby chciał przeniknąć, do czego te słowa zmierzają, dodał: — Pozwoli mi pani powiedzieć, żem ja nie dobrze zrozumiał?

— Jak to? — odpowiedziała żywiej — czyż we wszystkich kupnach, które mój ojciec od lat kilku zrobił, nie małeś czynnego udziału, panie Szloma? czyż i teraz nie pracujesz gorliwie, abym wkrótce i po Czaplinach mogła się przejechać, jak po swojej własności? A propos, powiedz mi co o tych Czaplinach, jak stoją interesa? Podobno już jednego szlachcica mój ojciec spłacił i częśćkę jego posiadał. A wam dosyć mieć jeden punkt do ustawienia baterii.

— Nam — odpowiedział żyd ze szczególnym akcentem.

— Tak jest, wam, działającym — odpowiedziała z przyciskiem — bo ja przyjdę do gotowego. Powiedz mi, panie Szloma, czy wszystkich tych panów masz w rękę? bo słyszałam, że to szlachta nieuważna, ekspensowna ¹⁾, chętnie zaciąga długi i bierze na kredyt, a pan Szloma zawsze gotów usłużyć.

— Skądże to pani wiesz? — odpowiedział cokolwiek zażenowany — nie sądzę, że te rzeczy panią interesują.

— Czyż ja nie mam już dziewiętnaście lat? czy mi nie pora za męża? czyż mnie to nie interesuje, aby mój posag był jeszcze okrągłym, mąż jest? Wszak wiesz, panie Szloma, że nasi panowie pierwszej rachują dusze swojej narzeczonej, a potem dopiero starają się poznać, czy ona sama ma duszę, czy nie? Takie teraz czasy i rozum spekulacyjny zagnieździł się nie tylko pod takimi ładnymi lokami, jak twoje, ale i pod takimi jak moje, choć mniej ładne i nie tak się błyszczą.

— Pani będziesz bardzo wielką panią — odpowiedział żyd z uśmiechem i chciał pogłodzić swoje pejsy, ale się zmiarkował i spuścił rękę nazad.

— Panią, pan!... czy to źle być wielką panią? — odpowiedziała, kładąc się niedbale na kanapie; — ja tego szczerze pragnę; dlatego powiedz mi, w jakim stanie są nasze operacje względem Czapliniec? Czy wszyscy ci mocno są dłużni?

— Prawie wszyscy — odpowiedział — i żałuję teraz, że się unoszę ludzkością... Pani się uśmiechasz na to słowo; praw-

¹⁾ *Ekspensowny*: rozrzutny.

da, ono dziwnie brzmi w ustach żyda, ale i żyd jest człowiekiem i wie, co to ludzkość.

— Jeżeli który wie tak, jak ty, panie Szloma, i umie tak w miejscu używać tego wyrazu; ale cóż dalej? więc wszyscy? — dodała smutniej, pochylając głowę.

— Powiedziałem prawie wszyscy, bo tam jest jedna familia oszczędna, gospodarna i rozumna, która ani mnie, ani nikomu nic nie winna, i żyje sobie uczciwie i oddzielnie. A, co to za ludzie!

— Któż to taki, panie Szlomo! — zapytała żywiej i silny rumieniec okrył jej lice. — Powiedz mi o nich więcej, bo to fenomen¹⁾ w Czaplincach.

— To są niejacy państwo Starzyccy. Powiem pani, patriarchalna²⁾ rodzina. Jest tam stary dziadek poczciwy, choć trochę gorączka; jest babka, którą oni wszyscy niezmiernie szanują; jest ojciec, człowiek bardzo rozumny, choć trochę ponury i milczący; jest matka, kobieta gospodarna i cicha; jest panienka ładna i usłużna, i jest syn, młody człowiek rzadki, i powiem pani, że nawet między bogatymi paniczami naszymi nie ma takiego, żeby miał taką głowę i takie serce.

— I to wszystko w Czaplincach? Skądże ich tak znasz dobrze, panie Szloma? — zapytała panienka, która go z wielkim zajęciem słuchała.

— Jak to, skąd? proszę pani! ja w Czaplincach bywam często dla różnych interesów z tamtejsze panowie, chcę mówić: z tamtejszymi panami, i wiem doskonale, co się u każdego z nich robi, jaki on, i jak żyje. Co się tyczy państwa Starzyckich, to, choć ja z nimi nie mam nic do czynienia, czasem jednak do nich zachodzę pod pretekstem, czy czego nie potrzebują?

— I po cóż, panie Szloma, kiedy wiesz, że oni niczego nie potrzebują?

— Pani będziesz się znowu śmiać, jak powiem. Ja u nich się uczę, co to jest ludzkość — odpowiedział z pewną dumą. —

1) *Fenomen*: zjawisko, objaw niezwykły.

2) *Patriarchalna*: oparta na władzy najstarszego w rodzie, na poszanowaniu starszeństwa.

I jak się u innych napatrzę na brudy, na zawziętość jednego na drugiego, na ambicję pańską z dziadowską intratą¹⁾, jak to mówią, to mnie miło u państwa Starzyckich obaczyć rozum, porządek, cichość i pokój domowy.

— Ty jesteś szczególny żyd, panie Szloma! — Jeszczem cię nie znała z tej strony — rzekła panna Kamilla ze szczerem zajęciem.

— Jeśli mi pani pozwolisz częściej z sobą pomówić, to mnie pani lepiej poznasz.

— Nie uwierzysz, jak mi to będzie miło — odpowiedziała. — Ale czy wiesz, panie Szloma — rzekła potem, jakby od niechcenia — że, przejeżdżając przez Czaplińce, ledwie nie byłam pewna, że ludzie porządni i gospodarni mieszkają w tym dworku na prawo, gdzie topole przy bramie, klony przy ganku, a z tyłu ogród, czy lasek; to to jest dom tych państwa Starzyckich?

— Ten sam odpowiedział. — Znać pana po cholewach, mówi przysłowie, a można dodać: znać gospodarza po jego zagrodzie.

— O, bez wątpienia — odpowiedziała, patrząc nań z pochlebnym uśmiechem — powierzchowność wiele znaczy. Dostyć spojrzeć na ciebie, panie Szloma, dostyć cię posłyszeć, aby się domyślić, że człowiek porządny i edukowany²⁾.

— Pani nadto grzeczna — odpowiedział — ale nam, żydom, nie trudno się w tej mierze dystyngować³⁾. — Ten wyraz znowu wymówił z pretensją.

— A toż dlaczego?

— Gdzie wszyscy brudni — odpowiedział, gładząc sobole swej czapki — tam dostyć się cokolwiek oczyścić, aby zwrócić uwagę.

— Skromność podwaja zasługę, panie Szloma — rzekła, i kiwając mu głową, z gracją dodała: — Ale nie zabieram ci czasu i dziękuję ci, żeś mnie cokolwiek rozerwał. Pokłoń się

1) *Intrata*: dochód, zysk.

2) *Edukowany*: wykształcony.

3) *Dystyngować się*: wyróżniać się

żonie ode mnie, panie Szloma, i Racheli. — Żyd skłonił się grzecznie i gdy był już przy drzwiach, panna Kamilla, n by przypomniawszy sobie, rzekła: — Ale, pan e Szloma! wracając do naszych projektów skupienia Czapliniec, zdaje mi się, że państwo Starzyccy mogą nam w tym pomóc, gdybyśmy się umieli z nimi obejść.

— Jak to, proszę pani? — odpowiedział, wracając.

— Ja myślę — rzekła, czerwieniąc się i spuszczać oczy — że memu ojcu wypadaloby z nimi poznać się bliżej. Człowiek taki gospodarny i wyższy rozumem nie może nie mieć wpływu na swoich sąsiadów.

— Pani myślisz, że on skłaniałby ich do pozbycia się własności na rzecz pana prezesa? Nie, pani dobrodusko — rzekł stanowczo — pan Starzycki tego nie zrobi.

— To przynajmniej odradzać im tego nie będzie, jeśli mój ojciec z nim się zbliży i zaprzyjaźni. Wszakże dla tak ważnego interesu warto zrobić pierwszy krok. Mój ojciec ufa ci, panie Szloma. Mnie się zdaje, że od ciebie lepiej taką radę przyjmie, niż ode mnie, niedoświadczonej dziewczyny. A zrobiłbyś mi wielką łaskę, bo nie uwierzysz, jaką mam chęć do tych Czapliniec! — dodała śmiejąc się.

— Myśl pani bardzo dobra — odpowiedział Szloma — już ona i mnie przychodziła. Ale nie wiedziałem, że panią Czapliniec tak mocno interesują.

— A wiesz dlaczego? — odpowiedziała. — Wszak Szyszkowce graniczą z Czaplincami, a Czapliniec z naszą Żurawką a za Żurawką co...

— Majątek pani Włodzimierzowej Podziemskiej.

— A więc?

— A więc — odpowiedział żyd, uśmiechając się konfidencjonalnie — czy pani pozwoli powiedzieć?

— Mów, panie Szloma.

— Majątku tego dziedzicem jest pan Henryk Podziemski. Masz pani rację, wszystko to razem stanowiłoby dobra bardzo pękne.

— Dostyc tego panie Szloma; wiesz więcej, niżelim chcia-
ła. Daj ten pierścionek swojej słicznej Racheli. Obiecałam jej
dawno prezencik i zapomniałam. A d i e u, M o n s i e u r
S z l o m a. — I znowu kiwnęła mu głową. Żyd popatrzył na
nią przenikliwie, skłonił się i wyszedł.

Zaledwie drzwi się zamknęły, panna Kamilla zakryła
twarz obiema rękoma i tak siedziała przez chwilę, oddycha-
jąc po tej ciężkiej komedii, którą odegrała. Potem, powsta-
wszy, otarła łezki, które puściły się z jej oczu, i zadzwoniła.

— Czy Szloma poszedł już? — zapytała Ignacego.

— Nie, pani, wrócił znowu do pana i jeszcze tam siedzi. —
Uśmiechnęła się panienka, pełna nadziei, że się jej uda wybieg.
i lżejsza i weselsza pobiegła do swojego pokoju.

Nazajutrz dzień był jasny i pogodny. Lekki przymrozek
ściągał wilgotną ziemię. Panna Kamilla, ożywiona nadzieją
i orzeźwiona ostrym i świeżym powietrzem, z wesołą i czer-
stwą twarzą wracała około godziny jedenastej z ogrodu, gdzie
można było pochodzić po zmrożonych cokolwiek ulicach. Przed
gankiem postrzegła koczyc ojcowski i prezesa na ganku, już
gotowego do wsiadania. Szybko więc ku niemu podbiegła, i po-
całowałwszy go w twarz z poufałością samowolnej jedynaczki,
zapytała:

— Czy papa na spacer jedzie? proszę mnie wziąć z sobą.

— A, nie, nie mogę — odpowiedział. — Ja jadę z wizytą
do Czapliniec.

— Do Czapliniec? — zapytała z udanym podziwieniem
i śmiejąc się głośno, dodała: — Czy nie do pani Płachciny? —
Państwo Płachtów znała panna Kamilla z nazwiska, bo ci sta-
rali się wszelkimi sposobami zaprzyjaźnić z prezesem, uważa-
jąc to za rzecz k o m i l f o.

— Nie, nie! — odpowiedział — ja jadę do państwa Sta-
rzyckich.

— Cóż to za państwo Starzyccy — zapytała, niby nie
chcąc i poprawiając ojcu kołnierzyk przy chustce, który mu się
pozaginał.

— Jezus Maria! — rzekł prezes — na cóż ci to wiedzieć? Tak sobie, szlachta, ale mam w tym interes, żeby się z nimi poznać.

— Starzycki! Starzycki! — rzekła, niby przypominając — niech no papa poczeka. A, czy też papa pamięta o tym przypadku, który nam się zdarzył, gdyśmy wracały od marszałkowej dwa tygodnie temu?

— O jakim przypadku?

— Ach, Boże mój! opowiadałam przecież papie, żeśmy zażreżły z Belcią w kałuży.

— Aha, i jakiś jegomość was wyratował.

— Otóż, jeśli się nie mylę, jakiś pan Starzycki... Tak, tak, dobrze mówię, pan Starzycki z Czapliniec. Proszę papy, jeżeli to ten sam, do którego papa jedzie, niech mu papa pięknie podziękuję, bo doprawdy zasłużył na to. Tak heroicznie wlaź w kałużę, po same kolana, tak chętnie kazał odprząc konie i nas wyciągnąć, że doprawdy zobowiązał mnie bardzo. A jeżeli mnie — to i ciebie papo, nieprawdaż?

— Bez wątpienia.

— Gdyby nie on, to nie wiem, co by było. Mnie, to jeszcze pół biedy, ja bym chętnie wlaźła była w błoto, ale p. Beldeau.

— Co mi tam twoja p. Beldeau! — odpowiedział, krzywiąc się.

— A ja, czy także co mi tam?

— Ty co innego.

— Otóż widzi papa, jeżeli nie przez wzgląd na p. Beldeau, to przez wzgląd na mnie powinien papa być wdzięcznym. Któż wie, co by się było stało, gdybym była wlaźła w błoto, a wlaźłabym była niezawodnie. I wtenczas jedynaczka i sukcesorka papy mogła była zamoczyć nogi, z zamoczenia nóg dostać kataru, katar spadłby był na piersi, potem przyszlaby pleura ¹⁾, a potem suchoty... i marsz na tamten świat, a Szyszkowce, Żurawka, Kopnowka, Krzeczeki, Mirskie, a może i Czaplince dostałyby się nie wiedzieć komu.

1) *Pleura*: zapalenie opłucnej.

— Jezus Maria! — rzekł prezes — co ty pleciesz, dziewczyno, aż mróz po mnie poszedł.

— Niechże z tego papa osądzi, ile winien temu jakiemuś panu Starzyckiemu. Proszę mu ładnie podziękować i zaprosić go jeszcze do siebie, żebym mu i sama powtórzyła podziękowanie.

— Dobrze, dobrze, podziękuję i zaproszę — rzekł przenikliwy prezes, myśląc sobie w duchu: właśnie mi to na rękę, będę miał pretekst do tych odwiedzin. — Panna Kamilla poszła do siebie, pleszcząc w dłonie, a gdy weszła do sali i obaczyła tam pannę Beldeau przed zwierciadłem, porwała ją do walca i zaczęła wirem kręcić tak, że biedna Francuzica, zadyuszana i zmęczona, padła, jak bez duszy, na kanapę.

Tymczasem pan Józef nie był tak wesołym. Nie mógł spać, stracił apetyt i humor, a wszystko to musiał ukrywać przed rodziną, która go kochała, szczególnie przed ojcem, który by mu był od razu szalonych myśli zabronił. Czuł i sam młody człowiek całą niedorzeczność namiętności, która w żaden sposób zwyczajnym trybem zaspokojona być nie mogła; widział, że mu walka potrzebna, ale oraz widział i czuł, że wszelka walka nic nie pomoże, że uczucie silne, gwałtowne, rzuciło głębokie korzenie w jego serce i wyrwać się nie da.

Stan jego pogarszała jeszcze niepewność, czy uczucie jego podzielone, czy już nie zapomniany zupełnie? I być może, że go to najwięcej dręczyło, że nie miał sposobności przekonać się, czy tak jest, lub nie? Gdyby pojechał, obaczył, gdyby go przyjęto zimno, a może i nie przyjęto wcale, mimo grzecznego zaproszenia, może by to było najlepszym lekarstwem. Dziesięć razy zbierał się powiedzieć ojcu, że ma zaproszenie do Szyszkowicz i że mu wypada odwiedzić pana prezesa. Ale ile razy stanął przed nim i spojrzał na tę twarz poważną i surową, здаwało mu się, że widzi na jego czole naganę i zakaz, i nie śmiał ust otworzyć. Kilka razy znowu chciał bez wiedzy ojca dogodzić najgorętszemu życzeniu, które mu dzień i noc spokoju nie dawało; wyjeżdżał konno niby na spacer, ale wyjechawszy na wzgórek, z którego widać było Szyszkowce, gdy spojrzał na

wieś obszerną na kilkanaście kominów, z których wszystkich wznosiły się kolumny dymu, oznaczające, że tam dostatek, za-
możność nieszlachecka, a zatem duma i zamiary odpowiednie.
tracił odwagę, bojąc się nie tak pychy ojca, jak zimnego przy-
jęcia panny, które by odwróciło od ust jego to opium, co go
truło, ale rozkoszne dawało marzenie.

Takim sposobem przeszło dwa tygodnie i pan Józef ze-
smutniał, zmizerniał i pobladł. Tego dnia, gdy koczyk prezesa
zbliżał się do Czapliniec, siedział przy oknie wychodzącym na
podwórze i mówił do siostry, która przed nim stała ze łzami
w oczach.

— Anulku, ja szczęściem twoim jestem szczęśliwy.

— Alem ja smutkiem twoim smutna — odpowiedziała.

— To przejdzie, moje życie, jestem niezdrów, nic więcej.
Ale mnie o nic nie pytaj i, jeżeli mnie kochasz, nic nie mów
mamie i babuni, że mnie widzisz smutnym i niezdrowym.

Wtem dał się słyszeć turkot i kocz stanął przed gankiem.
Z początku rumieniec okrył twarz panny Anny, bo myślała, że
to jej narzeczony; a gdy zajrzała w okno i postrzegła otyłego
mężczyznę, któremu lokaj pomagał, zawołała; — Ach! to po-
dobno prezes z Szyszkowiec! skądże się to wzięło? i pobiegła
do kancelarii dać znać ojcu. Na te słowa siostry zerwał się pan
Józef. Dziwne myśli tłumem opadły jego głowę i nadzieja jakaś
ożywiła jego piersi. Kontent był, że siostra, odchodząc, nie
spojrzała na niego, bo by się była wszystkiego domyśliła, tak
nagle, tak widocznie wszystko, co czuł i myślał, wybiło się na
jego twarzy. Już był cokolwiek ochłonał, gdy ojciec wyszedł
ze swego pokoju i rzekł: Józiu! wyjdź, poproś tu tego szczegól-
nego gościa.

Zbliżył się pan Józef do drzwi, otworzył je i skłonił się
grzecznie wchodzącemu prezesowi. Prezes, cokolwiek zażeno-
wany, oddał mu ukłon i szedł, przechylając się, ku gospodarzo-
wi domu, który stał na środku pokoju i patrzył poważnie na
zbliżającego się gościa. Prezes podał mu rękę i rzekł:

— Panie sąsiedzie, winienem ci podziękowanie i korzystam
z tej zręczności, chcąc bliższą z panem moim zabrać znajomość.

Panu Józefowi w oczach się zaćmiło, a gospodarz, uśmiechnąwszy się odpowiedział:

— Nie wiem, czym mogłem pana prezesa dobrodzieja zobowiązać, i prawdziwie nie poczuwam się do żadnej przysługi. Ale niech pan prezes raczy usiąść.

Usiadł prezes, splótł tłuste swoje rączki na brzuchu, zaczął zwolna obracać palcami, i rzekł znowu:

— Jezus Maria! jak to w życiu naszym wszystko mądrze urządzone. Nawet przypadek. Na pozór nieprzyjemny, może się na coś dobrego przydać. Gdyby moja córka nie była ugrzęzła z powozem i nie doznała od pana dobrodzieja ratunku i pomocy, byłbym zapewne pozbawiony tej przyjemności, jaką sobie obiecuję z najbliższego zapoznania się.

Wpatrzył się w niego pan Hipolit Starzycki, a pan Józef, widząc, że mu należało wyprowadzić ojca z ambarasu, przystąpił bliżej i rzekł:

— Kochany ojcze! aktorem w tej małej scenie, którą, widzę, pan prezes wyżej ceni, niż warta, byłem ja.

— Ty? — odpowiedział ojciec, spojrzawszy bystro na syna, który się zaczerwienił — i niceś mi o tym nie wspomniał?

— Dowód, że to uważałem za rzecz drobną i niewartą wspomnienia. Obowiązkiem było mężczyzny dać pomoc damom, znajdującym się w niemiłym położeniu.

— Ale też i obowiązkiem jest ojca podziękować za pomoc daną córce — odpowiedział prezes, patrząc z przechyloną głową na młodego człowieka i puściwszy swymi palcami prędszego młynka. Skłonił się młodzieniec, a prezes, zwracając się do ojca, rzekł:

— Ale jak syn pana dobrodzieja zmężniał. Prawdziwie, byłbym go nie poznał.

— Nie wiem, czyś go pan dobrodziej gdziekolwiek widział — odpowiedział ojciec. — My żyjemy samotnie, nie bywamy nigdzie i mało kogo widzujemy u siebie.

— Wiem, wiem, — rzekł prezes — a właśnie i za to przydarzonej dziś okazji chciałem się z panem dobrodziejem trochę

wykłócić. Jezus Maria! czyż to między sąsiadami nie można zrobić wyboru?

— Szozupły majątek — odpowiedział pan Starzycki — wymaga czasu i pracy, a drobne gospodarstwo daje tyle kłopotu, że do odwiedzin nie zostawia ani swobodnej myśli, ani swobodnej chwili.

— Im więcej w las, tym więcej drzew, panie kochany — mówił prezes. — Im większe gospodarstwo, tym więcej kłopotu. Ci tylko marnują czas, którzy marnują bez rozważenia to, co im ojciec zostawił. Kto się dorabia tak, jak ja i pandobrodziej, to równie zajęty, choć ma trochę więcej, lub trochę mniej. A przecież, widzisz pan dobrodzieju, znalazłem chwilę i pragnę szczerze, abys ją i pan dobrodzieju znalazł.

Uchylił głowę ojciec, a synowi serce rozrywało piersi. Prezes, spojrzawszy na Anusię, która siedziała przy oknie z robotą, dodał: — To zapewne córka pana dobrodzieja. — Anusia powstała zaczerwieniona i dygnęła. — Panienska z takim wychowaniem — dodał prezes ciszej — jakie odebrała w tak patriarchalnej rodzinie i od takich rodziców, nie musi tu mieć kompanii w Czaplincach.

— Moja córka — odpowiedział pan Hipolit, któremu to wszystko niezmiernie dziwnym się wydawało — kompanii nie potrzebuje. Dla ubogiej dziewczyny najlepszymi towarzyszami są matka i praca.

— Jezus Maria! — odpowiedział prezes — pan dobrodzieju jesteś człowiek surowy; ale młodość ma swoje prawa i swoje potrzeby, które nam starszym wydają się cokolwiek dziwnymi, bo prędko zapominamy, żeśmy i sami byli młodzi.

— Sądzę — odpowiedział pan Hipolit — że mąż, którego jej Bóg daje, będzie mi wdzięczny, że mi ją przyuczył cenić dom nad wszystko i towarzystwo familijne przenosić nad wszystkie kompanie.

— Więc panienska wychodzi za mąż? a! winszuję, winszuję — rzekł prezes, a potem, przechyliwszy głowę, dodał: — Jako ojciec, zazdroścę panu dobrodziejowi, żeś już wybrał dla swego dziecka dozgonnego towarzysza i zapewne z tą pozor-

nością i uwagą, która cechuje wszystkie czynności pana dobrodzieja. Ja jeszcze nic nie postanowiłem, nic z pewnością nie wiem, co czeka moją jedynaczkę. Niemały to ciężar na głowie ojca.

— Przy piękności i takim posagu, to kłopot niewielki — odpowiedział nasz gospodarz.

— Jezus Maria! — zawołał prezes — tak się zdaje. A tymczasem ja wiem, jak to trudno się zdecydować, bardzo trudno. Mamy wprowadzić projekta, ale jak to pójdzie, to Pan Bóg lepiej wie.

Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał nasz bohater. Oddech tamował się w jego piersiach, twarz mieniła się co moment, i na koniec przy ostatnich słowach prezesa okryła się śmiertelną bladością. Widziała to siostra, która od niejakiego czasu nie spuszczała z niego oczu, i z domyslnością kobiecego serca odgadła wszystko.

Zabawił jeszcze czas niejaki prezes, mówił o gospodarstwie, admirował porządek pana Starzyckiego i dziwił się, jak u niego wszystko w porę zasiano, skoszono i zebrano. Potem, podziękowawszy raz jeszcze panu Józefowi i oświadczywszy powtórnie chęć bliższego poznania się, wyszedł, wyprowadzony przez gospodarza. Na ganku spotkali dziadzia, który wracał z ogrodu z krzywym nożem w ręku. Uchylił czapeczkę swoją staruszek i odpowiedział ze staroświecką grzecznością, w której widać było owe nałogowe uszanowanie szlachcica dla wielkiego pana.

— Zazdrościć można wielmożnemu panu dobrodziejowi takiego zdrowia w tak późnym wieku — rzekł prezes.

— Świeże powietrze i praca, jasnie wielmożny prezesie — odpowiedział starzec.

— A może i polowanie — dodał prezes.

— Już nogi nie służą, jasnie wielmożny prezesie. Kaczki bym jeszcze strzelał, gdyby było gdzie, ale tu u nas nie ma stawu.

— Mój w Szyszkowcach — usługi — odpowiedział prezes — bardzo proszę. A jeszcze z takim psem — dodał patrząc

na Amora, i chciał go pogłaskać. Pies warknął, spojrzął w oczy swemu panu i na dany znak, mrużąc, cofnął się i ułożył przy jego nogach.

— Zły i karny, to bardzo dobrze — rzekł prezes, cokolwiek niekontent, że mu się z psem nie udało. A powtórzywszy zaproszenie na staw i ukazując, z której strony najwięcej kaczek, wsiadł i pojechał.

Wrócili wszyscy do pokoju. Dziadzio chwalił grzecznego pana i zaraz jutro wybierał się na kaczki. Pan Hipolit był zamysłony i choć go cokolwiek ujęło obchodzenie się prezesa, ale nie mógł dojść, skąd się wzięło i nie chciał wierzyć, aby w tym nie było jakichś ukrytych zamiarów. Anusia tylko odgadła wszystko. Gdy pan Józef został sam w pokoju, i oparłszy się o piec, stał pogrążony w myślach, przystąpiła do niego nagle i rzekła:

— Józiu! ty kochasz pannę Kamillę.

— Cicho! — zawołał i położył rękę na jej ustach.

— A widzisz, niedobry bracie na próżność ukrywał. Ale ja ci coś powiem...

— Co możesz powiedzieć?

— To, że i ona ciebie kocha...

— Anusiu! — zawołał pan Józef, chwytając siostrę za rękę — skądże ty to wiesz?

— Czyżby inaczej prezes nas odwiedził? Czyż to nie robota córki jedynaczki, która wszystko robi z ojcem, co chce, i która pewnie tego chciała?

— Anulko! Anulko! O, gdybyś ty mówiła prawdę.

— Czyżbym i ja tak nie zrobiła, gdybym miała władzę nad ojcem i gdybym kochała?

Uściskał pan Józef domyślną dziewczynę i wybiegł na ogród szukać świeżego powietrza, tak gwałtownie biło jego serce, tak je cisnęło to postanowienie: — Bądź co bądź, muszę ją widzieć.

VI.

Prezes wrócił do domu, sapiąc po tej łaźni, którą odbył i czując się w duszy upokorzonym przez zimne i poważne przyjęcie ubogiego szlachcica. Mimo całej zręczności, panna Kamilla nic nie mogła z niego wydobyć i widziała wyraźnie, że był zły i niekontent. Nazajutrz po obiedzie, gdy leżała na szezlonogu, przewracając jakąś książkę, a ojciec, siedząc w swoim krześle i trawiąc suty obiad, wspominał coś z ogródka o panu Henryku Podziemskim, dał się słyszeć hurkot, zajechała sześciokonna karetka i dano znać, że pani Włodzimierzowa Podziemska z synem przyjechała. Zbladła panna Kamilla, jak ściana; przypomniała sobie onegdajszą rozmowę z pełnomocnikiem ojca; przeleżała się, czy nie naprowadziła ich na zgubną dla siebie drogę i czy nie stanie się ofiarą swojej własnej chytryści. Ta zmiana jej twarzy była tak widoczną, że ją postrzegł prezes i tłumacząc, jak zwykle tłumaczymy z razu wszelkie wypadki, to jest stosownie do życzeń, rzekł, śmiejąc się:

— Jezus Maria! czegożeś tak się zmieszła? O wilku mowa, a wilk tu. Nie spodziewałaś się takiej siurpryzy ¹⁾. Idź, popraw trochę toaletę i przychodź.

Kontenta była panna Kamilla z tego rozkazu i wyszła z sercem ściśnionym, aby odetchnąć cokolwiek i ułożyć twarz do przyjęcia nowych gości.

Oto jest powód tak niespodziewanego zjawienia się pani Włodzimierzowej: Rok temu, dama ta, przyciśnięta przez ja-

¹⁾ *Siurpryza* — niespodzianka.

kiegoś niecierpliwego kredytora¹⁾, udała się do prezesa z prośbą o pożyczanie pięćdziesięciu tysięcy. Nic nie mogło bardziej ucieszyć naszego zdobywcy, jak ta propozycja, tym bardziej, że dług ten był oparty na wiosce, przylegającej do jego Żurawki i mógł ją tym sposobem wprowadzić w granice jego posiadłości. Ułożył się więc z nowym wierzycielem, zyskał ustępnego kilka tysięcy i dostał oblig zakładowy²⁾ na owej wiosce z terminem rocznym. Wtenczas to zrodziła się w głowie prezesa myśl posunięcia jeszcze dalej swoich zaborów i zapieczętowania wszystkiego przez związek panny Kamilli z panem Henrykiem Podziemskim, dziedzicem obszernego, chociaż odłożonego majątku. Za pośrednictwem Szlomy ponabycwał prezes niektóre jeszcze skrypta pani Włodzimierzowej, na każdym z nich zarobili obaj, i tym sposobem cały dług prezesa na tej pani wynosił już przeszło dwakroć. Przy porządku i gospodarstwie byłby to ciężar niezbyt wielki; ale pani Włodzimierzowa, kobieta w gruncie niezła, lecz ze skrzywionym wychowaniem, w nic wcale wchodzić nie chciała; raz, że jako księżniczka z domu, wyszła za szlachcica w tej wierze, że skarby jego niewyczerpane i poczytywała za rzecz ubliżającą swemu urodzeniu zajmować się takimi drobiazgami; po wtóre, że z komisarzem i ekonomami trzeba było mówić po polsku. Wołała więc pozwolić im robić, co by się im podobało, niż zadawać sobie przykrość w mówieniu językiem, którego nie umiała i nie lubiła, i częstą konwersacją z ludźmi tak ordynaryjnymi zepsuć sobie piękną francuską pronuncjacją³⁾. Synek, wychowany w tychże samych zasadach, prawdziwy jednak, wypieszczony, wychuchany, a przez więć matki i jej przesadzoną miłość welinowy⁴⁾ panicz, czytał tylko francuskie romanse, złe i dobre, i n t r a p a r e n t h e s i m⁵⁾ praktykował pierwsze na fraucymerze mamy, i także w nic nie wglądał. Tym sposobem doszły rzeczy do takiego stanu, że z do-

1) *Kredytor* — wierzyciel.

2) *Oblig zakładowy* — zastaw, który dłużnik traci, jeśli w terminie nie wywiąże się ze swych zobowiązań.

3) *Pronuncjacja* — wymowa.

4) *Welinowy* — delikatny.

5) *W międzyczasie, ogródkowo, nawiasem.*

chodów wielkiego majątku wpływało tyle, ile potrzeba było na wystawne utrzymanie domu; ale na opłacenie procentów, na potrzeby gospodarstwa, na podatki itd., nigdy pan komisarz nie miał pieniędzy. Widział się więc zawsze w konieczności zaciągania nowych długów, w oczekiwaniu wyższych cen na zboże i wódkę, których teraz za bezcen zbywać nie radził. Pani Włodzimierzowa, mając wszystkiego pod dostatkiem, mając kredyt u Szafnagla i u żydków krzemienieckich, żyła sobie wspólnie i bez troski, dogadzając i miękcząc coraz bardziej synka, wierząc w swoje państwo, pozwalając komisarzowi zaciągać nowe długi, i spodziewając się ryczałtem zapłacić wszystkie, gdy produkta pójdą w górę. Nie wiedziała ona o tym bynajmniej, iż na jej tokach stało więcej słomy, niż zboża, a w kufach więcej było wody, niż wódki.

Ale prezes znał doskonale stan interesów tej pani. Wiedział on, że, zastraszywszy ją terminem obligu zakładowego i innymi skryptami, które już dawno ekspirowały¹⁾, zmusi ją do chętniejszego przyjęcia propozycji, jaką już jej przed pół rokiem przez trzecią osobę robił, a na cś wówczas pani Podziemska się skrzywiła. Urodziwszy się bowiem księżniczką, uważała prezesa za gorszego jeszcze szlachcica, niż był jej mąż, któremu tego nigdy darować nie mogła, że ją obłócił w szlachecką skórę i to tylko miała na widoku, aby i w następnym jej pokoleniu znajdowała się koniecznie mitra, choćby tylko sterczała po kądzieli. Na nieszczęście w okolicy księżniczek dojrzałych nie było i pani Włodzimierzowa w pretensjach swoich cokolwiek zmiękła. W takim usposobieniu zastał ją wczoraj list prezesa, posłany wskutek rozmowy Szłomy z panną Kamilłą. Prezes, kontent, że córka wchodzi w jego widoki i jak on przejęta ambicją rozszerzenia i zaokrąglenia swoich posiadłości, wziął za dobrą monetę to, co chytra panienka udawała przed Szłomą. Chociaż wątpił, aby taka cacana laleczka, jak pan Henryk, mógł się jej podobać, że jednak sama napomknęła o tym Żydowi, wniósł, że jako nieodrodne dziecko, zajęta nie

¹⁾ Których termin już dawno minął.

romansami, ale realniejszą korzyścią połączenia dwóch takich majątków. Z tego względu i sam wrócił żarliwie do pierwszej swojej myśli. Ale że prezes nie robił nigdy rzeczy wprost i otwarcie, nie czyniąc więc żadnej wzmianki o tym, co go najmocniej interesowało, w liście swym wyraził tylko, że termin obliżu zakładowego wyszedł, że inne skrypta także już dawno przeszły zakres w nich naznaczony, że procenta za lat kilka wielkie marosły, że on gwałtownie potrzebuje pieniędzy, że w żaden sposób czekać nie może i nie będzie. Przeprosiwszy więc, że dla swoich niecierpiących zwłoki obrotów, naznacza tylko tydzień czasu, prosi najnaiwniej w świecie, aby mu w przeciągu tygodnia przysłała dwakroć czterdzieści siedm tysięcy.

Przeleżała się pani Włodzimierzowa, przesyłabizowawszy list i spostrzegłszy tak ogromną sumę przy końcu pięknie wykalfigrafowaną. Chociaż niedbała, wierząca, że na swojej mitrze wypłynię, jak na arce, z powodzi długów, chociaż zagłębiona w Balzaku i w innych koryfejach¹⁾ ówczesnej literatury, czuła to jednak, że to suma za wielka, że jej pewnie nie ma w gotowości, i że kłopot i wstyd publicznej sprzedaży tuż za nią. Kazała zatem zawołać komisarza, a gdy wszedł, pani Włodzimierzowa, w jednym ręku trzymając *Fizjologię małą* (żeństwa²⁾), a w drugim list pana prezesa, zapytała:

— Czy ma pieniądze?

— Nie mam, jasnie wielmożna pani — odpowiedział komisarz, zająkując się, co zawsze czynił, gdy łągał przed panią. — Niceśmy nie sprzedali; drogi tak niegodziwe, że żadnej dostawy zrobić nie można, a nawet żaden kupiec nie przyjeżdża; wszystko dla dró-ó-óg, jasnie wielmożna pani.

— Niech czyta — rzekła pani Włodzimierzowa, podając mu niedbale list prezesa, a sama wróciła tymczasem do *Fizjologii*.

Zapewne czytelników moich uderzyły wyrażenia: *Czy ma? Niech czyta!* i tym odpowiednie, które im także może słyseć zdarzyło się: *niech siada! czy był?*

1) *Koryfeje*: tu — znakomitych autorach.

2) Dzieło to Balzaka wyszło w r. 1830.

czy widział? czemu nie je? itd. Są to sposoby mówienia niektórych pań naszych, z domu księżniczek i nieksiężniczek, gdy mówią do niższych, to jest do takich, którym nie chcą powiedzieć: pan, a którym nie śmiać powiedzieć: ty. Pani Włodzimierzowa, wychowana bardzo dobrze po francusku, ale najgorzej po polsku, w chwilach złego humoru używała tego sposobu mówienia nawet do męża, którego naturalnie uważała niższym od siebie. Nieraz nieboszczyk pan Podziemski odszedł, ruszywszy ramionami, gdy mu żona rzekła migrenowym głosem: Niech tak nie stuka butami, niech tak nie hałasuje po szlachecku, niechże mi da pokój ze swymi karesami! itd.

Gdy komisarz skończył list, zamyslił się i zafrasował. Pani Włodzimierzowa, postrzegłszy to, zapytała:

— I cóż mi powie?

— Powiem jaśnie wielmożnej pani — rzekł, już nie jękając się — że to bardzo źle. Takiej sumy nie dostaniemy nigdzie.

— A cóż zrobi?

— Co jaśnie wielmożna pani każe.

— Niech poradzi — rzekła, zakładając nożyk ze słoniowej kości w książkę.

— Ja bym poradził... ale nie śmiem.

— Niech śmie — dodała, wychodząc cokolwiek z tej arystokratycznej apatii.

— Jaśnie wielmożna pani przypomina sobie, że prezes robił propozycję względem swojej córki.

— Jego ojciec był komisarzem — rzekła, krzywiąc się.

— Cóż stąd? — odpowiedział, cokolwiek obrażony pan komisarz — ale majątek prezesa wart więcej jak milion, w gotowiźnie prezes ma więcej jak pół miliona, a na długach więcej jak trzykroć.

— Inszej rady dać nie umie?

— Nie, jaśnie wielmożna pani. Pożyczyć nie ma gdzie, a za tydzień prezes nas opublikuje. A wtenczas jeszcze gorzej; nikt nie da ani sto złotych.

— Dobrze; niech idzie! — dodała kiwnawszy głową. Ko-

misarz skłonił się i poszedł, a pani Włodzimierzowa zawołała: — H e n r i ! H e n r i !

Z przyległego pokoju wyszedł młody człowiek, niewielkiego wzrostu, blady, wycieńczony, w krótkim surduciku aksamitnym, w takiejże czapeczce, z drugim tomikiem F i z j o l o g i i w rękę. Czarne oczy jego były przymglone, twarz miała wyraz jakiegoś niedbałości o wszystko, ale oraz i wyraz cierpienia.

— Qu'y a-t-il, maman? ¹⁾ — zapytał z jakimś nerwowym drganiem.

— Sais-tu, Henri, que je veux te marier, mon enfant? ²⁾ — rzekła z wyrazem miłości macierzyńskiej, który twarz jej niebrzydką czynił jeszcze ładniejszą.

— Eh bien! ³⁾ — odpowiedział syn, potrząsłszy głową — comme vous voudrez. ⁴⁾

— Une brune piquante et jolie ⁵⁾ — rzekła matka. Syn nic nie odpowiedział, tylko jakiś uśmiech bolesny przebiegł po jego ustach.

— Mais elle n'a pas de naissance, mon ami ⁶⁾, — prosta szlachcianka.

— A! — odpowiedział pan Henryk, jakby sobie coś przypomniał. — Vous dites, maman? ⁷⁾

— Je dis, mon cher, qu'elle est riche. Veux-tu savoir son nom? ⁸⁾

— Oh! cela m'est égal ⁹⁾ — odpowiedział z tym samym drganiem w całym ciele, obrócił się i poszedł nazad krokiem niepewnym i chwiejnym się.

— C h a r m a n t g a r ç o n ! ¹⁰⁾ — pomyślała matka, patrząc za odchodzącym. — Co za szkoda, że Sanguszkówna jesz-

1) Co mamó?

2) Czy wiesz, Henryku, że chcę cię ożenić, moje dziecko?

3) Dobrze.

4) Jak chcesz.

5) Brunetka interesująca i ładna.

6) Lecz rodem nie może się poszczycić, mój przyjacielu.

7) Mówisz, mamó?

8) Mówię, mój drogi, że jest bogata. Chcesz znać jej imię?

9) Och! to mi obojętne.

10) Zachwycający chłopak.

cze mała — i, ułożywszy się znowu na kanapie, wróciła do Fizjologii.

Nazajutrz jednak, przeczytawszy raz jeszcze list preześa i rozmówiwszy się znowu z panem komisarzem, gdy się przekonana, że to nie przelewki, nie czekając więc, aż Sanguszkówna wyrośnie, kazała zaprząć konie i pojechała z synem do Szysz-kowiec.

Prezes przyjął ją z grzecznością układną i zimną, która wcale nie pokazywała, jak był kontent z jej przybycia. Rzucił okiem na pana Henryka, który, chociaż ubrany według wszelkich reguł gustu i mody, miał jednak postać zbiedzoną, maniery niedbałe, a twarz jakby zaspaną i cierpiącą. Nie spodziewał się prezes, aby taki konkurent mógł się podobać jego córce i zwątpił o swoich planach; czekał jednak, jakie też wrażenie zrobi na nim panna Kamilla, której już od lat kilku nie widział ani syn, ani matka.

Weszła na koniec panna Kamilla, ubrana skromnie, ale jaśniejąca całą pięknnością swojej wyniosłej postaci i pełnych wyrazu rysów. Twarz jej była surowa, przywitała ona panią Włodzimierzową poważnie, spojrzała na młodego człowieka z góry, z jakąś dumą i jakby politowaniem; na wszystkie pochwały matki, z okazji jej tak wielkiej zmiany na awantaż, nie uśmiechała się bynajmniej, lecz odpowiadała albo ironicznie spojrzeniem, albo kilku słowami serio, które pokazywały całą niestosowność tych pochwał. Zmieszało to cokolwiek panią Włodzimierzową, a szczególnie prezesa, który poglądał na córkę, dawał znaki, aby była grzeczniejszą i weselszą, ale ona nie rozumiała go wcale. Po pewnej przerwie, w której wszyscy zdawali się zażenowani, pani Włodzimierzowa zaczęła mówić o gospodarstwie, co zwykle czynią wielkie panie nasze, gdy się znajdują w domu szlacheckim. Ale i to się wkrótce urwało, bo znajomości jej w tym względzie były bardzo ograniczone, a prezes odpowiadał półgębkiem. Ze zmieszaniem coraz wzrastającym pani Włodzimierzowa pogiadała na syna, w którym dziwną i nagłą postrzegła zmianę. Jakoż młody ten człowiek, uderzony zjawieniem się panny Kamilli, zachwycony wyrazem po-

ważnym tej pięknej twarzy, ruchami pełnymi gracji tej okazałej figury, przejęty do żywego tym głosem dźwięcznym i słowami, choć serio i bez uśmiechu, ale ukazującymi bystry rozum, sam nie wiedział, co się z nim zrobiło. Przyjechał zimny, obojętny, prawie zaspany, w zamiarze czysto posagowym, a tymczasem postrzegł istotę wyższą, której wejrzenie jedno przerodziło go zupełnie. Oko jego ożywiło się, lice okrył delikatny rumieniec, ułożenie niedbałe i z pańska wzgardliwe znikło, usiadł przyzwyczajenie i skromnie, i śledził każdy jej ruch i każde słowo w cichej kontemplacji. ¹⁾ Zmartwiła się pani Włodzimierzowa, że jej syn wygląda jak student i gdy się pokazała panna Beldeau, wystrojona, wyzłocona, wyłańcuszkowana, puściła się z nią, dla pociechy i pokazania się, w dyskurs francuski o nowych książkach, a potem o domach książęcych i hrabiowskich, w których Francuzica przebywała, i z czym naturalnie nie omieszkała się popisać. Tym sposobem pani Włodzimierzowa spodziewała się ożywić rozmowę i otworzyć pole synowi, aby także pokazać co umie. Chciało się jej także wyciągnąć na francuszczyznę pannę Kamillę, dla przekonania się, jaką też przyszła synowa ma pronuncjację, i czy jej kiedy nie zrobi wstydu. Ale ani jedno, ani drugie nie powiodło się jej zupełnie. Panna Kamilla, jak ma złość, odzywała się tylko po polsku, a pan Henryk lub milczał, lub także tylko tym językiem przemawiał.

Nareszcie pani Włodzimierzowa chcąc skrócić tę pierwszą wizytę, zwróciła się do prezesa i rzekła:

— Mamy jeszcze pomówić o interesie.

— A mamy, jeżeli się pani podoba — odpowiedział prezes przy wolnym obrocie palców.

— Pójdźmyż do jego gabinetu, a ci państwo tymczasem zróbia muzykę.

— A pójdźmy — rzekł prezes powstając i ukazując jej drogę do gabinetu. Pani Włodzimierzowa, przechodząc koło syna, szepnęła mu: — *Henri! vous avez l'air d'un niais* ²⁾ — i poszła, nie uważając, jak zadrzał młody czło-

1) *Kontemplacja*: głębokie rozmyślanie, rozważanie.

2) Henryku, masz minę gapia.

wiek, jak się zaczerwienił i zmieszał. Ale prezes, który śledził jego ruchy od początku pokazania się córki, wniósł, że wrażenie było odpowiednie jego chęciom i postanowił stosownie działać i mówić.

Gdy weszli do gabinetu i usiedli, ona na kanapie, a prezes w swoim krześle, przez kilka minut trwało milczenie. Pani Włodzimierzowa nie wiedziała, od czego zacząć, a prezes wyprostowany, trzymając ręce na brzuchu, kręcąc powolnego młynka, przechylił głowę i czekał, co powie. Nareszcie pani Włodzimierzowa rzekła złą polszczyzną, której wszakże w całej tej rozmowie imitować nie będziemy, bo to rzecz przykra, upokarzająca i niezabawna:

— Pan do mnie pisał.

— Al pisałem — odpowiedział, nie zmieniając bynajmniej pozycji.

— Czyż to podobna, aby pan prezes, przy tak pięknym majątku i takim gospodarstwie, potrzebował pieniędzy?

— Jezus Maria! któż nie potrzebuje pieniędzy? każdy ma swoje spekulacje, zamiary, każdy dźwiga jakiś ciężar, który go gniecie. Dochody nasze nie odpowiadają wydatkom, nie nagradzają pracy. Pani widzisz, jak ja ciasno mieszkam, bo dom mój niedokończony; takich mebli, jak te, pani byś u siebie w przedpokoju nie postawiła, a ja muszę je cierpieć, bo na kredyt nie biorę u kupców, ani u rzemieślników, a gotowizny nie ma, nie ma — powtórzył, westchnąwszy i przechylając więcej głowę.

— A przecież mój komisarz mówił mi, że pan prezes masz więcej, jak pół miliona w gotowiznie.

— Al pani komisarz — odpowiedział prezes, patrząc w sufit — to musi być człowiek rozumny i przezorny; ale widać, że lepiej wie, co się dzieje w majątku pani, niż w mojej szkatułce. Ja wprawdzie długów nie zaciągam i nie mam; a u nas to rzecz tak rzadka, że kto tylko nie odłużony, to mu zaraz dają milion, lub pół miliona gotowizny. Jezus Maria! — dodał, głęboko westchnąwszy — żebym ja miał pół miliona gotowizny!

— Więc pan prezes nie zechcesz mi zaczekać?

— Nie zechcesz? nie zechcesz? któż o tym mówi, że nie chcę? — odpowiedział, kiwając pobożnie głową. — Jakbym ja nie chciał przysłużyć się tak zacnej damie, jak pani? Uczucia chrześcijańskie każą nieść pomoc sąsiadom; głos silny podnosi się w sercu za każdym, co się do mnie ucieka; toteż robię co mogę, bo u mnie sumienie przede wszystkim. Niech pan komisarz pani rozpyta się u biednej szlachty Czaplunieckiej, jak gotów jestem każdemu dogadzać, choć nie widzę, skąd by się mogli niektórzy z nich uścić. Ale ja na to nie uważam, ryzykuję, bo mała strata mnie nie zuboży, a nie spałbym spokojnie, gdyby sąsiad wyszedł ode mnie z zasmuconą twarzą. Ale tą razą, mimo najgorętszej chęci — dodał, głęboko wzdychając — dogodzić pani nie mogę.

— Dlaczego ja jedna mam być wyłączona z liczby tych sąsiadów, którym pan prezes tak chętnie niesiesz pomoc?

— Dlaczego? — odpowiedział, kręcąc palcami — dlatego, żeś pani bogatsza ode mnie. Obowiązek sumienia każe mi być gotowym do wsparcia tych, co rzeczywiście potrzebują, a nie tych, co mają nadto.

— Ale czyż ja mam nadto? mój komisarz mówił mi, że gotowizny nie mamy wcale, a pożyczyć teraz nie ma u kogo.

— A! pani komisarz — odpowiedział, dając wolniejszy obrót palcom. — Ja komisarza nie mam i sam wiem dobrze, przejrzawszy swoje rachunki, że zaczekać nie mogę. Komisarz to rzecz ładna i dobrze brzmi, alem ja wyrzekł się tej wystawy, sam gospodaruję i sam wchodzę we wszystko, i widzę to doskonale, że oblig zakładowy skończony, że i na innych skryptach procentów kilkadziesiąt tysięcy, że tracę dużo na pani, obywatelce dwa razy bogatszej ode mnie, i krzywdę robię biednym, z których niejednemu mógłbym łyzy otrzeć. Komisarz by mi tego wszystkiego nie powiedział, bo co jemu do mojej duszy, i co by mu to szkodziło, że, robiąc ulgę pani, obciążyłbym się śmiertelnym grzechem. Niech mnie Pan Bóg od tego uchwala! u mnie sumienie przede wszystkim.

Widziała pani Włodzimierzowa grubą i niezgrabną hipo-

kryzję¹⁾; ale, nie chcąc irytować prezesa, udała, że tego nie postrzegła, i rzekła, przyciąwszy wargi:

Mnie się zdaje, że sumienie powinno by panu cokolwiek powiedzieć i za wdową, która sama rady sobie dać nie może i którą zapewne oficjaliści oszukują.

— Jezus Maria! — syknął prezes. — Wdowa! wdowa! wszak pani jesteś kobietą i Polką, a to wiadomo, że polskie panie, kiedy chcą, to mają dziesięć razy więcej rozumu i charakteru od nas. Gdybyś pani się zechciała zająć, tobyś wiedziała, że panią durzą, że pożyczają bez potrzeby, że obiecują pani opłatę długów wtenczas, jak ceny się podniosą; a ja pani powiadam, że jak się doczekamy wysokich cen, to wtenczas pani powiedzą, że nie ma nic do sprzedania, bo ziarno myszy zjadły, a wódka wyschła ze szczętem.

— Pan prezes przestraszasz mnie. Mój komisarz wcale mi tego nie mówił.

— A! pani komisarz! — odpowiedział. — Ja komisarza nie mam, i pani byś dobrze zrobiła, żebyś go także nie miała. Ale to nie moja rzecz; ja tylko to wiem, że czekać nie mogę.

— Poradźże mi pan, co mam robić?

— Najmędrsza rada pochodzi od własnego rozumu — odpowiedział prezes. — Wszak pani masz dorosłego syna, który mógłby być gospodarzem, kiedy sama pani nie chcesz być gospodynią.

— On taki delikatny i ma inne widoki — odpowiedziała pani Włodzimierzowa.

— Jezus Maria! — rzekł podnosząc głowę — szlachcic polski jest za delikatny do roli, do gospodarstwa? A do czegoż on przeznaczony? Czy nie do tego, żeby leżał w aksamitnym szlafroku na jedwabnej sofie i czytał francuskie książeczki?

— Sądzę — rzekła, czerwieniąc się od niecierpliwości — że wychowanie mojego syna do interesu naszego nie należy.

— Tak i ja sądzą — odpowiedział, kręcąc z wolna palcami i patrząc w sufit — dlatego zechcesz mi pani stanowczo odpowiedzieć, czy mi w tym tygodniu przyslesz pieniądze, czy nie?

1) *Hipokryzja*: obluda, udawanie, nieszczerłość.

— Skądże ja wezmę, kiedy mi mówią, że nie ma?

— To już nie moja rzecz — odpowiedział i patrząc z ukosa na znękaną kobietę, dodał: — Obowiązek sumienia nakazuje mi nie marnować posagu mojej córki i zabezpieczyć i tę jego częśćkę, którą mam u pani, procedurą sądową i opieką praw.

— Panie prezesie! — rzekła wreszcie z westchnieniem pani Włodzimierzowa — czy nie moglibyśmy tego interesu innym sposobem załatwić?

— Jakże to? — odpowiedział, zastanowiwszy obrót swych palców i słuchając z uwagą. — Pani może, zamiast gotowizny, chce mi dać bankowe listy? i owszem, ja je przyjmę.

— Gdybym je miała, dawno byś pan był zaspokojony — rzekła dumnie pani Włodzimierzowa.

— To wielka szkoda, że pani ich nie masz — odpowiedział zimno, i znowu umilkł, czekając, co powie.

— Pan przypominasz sobie ową propozycję, którąś mi robił przez marszałka? — rzekła nareszcie z rezygnacją.

— Jezus Maria! czy ja mogę sobie wszystko przypomnieć? ja mam tyle interesów na głowie.

— Mój syn ma lat dwadzieścia trzy, a córka pana prezesa zapewne dziewiętnaście? — rzekła, zmuszając się do uśmiechu.

— Tak jest, siedmnastego grudnia skończy lat dziewiętnaście — odpowiedział prezes naiwnie i uchylając głowę.

— Mnie się zdaje — rzekła złamanym głosem — że mój syn byłby w stanie podobać się pannie Kamilli, gdybyś pan pozwolił mu starać się o jej rękę?

— Jak pani mówi? przepraszam, nie dosłyszałem — rzekł zimno i szyderczo.

— Ja mówię, żebyśmy mogli dzieci nasze połączyć i proszę pana prezesa, aby pozwolił synowi memu mieć nadzieję.

Poprawił się prezes w krześle, zaśmiał się i rzekł do zmieszanej tym jego poruszeniem i śmiechem pani Włodzimierzowej:

— Al ponieważ pani z tej beczki zaczynasz, to pomówię i teraz do pani innym językiem. Proszę mnie posłuchać z uwagą, nie przerywać, a jak skończy, odpowiedzieć, co się podoba, i zrobić, jak się będzie zdawało.

— Słucham pana — odpowiedziała cichym głosem.

— Przed pół rokiem — mówił prezes zupełnie innym głosem i tonem — robiłem pani propozycję, to prawda. Ja, szlachcic taki sam, jakim był mąż pani, jeden z pierwszych urzędników gubernii, dawałem migdalikowi pani dziewczynę piękną, edukowaną, ze zdrowym ciałem i zdrową duszą, i której sytuacja, jeżeli kilka lat pożyję, wyniesie do dwóch milionów. Zrobiłem to dlatego, że syn pani zdawał mi się chłopcem dobrym i niegłupim, chociaż się go pani wypieściła, zepsuła, źle chowała i, zamiast mężczyzny, zrobiła z niego lalkę cukrową. Zrobiłem to dlatego, że majątek pani zdawał mi się podobnym do uratowania, gdybym się w to wdał, a połączony z moim, stanowiłby wielkie dobro, które by postawiły nasze dzieci w rzędzie pierwszych panów na Wołyniu. Była to propozycja uczciwa, użyteczna i korzystniejsza dla państwa, niż dla mnie. Ale pani nie mogłaś zapomnieć dwóch rzeczy: raz, żeś się urodziła księżniczką, powtóre, że mój ojciec był w służbie u wielkiego pana. Skrzywiłaś się na mój projekt i nie przyjęłaś go. Był to błąd, za który panią okoliczności ukarały i przywiodły do tego upokorzenia, że teraz robisz mi tę samą propozycję, jaką ja pani pierwiej robiłem. I tak zawsze bywa. Gdybyś pani więcej zajmowała się praktyką naszego życia społecznego, a mniej urojonymi wypadkami francuskiego świata, to byś pani była wiedziała, że z dobrej okoliczności należy zaraz korzystać, kuć żelazo, póki gorące, bo zdarzenia uciekają jak woda i wrócić ich nie można, jak dnia wczorajszego. A teraz, gdym wypowiedział, co mi ciążyło na sercu i co pani przydać się może nadal, oświadczam, że synowi pani starać się o rękę córki mojej pozwalałam, lecz kładę następujące warunki: 1) Że wtenczas dopiero pozwolę na ten związek, gdy moja córka sama tego zechce. Nie widzę bowiem żadnej potrzeby zadawać gwałtu jej sercu, a przy tym wiem dobrze, że to nie taka kobieta, aby ktokolwiek bądź, a nawet ojciec, mógł jej zaimponować. 2) O zwrot należytości mojej teraz nalegać nie będę, i jeżeli ten związek przyjdzie do skutku, zniszczę te obligi zupełnie. Ale nim to nastąpi, a czy nastąpi, nie wiem, wymagam: abyście mi państwo

na sto pięćdziesiąt tysięcy znajdujących się w tych skryptach i na pięćdziesiąt tysięcy procentów, wszystkiego na dwakroć, wydali oblig zakładowy na Zabokrzyce, przylegające z drugiej strony do mojej Żurawki, z terminem także rocznym. 3) Jeżeli córka moja oświadczenie syna pani przyjmie, dasz mi pani natychmiast plenipotecję na rządzenie majątkiem pani, który gwałtownie potrzebuje ratunku i który zacny komisarz przypro-wadzi wkrótce do ostatecznej ruiny. Teraz powiedziałem wszy-stko i czekam odpowiedzi.

Przez cały czas tej twardej perory siedziała biedna kobieta z nachyloną głową, i lży upokorzonej i złamanej dumy kapały na jej suknię. Widział to prezes, ale ani głos jego nie zmiękł, ani ton się nie zmienił. Gdy skończył, długo jeszcze pani Włodzimierzowa milczała, nareszcie otarła oczy, podniosła bladą twarz i rzekła:

— Jestem matką; jeżeli to ma być z dobrem mego syna, zgadzam się na wszystko. Byłeś pan twardym i niedelikatnym dla kobiety słabej i może zaślepionej, ale zdolnej panu przebaczyć te chwile, jeżeliś pan był szczerzym pod koniec naszej rozmowy, niż z początku, i jeżeli w tym, co ma nastąpić, dasz dowód tego sumienia, o którymś tyle razy i z takim przenik-nieniem mówił. Jutro przyslij pan kogo do ułożenia żądanych obligów, a teraz pójdźmy zobaczyć, co dzieci nasze robią.

To powiedziawszy, powstała i z godnością poszła. Prezes nawzajem upokorzony tak niespodzianym znalezieniem się ko-biety, którą chciał zniweczyć, splótł tylko tłuste swe rączki, puścił palcami szybkiego młynka i przechyliwszy głowę, siedł za nią.

VII.

Gdy weszli do salonu, uderzył ich następujący widok. Przy fortepianie stała panna Beldeau i, brząkając jedną ręką po klawiszach, śmiała się i mówiła coś do p. Henryka, który jej nie słuchał. Oparty o fortepian, z założonymi rękoma, z twarzą jak trup błądą, stał biedny młodzieniec, odwrócony od gadatliwej Francuzicy, i patrzył z natężeniem na pannę Kamillę. Panna Kamilla siedziała na krześle bliżej stołu, w ułożeniu pełnym powabu. Głowa jej była zwrócona ku stojącemu obok niej mężczyźnie, z którym mówiła; twarz jej jaśniała radością, oczy jej i usta wdzięcznie się uśmiechały; ręka, oparta o stół, igrała z lśnjącymi lokami, a lewa nóżka w eleganckim trzewiczku, cokolwiek wyciągnięta naprzód, leżała na grzbiecie ślicznego legawca, który u nóg jej się zwinął. Że owym mężczyzną był pan Józef, a owym legawcem był Amor, dzielający instynktem jego uczucia, to łatwo się czytelnicy domyślą. Jak się zaś ta grupa ułożyła, to potrzebuje opowiedzenia.

Gdy prezes z panią Włodzimierzową wyszli, trwało przez niejaki czas milczenie. Panna Kamilla od razu postrzegła, jakiemu wrażeniu uległ młody człowiek i z okrucieństwem kobiety nie żądającej hołdu, jakiego jest przedmiotem, postanowiła dręczyć nowego swego adoratora i, jak się domyślała, pretendenta do swej ręki. Słyszała ona cokolwiek od marszałkowej, wspólnej sąsiadki i wiedzącej wszystko: jak ów młody człowiek był wypieszczony i wychuchany; jak go matka trzymała zawsze pod bokiem; jak go nie kazała uczyć ani łacińskiego języka, ani matematyki, że był delikatnego zdrowia; jak później nigdy nie po-

zwałała mu wsiąść na konia, żeby nie upadł; nie dała do ręki ani strzelby, ani pistoletu, żeby się nie zastrzelił; nie pozwoliła za nic kąpać się w rzece, ani w stawie, żeby się nie utopił; jak go kazała tylko praktycznie nauczyć po francusku, trochę geografii i historii przez konwersację z guwernerem, a później do piętnastego roku życia pozwoliła mu karmić się samymi tylko romansami, aby się bawił, nabywał z nich znajomości świata i ładnych obrotów języka. To okropne wychowanie zniszczyło wszystkie zdolności i wrodzoną energię młodzieńca i dało mu jakąś sztuczną niedołężność, z którą się nie urodził wcale. Powiększyło ją jeszcze wyniszczenie fizyczne przez obrazy, którymi nabita była jego imaginacja i przez związki tajemne, o których biedna matka nie wiedziała bynajmniej.

Silna moralnie i fizycznie, piękna i żywa panienka, nie mogła bez pewnego rodzaju wzdargy i wstrętu patrzeć na biednego niedołęgę, który, jak słaba roślina zwraca się do słońca, aby zaczerpnąć od niego siłę i życie, zatopił w niej wzrok i całym się zapomniał. Wstręt ten, jakim ją przejął, postanowiła mu dać uczuć i rzekła niezmiernie serio:

— Czy pan nie chory?

— Nie, pani — odpowiedział czerwieniąc się — nigdy nie byłem zdrowszym.

— Pan musi nadto oddawać się pracy, która wyniszcza zdrowie pana. Jakież są nauki, nad którymi pan tak zawzięcie pracuje? Słyszałam, że pan niezmiernie lubi matematykę i wyłączenie się jej oddaje. Bardzo to ładnie i dla mężczyzny rzecz konieczna; ale ja sądzę, że to musi być praca nudna i zabijająca. — Wszystko to mówiła zwolna, z przyciskiem, i nie okazując bynajmniej, że mówi nieprawdę. Każde jej słowo uderzało go, jak młotem; blednąc i czerwieniejąc się na przemian, słuchał jej ze spuszczonej oczyma; gdy umilkła, podniósł głowę, uśmiechnął się boleśnie i odpowiedział:

— Pani mi za wiele czynisz honoru; ja matematyki nie znam wcale.

— To może pan tak zagłębiasz się w łacinie? Belciu! jak się nazywa ten poeta rzymski, o którym czytałyśmy niedawno?

Jego imię coś tak brzmi, jak kasztan we francuskim języku ¹⁾. Pan nie pamięta? — zapytała prędko, zwracając się do bladego jak ściana pana Henryka.

— Nie wiem — odpowiedział cichym głosem — o czym pani chcesz mówić.

— Pan gra? — zapytała znowu, powstając i idąc do fortepianu. — Oto partytura *N o r m y* ²⁾. Może pan i śpiewa?...

— Lubię muzykę — odpowiedział, idąc za nią i opierając się na instrumencie, bo czuł, że ledwie stoi na nogach — ale nie śpiewam. Mam zbyt słabe piersi. Pani nie raczy spróbować?

— Zachryplam, jak pan słyszysz. Dużo dziś przed obiadem jeździłam konno, a powietrze było cokolwiek za chłodne. — Potem, patrząc mu bystro w oczy, dodała: — Pan zapewne ma dzielne konie i lubi tego rodzaju rozrywkę? Co to musi być za rozkosz dla mężczyzny, kiedy dosiędzie śmiałego i ognistego wierzchowca, kiedy poczuje się panem dzikiego i szlachetnego zwierzęcia, które napróżno szarpie mocną rękę, co go ujarzmia i więzi! O! my kobiety, jeżeli pozwalamy sobie męskich uciech, to i w dziesiątej części ich nie doznajemy. Nam potrzeba, aby koń był doskonale ujeżdżony, powolny jak dziecko, miękki i słaby jak kobieta. A to mdła rozrywka, to wszystko jedno, co kanapa na sprężynach. Nieprawdaż, panie? Pan podobno ma dzielne konie wierzchowe ze stajni Sławuckiej?

Dobiła tym zapytaniem niemilosierna dziewczyna biednego młodzieńca. Wolał skłamać, niż przyznać się, że nigdy w życiu na koniu nie siedział. Spuściwszy więc oczy, odpowiedział:

— Nie wiem z jakiej stajni pochodzą, ale mam parę do brych koni.

— A polowanie pan lubi? Co to musi być za ukontentowanie? Tyle razy z płaczem prosiłam mego ojca, aby mi pozwolił nauczyć się strzelać, ale nie mogłam tego wyprosić. Jaki pan szczęśliwy — dodała z przyciskiem — żeś mężczyzna, że zrzeczność tego rodzaju, której mam, nie wiem dlaczego, bronią.

1) We franc. języku kasztan brzmi marron; Kamilla miała na myśli autora Eneidy P. Wergiliusza Marona.

2) Norma — opera Wincentego Belliniego (1802—1835).

jest obowiązkiem każdego z panów i istotną częścią ich edukacji.

— Tak, ma pani rację — wyjął biedny migdałek z rozpaczą w sercu i nie wiedział, co dalej z sobą zrobić i gdzie schować oczy, do których cisnęły się łzy upokorzenia. Szczęściem dał się słyszeć hurkot i wyprowadził go z ambarasu. Panna Kamilla spojrzała w okno, gwałtowne drżenie ją schwyciło i twarz jej pobladła. Odwróciła się więc co prędzej, aby tego nikt nie uważał; a panna Beldeau, poznavszy także przez okno przybyłego gościa, zaczęła zaraz śmiać się głośno i opowiadać po francusku panu Henrykowi przygodę, z której ich ten pan wyratował.

Wkrótce wszedł pan Józef cokolwiek bledszy i mizerniejszy, niż był przed trzema tygodniami, ale postać jego wysoka i męska, czoło szerokie i białe, wyraz twarzy energiczny i śmiały, stanowiąc uderzający kontrast z bladym i znękanym panem Henrykiem, wlały radość i szczęście w oczy panny Kamilli i serce jej napełniły miłością i dumą. Spojrzał pan Józef wokoło, rzucił okiem na swego współzawodnika, stojącego przy instrumencie z założonymi rękoma, i zatrzymał się chwilę przy drzwiach. Panna Kamilla, jakby odgadła jego myśl, postąpiła parę kroków naprzód i wyciągnęła ku niemu rękę. Posunął się ku niej młodzieniec i wzajemnie lekkie ściśnienie dało mu poznać, że się nie zapomnieli. Gdy pan Józef, schylając się z uszanowaniem, podaną sobie rękę całował, panna Kamilla rzekła:

— Powinnabym doprawdy gniewać się na pana, żeś nas tak długo pozbawił przyjemności podziękowania sobie za przysługę, jakiej doznałyśmy w naszej przygodzie. Nieprawdaż, Belciu! — dodała, czerwieniąc się — żeśmy często mówiły o tym, co by się było z nami stało, gdybyś pan był nie nadjechał,

Zaśmiała się Francuzica, jak zwykle, i potwierdziła słowa panny Kamilli.

— Nie mogłem dotąd — odpowiedział zmieszany pan Józef — korzystać z zaproszenia pani, i tym wdzięczniejszy jestem — dodał głębszym głosem — żeś pani nie zapomniała jeszcze tak drobnej przysługi. Czy zastałem pana prezesa w domu?

— Mój ojciec jest w swoim gabinecie i w ten moment zapewne wyjdzie. Interes, o którym z mamą pana mówią — dodała zwracając się do Henryka — musi być panu wiadomy. Czy potrwa długo? Pan nie wie?

— Prawdziwie, że nie wiem o co idzie — odpowiedział, czerwieniąc się, pan Henryk i zwrócił się do panny Beldeau, która nie przestawała z nim gadać, chociaż jej prawie nie słuchał i tylko półgębkiem odpowiadał. Teraz widząc, że panna Kamilla więcej zajęta nowym gościem, niż nim, puścił się w długą rozmowę o jakimś romansie Kocka ¹⁾. Tymczasem panna Kamilla zaczęła wypytywać pana Józefa o siostrę, o rodziców, o dziadka i babkę. Iskrzyły się od radości oczy młodzieńca, gdy postrzegł, że zna jego familię, że widać ją to interesowało, że się musiała wypytywać. Gdy jej odpowiedział na wszystkie zapytania, idąc ku oknu, rzekła do postępującego za nią młodzieńca:

— Gdyśmy się pierwszy raz widzieli, zgadłam, jeżeliś pan tego nie zapomniał w którym domu w Czaplincach rodzice pana mieszkają. Teraz wiem już wszystko i znam każdą osobę, która składała pana rodzinę.

— O, dziękuję, stokroć dziękuję pani za to interesowanie się! — odpowiedział, patrząc na nią z rozrzewnieniem i miłością. Spojrzała mu w oczy i postrzegłszy łzę, co jak kropla rosy zawisła na jego długich rzęsach, zmieszana się zupełnie i poszła prędko do okna. Ale wkrótce splesnęła rękami i zawołała do panny Beldeau:

— Belciu! Belciu! patrz, wszak i ten słiczny pies tego pana z nim tu przyjechał. O! niechże go pan pozwoli zawołać do pokoju. Nieprawdaż, Belciu? co to za piękne stworzenie! — i nie czekając odpowiedzi pana Józefa, którego to cokolwiek zażenowało, czuł bowiem nieprzyzwoitość wizyty z psem, który bez jego wiedzy za nim w ślad przybiegł, otworzyła okienko, wyjrzała na dziedziniec i zawołała głośno: — Amor! Amor!

1) *Kock Paweł*: znany powieściopisarz francuski.

Leżał pies spokojnie na bryczce, ale gdy usłyszał ten głos, podniósł głowę, zestrzygł uszami, spojrział bystro, skąd by wychodził; a gdy poznał twarz i powtórzone wołanie usłyszał, jedynym susem stanął na ganku, wpadł do przedpokoju, i mimo opozycji Ignacego, na którego groźnie warknął, zaczął stukać do drzwi salonu. Podbiegła panna Kamilla i otworzyła mu. Wszedł pies, kręcąc ogonem, spojrział bystro w oczy swemu panu i przyłożywszy piersi do ziemi i warując, przyczołgał się do nóg panny Kamilli.

— Patrzcież państwo! — zawołała uradowana — co to za rozumne i wdzięczne stworzenie! Raz tylko pogłaskałam go i nie zapomniał mi tego. No! wstań już, wstań, poczciwy piesku — dodała, i gdy Amor posłuszny powstał, przyklekła z gracją, objęła jego szyję i głowę jego głaskać i karesować zaczęła, a spojrzawszy wdzięcznie na pana Józefa, którego szczęście wybiło się na twarzy, zwróciła raptem mowę do pana Henryka i rzekła:

— Panie Podziemski! pan co lubisz polowanie, musisz i psy lubić! Nieprawdaż, co to za przepyszne zwierzę! a jakie karne i łaskawe! Chodź pan, pogłaszcz go!

W całym domu pani Włodzimierzowej nie było ani jednego psa, żeby który Henryczka nie ukąsił. Bał się więc psów pan Henryk nie z natury, ale z nieoswojenia. Wszakże wszystkie upokorzenia, których dziś doznał, obudziły w nim jakąś odwagę rozpaczy. Przystąpił bliżej, pochwalił Amora, i chociaż ręka jego drżała, głaskać go zaczął. Mruknął pies, po całym ciele pana Henryka przeszło zwykle jego nerwowe drganie. Panna Kamilla uśmiechnęła się, a biedny młodzieniec, postrzegłszy ten szyderski uśmiech na jej ustach, westchnął, zacisnął ręce i, wróciwszy znowu na swoje miejsce, oparł się o fortepian. Już więcej nie odpowiadał pannie Beldeau, która nie zważając na jego milczenie, ciągle trzepała i śmiała się.

Panna Kamilla usiadła koło stołu, wsparła, jakeśmy powiedzieli lewą nóżkę na grzbiecie Amora, który legł przy jej nogach, i rzekła ciszej do rozmarzonego i uszczęśliwionego młodzieńca:

— Pan nie chciałeś do nas przyjechać, nieprawdaż? Potrzeba było, żeby mój ojciec pierwszy zrobił znajomość.

Pan Józef milczał, spuściwszy oczy, a panna Kamilla mówiła dalej:

— I gdyby mój ojciec nie dał się być do tego skłonić, byłbyś pan wcale nie przyjechał?

— Więc moja siostra miała rację! więc zgadła! O, mój Boże! — rzekł prędko trąc czoło.

— Cóż to odgadła ta dobra siostra pana? — zapytała panna Kamilla, patrząc nań z wyrazem pełnym miłości.

— To to, że pani przyczyniłaś się do tego szczęścia, jakie zrobiły mi odwiedziny ojca pani.

Schyliła oczy, twarz jej oblał rumieniec i nic nie odpowiedziała.

— Pokłoń się pan serdecznie ode mnie swojej siostrze — odpowiedziała, spojrzawszy nań przenikliwie. — Zadrzał do gruntu duszy młodzieniec, chciał coś powiedzieć, ale w tejże chwili drzwi gabinetu otwarły się i weszła pani Włodzimierzowa i prezes.

Biedna kobieta, znękana rozmową z chytrym i twardym zdobywcą, przestraszona bladością swego jedynaka, spojrzała podejrzliwie i dumnie na pannę Kamillę i pięknego młodzieńca, który stał obok i poszła prosto do syna.

— Co tobie, Henryku? — zapytała go ciszej.

— Nic wcale — odpowiedział prawie z gniewem.

— Bądź gotów, zaraz jedziemy.

Ale panna Kamilla, usłyszawszy te słowa i spojrzawszy na ojca, który się zmarszczył, nie chcąc się wydać ze swoim uczuciami, z całą dyplomacją kochającej kobiety pobiegła do pani Włodzimierzowej i najśliczniejszą francuszczyzną rzekła:

— Słyszę, co pani mówi. O! proszę nie robić tej krzywdy mnie, młodej gospodyni. W ten moment podadzą herbatę. Jeszcze pani za widna dojedzie do domu. Nieprawdaż, panie Henryku? — rzekła z najśliczniejszym umizgiem — pan uprosi mamę, aby się nie śpieszyła.

Zajaśniały oczy biednego młodzieńca, twarz jego się ożywiła i zarumieniała, i matka, zderutowana¹⁾ grzeczną panny Kamilli i spojrzeniem syna, który ją błagał, została. Panna Kamilla odprowadziła ją do kanapy, usiadła przy niej i z niewypowiedzianą żywością, wdziękiem i uprzejmością prowadziła rozmowę.

Tymczasem pan Józef przystąpił do prezesa, złożył mu uszanowanie od ojca, który dla pilnego interesu przymuszony był wyjechać do Konstantynowa i sam służyć mu nie mógł.

Z początku prezes zimno się odkłonił i kilka słów odbąknął; ale widząc zabiegi panny Kamilli koło pani Włodzimierzowej, jej dobry humor, jej grzeczność dla pana Henryka, udobruchał się, oddalił od siebie myśl przykrą, która go na widok rozmowy córki z panem Józefem uderzyła, i grzeczniej z nim rozmawiać zaczął.

— Niech no papa popatrzy — rzekła panna Kamilla — co to za przesliczne zwierzę. Pójdź tu, Amor! — Amor zbliżył się i położył głowę na jej kolanach.

— Widziałem go już — odpowiedział, krzywiąc się prezes. — Ale cóż on tu robi?

— Ach! przepraszam kochanego papę, żem go zawołała z powodu pana Starzyckiego, gdzie sobie spokojnie leżał. Wiem, że papa niewielki amator, ale ja jakoś w tym względzie odrodziłam się od papy, za co spodziewam się papa nie mniej mnie kocha — dodała z umizgiem. — A przy tym chciałam panu Henrykowi pokazać go, który w tej mierze gust mój podziela. Nieprawdaż, panie Henryku?

— Najzupełniej — odpowiedział młody człowiek, sam nie wiedząc, co się z nim dzieje; i chcąc dać dowód, że tak jest w rzeczy samej, przystąpił do Amora i zaczął go zwolna głaszać. Ale ręka jego drżała i twarz widocznie pobladła. Wytrzeszczyła na to oczy przelękniona pani Podziemska. nie wiedząc, co się zrobiło synowi, a nim zdołała słowo wymówić, pan Józef rzekł:

1) *Zderutowana* — zbałamucona (z franc. *dérouter*, psuć szyki).

— Mnie się zdaje, że najprzyzwoitsze dla niego miejsce będzie na dworze i na bryczce i jeżeli pani pozwoli, każę mu wyjść precz.

— O! niech pan to zrobi — rzekła, składając ręce, pani Włodzimierzowa.

— Amor! do koni! — zawołał pan Józef. — Spojrzał pies na pana, potem na pannę Kamillę, jakby czekał potwierdzenia rozkazu.

— Idź, idź, pocziwy piesku kiedy cię wypędzają. — Usłuchał natychmiast, a gdy podano herbatę, zasiedli wszyscy około stołu i zaczęła się zwyczajna rozmowa.

Panna Kamilla była tak wesoła, tak uśmiechnięta dla matki i syna, że odurzyła ich i ujęła zupełnie. Gdy wyjeżdżali, prosiła o powtórzenie odwiedzin. Zaproszona wzajemnie, okazała gotowość i obiecała przyjechać z ojcem. Ale gdy prezes odprowadził gości do sieni, wbiegła nazad do salonu, i podając rękę panu Józefowi, rzekła drżącym głosem: — A pan przyjedzie?

Nie mógł słowa wymówić uszczęśliwiony młodzieniec; ścisnął tylko mocno podaną sobie rękę i do ust przytulił.

— Szczególniej nie zapomnij pan pokłonić się ode mnie siostrze! O! jakbym rada ją poznać!

Gdy pan Józef powrócił do domu i, wszedłszy do pokoju, zastał siostrę samą jedną, chwycił ją w objęcia, tulił do siebie z uniesieniem i wołał: — Anulku! Anulku! tyś podobno zgadła!

VIII

Pan Ignacy Zahorowski, przysły zięć państwa Starzyckich, posiadał o mil cztery od Czapliniac małą wioseczkę, z której mógł wyśmienicie utrzymać siebie i żonę. Na początku lata postrzegł był raz w kościele pannę Annę. Podobała się skromna i ładna jej powierzchowność, słyszał wiele dobrego o tym zacnym domu, i w tym przekonaniu, że przykład i wychowanie musiało ją i moralnie wykształcić na kobietę uczciwą, dobrą i uległą, postanowił *tentować*¹⁾ szczęścia. Wymyślił więc sobie interes, jakeśmy powiedzieli; potem otwarcie napisał do ojca, że mu się córka podobała, że szuka w niej tylko dobroci, przywiązania i obyczajów, a nie posagu i prosił o przyzwolenie bywania w ich domu. Pozwolenie, jak wiemy, nastąpiło; lepsze jeszcze zachęcenie, które wyczytał w oczach panienki, poszło za tym; a wszystko skończyło się zaręczynami, jak nam to panna Anna w rozmowie z bratem opowiedziała. Gdy pan Józef przybył do Czapliniac, wtenczas pana Ignacego nie było w okolicy. Pan Ignacy pojechał za Żytomierz do stryja, który mieszkał w owruckim pow'ecie. Stryj ten był głową ich rodziny, i młody człowiek, dawnym, szanownym obyczajem, nie chciał przedsiębrać tak ważnej czynności w życiu, nie mając błogosławieństwa najstarszego z rodzeństwa. Wszakże zbliżał się już moment jego powrotu i panna Anna coraz była niespokojniejsza.

1) *Tentować*: kusić się o coś, próbować, usiłować.

W kilka dni po bytności pana Józefa w Szyszkowcach wieczorem cała familia zgromadzona była w pokoju. Dziadzio właśnie skończył był opowiadanie jakiegoś zdarzenia w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej, wszyscy jakoś umilkli, a panna Anna, która siedziała przy oknie i ciągle w nie patrzyła, zapomniawszy się zupełnie, głośno wzdychać zaczęła. Dziadzio w ten moment zaczął śpiewać:

Zostawię ja ciebie
Temu, co jest w niebie:
Za roczek, za drugi
Powrócę do ciebie.

A jak nie powrócę,
Listy będę pisał;
Ty będziesz płakała,
Ja nie będę słyszał.

— Dajże jej asan pokój z tymi piosneczkami, bo się doprawdy rozplacze — rzekła babunia.

— Nie, babuniu, moja! — odpowiedziała, krzepiąc się panielka. — Ja wiem, że teraz jesień, droga zła i że pan Ignacy, choćby chciał, to nie może pośpieszyć.

— Ej, moja dziewczeczko, — rzekł dziadzio — gdyby chciał, to by pośpieszył. Jakem się za młodu wybrał w pewną podróż, o której asińcka nie powinnaś wiedzieć — dodał, głaszcząc żonę — a było to w późnej jesieni, to pani Kurdwanowska, starościna Baranowska, powiedziała mi: — A dokądże to wasan w taką bezdroż pojedziesz? — Ja uśmiechnąłem się i zaczerwieniłem; a ona mi na to: — Aha, wiem, nie ma złej drogi do swojej niebogi. No, jedź wasan, jedź.

— To dziadzio myśli doprawdy, że pan Ignacy nie chce pośpieszyć?

— Myślę, i bardzo myślę — odpowiedział z udaną powagą.

— Dlaczegoż to proszę dziadzia?

— Boś go rozgniewała; ja bym to samo zrobił — dodał serio.

— Jakże to, mój dziadziu? — zapytała panienska, przyskakując do staruszka i karesując go.

— O! jak? a pamiętasz, jakieś się z nim żegnała, powiedziałaś mu: bądź zdrów, panie Ignacy! — On cię prosił, żebys mu powiedziała: bądź zdrów, Ignasiu! nie chciałaś.

— Czy tylko to? — rzekła uspokojona.

— Oho! alboż to mało! Poprawże się, jak wróci, ja ci szczerze radzę; — i zaczął śpiewać:

Przepros Kasiu Jasia.
Boś go rozgniewała,
Jak go nie przeprosisz,
Nie będziesz go miała.

Zaledwie skończył, gdy dał się słuszeć hurkot. Panna Anna krzyknęła, i w tej chwili otwarły się drzwi, i wbiegł młody człowiek, całował kolana babki, ręce dziadzi i rodziców, i stanął przed narzeczoną, nie mogąc słowa wymówić od szczęścia i radości.

— Uściskaj go, uściskaj kureczko! — krzyknął dziadzio ze łzami w oczach. Rzuciła się w jego objęcia uradowana panienska i szepnęła mu do ucha: drogi mój Ignasiu! — Przestroga dziadzia nie poszła w las; bo jakże miała nie usłuchać tak starego, tak poważnego człowieka?

Pan Józef i pan Ignacy znali się jeszcze w Krzemieńcu. Później zaś więcej z reputacji, uczciwości i dobrego prowadzenia się, niż osobiście. Panna Anna wkrótce odnowiła ich szkolną znajomość i radość w domu była powszechna. Cały tydzień przeszedł wesoło na rozmowie poufalej, na projektach umiarkowanych i nie przechodzących możliwości, na wspólnym wylaniu serc uczciwych, kochających i bezinteresownych. Ślub odbył się skromnie i cicho w najbliższej parafii. Młodzi małżonkowie, którym dziadzio ustąpił swego pokoju, a sam spał w kancelarii syna, zabawili jeszcze kilka dni u rodziców; i potem cała rodzina, wyjąwszy ojca i babunię, którzy zostali w domu i później ich mieli odwiedzić, odprowadziła państwa młodych do Tra-

wisk, wioski pana Ignacego. W krytej bryczce na resorach pojechała matka z córką; w bryczce pana Ignacego jechał dziadzio, a w nietyczance był pan Ignacy i pan Józef. Na połowie drogi stanęli wytchnąć przed karczmą i dać koniom siana. Lecz zaledwie powysiadali z powozów, gdy zajechała karetka i prezes z córką i panną Beldeau, jadąc z rewizytą do pani Włodzimierzowej, stanął także przed karczmą. Pierwsza panna Kamilla postrzegła znajomą sobie nietyczankę i Amora i, nie czekając, co powie ojciec, krzyknęła: Ignacy, otwórz! — Zaledwie drzwiczki były otwarte, już pan Józef był przy karecie, podał rękę pannie Kamilli, pomógł wysiąść prezesowi i pannie Beldeau i wszyscy poszli ku karczmie. Prezes powitał uprzejmie dziadzia, zarekomendował siebie i córkę matce, która się zadowiła i zmieszana, gdy poczuła, z jaką uprzejmością, z jakim uczuciem ta panna, okazała, piękna i bogata, ścisnęła jej rękę; ale żadne słowa nie zdołają oddać tego wyrazu ciekawości, interesu i bojaźni, jaki malował się w oczach nieśmiałej i nieprzywykłej do obchodzenia się z wielkimi paniami Anusi. Stała ona z daleka obok męża i czekała, czy też do niej zwróci się i jak ją przywita panna Kamilla. Ale panna Kamilla poszła do niej prędko i śmiało, wzięła jej obie ręce i rzekła ciszej: — My się już znamy! — Zaczerwieniła się na te słowa młoda kobieta i łzy zakręciły się jej w oczach. Gdy prezes wieszował matce, gdy dziadzio rekomendował mu pana Ignacego, gdy pan Józef, spoglądając z radością na uprzejmość kochanki dla siostry, zaczął rozmowę z panną Beldeau — korzystając z tego panna Kamilla wzięła pod rękę młodą kobietę i poszły wzdłuż karczmy. Sień była obszerna, próżna i czysta i można było po niej pospacerować. Gdy cokolwiek odeszły, Anusia, ściskając jej rękę, rzekła:

— Jaka pani dobra, że się tak z nami obchodzisz!

— Dlaczegoż mi pani to mówisz? — odpowiedziała panna Kamilla, patrząc z miłością w te błękitne oczy, zupełnie takie, jak u brata. — Wszak powiedziałam, że my się już znamy. Czyżbym się pomyliła? Pani, coś się domyśliła, że mój ojciec odwiedził was przeze mnie, nie domyśliłażbyś się reszty?

— O panno Kamillo droga! mogłaby to być prawda? — zawołała w uniesieniu Anusia.

— Cicho! — rzekła panienska, oglądając się i tuląc jej rękę do bijącego serca. — Nie nazywaj mnie panną Kamillą. Tyś Anusia dla mnie, jam Kamilcia dla ciebie, ciebie, myśmy siostr

— O mój Boże! mój Boże! — czyż ja spodziewałam się tak szczęśliwej chwili? — rzekła słabym głosem biedna kobieta, skłaniając odurzoną głowę na ramieniu panny Kamilli. — O! gdyby mój biedny brat wiedział, jak on szczęśliwy!

— Powiedz mi, Anulku, czy on mnie bardzo kocha?

— Możesz-że wątpić? możnaż ciebie inaczej kochać? Od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania waszego widziałam, że nieszczęśliwy, że stracił serce i pokój, że niepewność okrutna dręczy go i katuje.

— I nic ci nie mówił? nie przyznał się z niczym?

— O, droga Kamilciu! Ale Boże mój! jak mi dziwnie tak ciebie nazywać? Co to za szczęście! — rzekła, patrząc w te śliczne czarne oczy, w których łza jak brylant błysnęła.

— Cóż Anulku? mów mi, mów o nim!

— Więc ty go kochasz?

— Kocham go — odpowiedziała panna Kamilla, kładąc rękę na sercu; a potem nachyliwszy się do ucha Anulki, szepnęła jej ciszej: — kocham go bardzo, całą duszą, całym życiem, jakie jest we mnie. Ale mu tego nie mów.

— Ty mu sama to powiesz, on mi nie uwierzy, bo to dla niego nadto szczęścia.

— Sama mu powiem? Ach, nie wiem, nie zdobędę się na to. Czekałam jak zbawienia, żeby ciebie zobaczyć, ciebie, kobietę kochającą, któraś od razu serce moje odgadła, aby wylać przed tobą wszystko, co się tu zamyka, a tu tak wiele, moja droga Anulku, że się czasem piersi rozrywają. Bom ja sama, sama jedna, i nie ma żywej istoty, której bym mogła co powiedzieć. O! on szczęśliwy, on może mówić z tobą. Kiedy on ci się przyznał?

— Widzisz, moje życie, on mężczyzna, silny duszą i ciałem i umie panować nad sobą. Widziałam, że cierpi, ale póki twój

ojciec nie przyjechał do nas, milczał i cierpiał. Dopiero jak od was wrócił, o! z jakim uniesieniem, z jakim szczęściem chwycił mnie w objęcia i zawołał: — Anulku! tyś podobno zgadła.

— Podobno? — rzekła smutno panna Kamilla — czyż on nie widział, co się we mnie dzieje?

— Daruj mu to. Trudno człowiekowi wierzyć świadectwu własnych oczu, kiedy szczęście lub klęska przechodzi wszelkie jego oczekiwania.

— Szczęście! szczęście! ach! kto to jeszcze wie, czy to nasze szczęście czy niedola?... Ale precz z tymi myślami! — dodała, tuląc Anusię. — Na co ma nam dzień jutrzejszy zatrzymać dzisiejszą chwilę, kiedy taka rozkoszna... bom ja teraz bardzo szczęśliwa, moja droga Anulku. Ale pójdźmy!

I poszły do kompanii. Na środku karczmy panna Kamilla zatrzymała się i rzekła: — Ach, byłabym zapomniała, Anulku! będziemy pisywać do siebie, nieprawdaż?

— O! będziemy, moja droga! Ale pozwolisz swoje listy pokazywać Józiowi?

Kiwnęła główką panna Kamilla z słodkim uśmiechem i poszły wesoło z radosnymi twarzami. Gdy się złączyły z kompanią, pan Józef rzucił okiem na siostrę, oczy jej wypowiedziały mu wszystko. Panna Kamilla karesowała Amora; zbliżył się i rzekł jej ciszej: — Dziękuję, dziękuję pani!

— Za co? — odpowiedziała podnosząc nań oczy, w których była cała jej dusza; — czy za to, że miałam szczęśliwą chwilę?

Byłby jej do nóg upadł, ale prezes nadszedł z dziadkiem i nic sobie więcej powiedzieć nie mogli.

Rozjechali się wkrótce i łatwo sobie wyobrazić, jak długa, jak nieznośna wydała się ta droga panu Józefowi, który rad by był pomówić z siostrą i dowiedzieć się, o czym rozmawiała.

Gdy się skończyła ceremonia powitania w domu nowej gospodyni, gdy się utuliły łzy matki i córki, gdy mąż oprowadził wszędzie żonę i pełen szczęścia i radości zdał berło domowe w drogie jej ręce; gdy dziadzio, chodząc za nimi i stosowne piosneczki śpiewając, nasprzeciwiał się do woli młodej mężatce.

wtenczas dopiero Anusia, znalazłszy sposobny moment, wykradła się z bratem do osobnego pokoju i opowiedziała mu wszystko.

Wielkie szczęście jest zwykle tak bliskim wielkiej niedoli, każdy rozumny człowiek tak dobrze to czuje, iż spełnienie najgorętszych życzeń naszych, po krótkiej chwili uniesienia, napełnia serce smutkiem i trwogą. Tak się stało i z naszym panem Józefem. Gdy siostra skończyła opowiadanie, gdy się dowiedział, że kochany tak silnie, tak gorąco kochany — zbladł jak trup, upadł na krzesło, zakrył twarz obiema rękami i lzy szczęścia, bólu i trwogi puściły się z jego oczu. Gdy podano wieczerzę, on nic w usta nie wziął; gdy wszyscy poszli spać, on chodził długo i marzył i myślał. Zmęczony wreszcie, położył się, ale noc przeszła, dzień zajrzał w okna, a sen nie był wcale na oczach młodzieńca, przed którym krążyły obrazy niewypowiedzianego szczęścia, a za nimi rozdierające malowidła rozstania się, utraty i zapomnienia.

Tymczasem transakcja ¹⁾ o kupno części państwa Pożyczkowskich wniesiona została do akt, pieniądze wyliczone, intromisja ²⁾ wzięta. Pani Pożyczkowska, zabrawszy swoje dzieci drżące obok niej, s e r c e i manatki, pod które prezes kazał jej dać tyle podwód, ile by życzyła, wyjechała na mieszkanie tymczasowo do Szumska, póki by się nie nadarzyła gdzie dobra dzierżawa. Wszedł więc prezes w posiadanie nowego dziedzictwa, i jak pajak usadowił się w samym środku Czapliniec, gotów po swojej sieci puścić się na wszystkie strony na pierwszą zdobycz, która by mu się nawinęła. Gdy przy tym i oblig zakładowy pani Włodzimierzowej otrzymał i pewnym był, że się i ta wioska jemu dostanie, tym bardziej zapragnął Czapliniec, które miały stanąć w samym środku jego rozszerzającej się majątności.

Ta podwojona chęć zawładania tą wsią podwoiła i grzeszność jego dla domu państwa Starzyckich, których postanowił do pewnego czasu oszczędzać. Poznawszy bowiem rozum i prze-

1) *Transakcja*: przeprowadzenie jakiegoś interesu.

2) *Intromisja*: sądowe wprowadzenie w posiadanie nieruchomości.

nikliwość pana Hipolita, bał się naprzód, aby ten nie ostrzegł swoich sąsiadów i nie odwrócił ich od pozbywania się swoich posiadłości; powtórę chciał tą pozorną grzecznością dla jednego zamydlić oczy innym, wzbudzić ufność i okazać, że nie jest złym sąsiadem, jak o nim mówiono; nareszcie, mając zamiar różnymi drobnymi przykrościami dręczyć upornych, przyprowadzić ich do procesu i zmusić tym sposobem do wyrzeczenia się mająteczku i biedy, chciał oraz mieć pozór sprawiedliwości za sobą i pokazać, że z dobrymi żyje dobrze i w przyjaźni.

Wprawdzie mignęła mu była jakaś myśl zatrwajająca, gdy, wychodząc z gabinetu swojego z panią Włodzimierzową, postrzegł córkę w rozmowie z panem Józefem; ale panna Kamilla tak dobrze umiała potem ukryć swoje uczucia, tak na pozór obojętnie przywitała kochanka w karczmie, tak mało z nim mówiła wygadawszy się serdecznie z jego siostrą, tak potem grzeczną była dla pana Henryka i jego matki w ich domu, że myśl ta zatarła się w głowie prezesa. Znikła ona z niej zupełnie, gdy chytra panienka w przejeździe przez wioski pani Włodzimierzowej, odchwalić się ich nie mogła; zachwycała się ich położeniem, doskonałością gruntów, dodając, co by to był za majątek, gdyby był w rękę dobrego gospodarza. Uśmiechnął się na to prezes, dziękował w duchu Panu Bogu, że jego dziecię tak do niego podobne, i ogromny zamek zbudował — na lodzie.

Z tych tedy powodów, gdy pan Hipolit Starzycki, skłoniony przez ojca i żonę, ujętych uprzejmością prezesa w owej pamiętnej karczmie, ofuknięty nawet przez matkę, która, ulegając insynuacjom swego faworyta, wyrzucała mu niegrzeczność dla człowieka tak uprzedzającego i który został ich tak bliskim sąsiadem, zdecydował się nareszcie i z synem pojechał — przyjął go prezes z otwartymi rękoma i nie wiedział prawie, gdzie go posadzić.

Panna Kamilla, postrzegłszy przez okna zajeżdżającego pana Józefa, jak się domyślała z ojcem, pobiegła ku gabinetowi prezesa, dała mu znać, że ktoś przyjechał, a sama wyszła do swego pokoju, aby się cokolwiek uspokoić, utulić bijące gwałtownie serce i kochankowi dać czas obyc się i opamiętać. Prze-

czuwała ona, że musi wiedzieć o wszystkim, i bała się raptownego spotkania, które by ich w przytomności obudwóch ojców zdradziło.

Po kwadransie rozmowy grzecznej, ale zwyczajnej, pan Hipolit Starzycki, spoglądając na wchodzącą pannę Beldeau, rzekł:

— Mam od mojej żony ukłon oświadczyć córce pana prezesa i od siebie podziękować za jej łaskawe obejście się z moją córką.

— Jezus Maria! — rzekł prezes. — Czyż to nie był jej obowiązek? Mając obligację dla brata, wiedząc, jak ją szacuję rodziców, powinna była być uprzejma dla córki. Tak ją wychowałem — dodał wzdychając. — Gdy pan Hipolit nic nie odpowiadał, prezes tak dalej mówił: — A przy tym taka interesująca osoba, jak pani Zahorowska, nie mogła nie zająć mojej Kamilki. Jak żałuję teraz, że tak późno się poznały, i poznawszy się, tak się oddaliły od siebie. Bardzo byłbym kontent z takiej kompanii dla mojej córki, bo osoba w takim domu wychowana, jest zawsze użytecznym przykładem.

Znowu nic na to nie odpowiedział pan Starzycki; pan Józef dla kontenansu ¹⁾ przerzucał niby książkę, która obok niego na stoliku leżała, a prezes, zwracając się do panny Beldeau, dodał:

— Ale gdzież to Kamilcia?

— Zajęta w swoim pokoju — odpowiedziała guwernantka

— Niech panna Beldeau będzie tak łaskawa i zawoła jej na moment.

— Jeżeli dla nas — rzekł serio pan Starzycki — to niech pan prezes nie fatyguje panny Kamili. Ja inną razą wypełnię swój komis ²⁾.

Zastygło serce w piersiach pana Józefa, ale, zgłębiwszy się w książce, nic po sobie nie pokazał.

— Bardzo się cieszę z tej obietnicy pana dobrodzieja, — rzekł prezes; — to mi daje nadzieję, że się częściej widywać będziemy. Ale ja bym chciał pochwalić się przed sąsiadem moją jedynaczką, której pan dobrodziej nie znasz.

¹⁾ Dla kontenansu: dla dodania sobie śmiałości.

²⁾ Komis: zlecenie, poruczenie załatwienia jakiegoś interesu.

— Nie miałem jeszcze tej przyjemności — odpowiedział zimno. Tymczasem panna Beldeau poszła i po chwili otworzy się drzwi i pokazała się panna Kamilla. Na twarzy jej nie było uśmiechu, ale wyraz jakiś poważny i łagodny. Oczy jej patrzyły spokojnie, chód był powolny i pełen gracji¹⁾). Z dziwnym zajęciem spoglądał pan Starzycki na zbliżającą się z powagą okazałą panienkę; pan Józef powstał, trzymając się krzesła, bo nogi pod nim drżały, a panna Kamilla skłoniwszy się grzecznie i naturalnie ojcu i synowi, usiadła.

— Kamilciu! — rzekł prezes — pan Starzycki przywozi ci ukłony.

— Moja żona przypomina się pani — rzekł pan Starzycki — i ukłon przeze mnie przysłała.

— Jakżem wdzięczna — rzekła uprzejmie — że pani Starzycka o mnie nie zapomniała. Jakżeście państwo dojechali wówczas? czy szczęśliwie? — dodała, obracając się do pana Józefa.

— Jak tylko można najszczęśliwiej — odpowiedział, nie śmiać podnieść na nią oczu.

Mój Boże! — rzekła żywiej panna Kamilla — jak ja żałuję teraz, że córka pana tak daleko mieszka. Raz tylko widziałyśmy się z sobą, a tak jakoś przystałyśmy do siebie. Czy panu nie mówiła o tym siostra pana, jakieśmy się rozgadały? co to za miła rzecz, takie spotkanie na tych nudnych popasach!

— Ja właśnie chciałem podziękować pani za tę uprzejmość z jaką pani ośmieliła moją córkę. Wychowana w samotności, prawdziwa wieśniaczka, nie wiem, jak się znalazła.

— Znadto pan ją surowo sądzisz. Naturalna, miła, bardzo interesująca osoba — rzekła panna Kamilla. — Pan dawno wrócił od siostry?

— Już tydzień — odpowiedział pan Józef, spuszcżając oczy. Lekki rumieniec wystąpił na twarz panny Kamilli i wkrótce zniknął. Tak ciągnęła się rozmowa dalej. Panna Kamilla

1) *Gracji*: tu wdzięku.

najwięcej mówiła z ojcem, a synowi czasem tylko rzuciła zapytanie o gospodarstwie siostry, o jej zajęciach, czy będzie miała bliskie jakie sąsiedztwo itd.

Wtem wszedł Ignacy i dał znać, że nową młockarnię przywieźli i czekają przed gankiem.

— Aha, to ciekawa rzecz; bardzo mi kontent. Pan, co taki gospodarz, może zechce obaczyć — rzekł prezes podnosząc się.

— Z ochotą — odpowiedział pan Starzycki i wyszli. Zaledwie obaj ojcowie byli za drzwiami, gdy panna Kamilla, spojrzawszy przenikliwie na pannę Beldeau, rzekła:

— Belciu, duszko! każ pani podać moją robotę i niech przyrządzają do herbaty.

Uśmiechnęła się Francuzica i poszła. Tylko co się za nią drzwi zamknęły, pan Józef był już u nóg panny Kamilli, ścisnął jej kolana i wołał w uniesieniu: — O! mój aniele, czym ja wart tego?

Rozmarzona panienska położyła obie rączki na jego głowie, ścisnęła ją, zaczęła igrać z jego włosami; a gdy on tulił do ust jej dłonie, nachyliła się, pocałowała go w czoło i rzekła słabym głosem: — Wstań pan, wstań, na miłość Boską!

Wstał więc, usiadł na swoim miejscu, i długo, długo, patrząc na siebie, ani jednego słowa wymówić nie mogli.

— Nie masz pan nic od Anulki? — rzekła wreszcie panna Kamilla. Pan Józef podał jej bilecik. Otworzyła go prędko, zaczęła czytać; czytając, wyciągnęła do niego rękę, którą upojony młodzieniec tulił do ust i do serca. Gdy skończyła, rzekła: — O! tak, to na zawsze! Ale bądźmy ostrożni. Usiądź pan tam.

Posłuszny, jak dziecko, odurzony tą uroczą chwilą, odszedł, usiadł i patrzył jeszcze bez końca, jakby chciał przekonać się, że to nie sen, nie widziadło, które zniknie, gdy przyjdzie upamiętanie i ocknienie.

— Czytałeś pan to? — zapytała panna Kamilla.

— Nie, pani — odpowiedział.

— Pani, pani — rzekła z bolesnym uśmiechem. — Jak te

teraz dziwnie brzmi. Ale nie trzeba nam się od tego oduczać. Anulka radzi nam ostrożność. O! i ma rację! Czy wiesz pan...

— Znowu pan? — zawołał uniesiony młodzieniec, wyciągając do niej ręce. — Aniele mój! Kamillo droga! taki moment nieprędko się zdarzy.

— O! masz rację — odpowiedziała, — Raz tylko ci powiem, mój jedyny. Ty, ty, ty, jesteś tu... i na zawsze. A teraz dosyć.

To powiedziawszy, zerwała się, pobiegła do swego pokoju i wkrótce stamtąd wyszła z panną Beldeau.

Gdy prezes i pan Starzycki wrócili od młockarni, zastali pana Józefa w obojętnej rozmowie z Francuzicą.

— Gdzież to znowu Kamilcia? — zapytał prezes.

— Głowa ją cokolwiek boli — odpowiedziała guwernantka i prosiła o herbatę do swego pokoju.

Uśmiechnął się przenikliwy prezes i pomyślał: znudziła się ze szlachcicem; jej nie to w głowie! — I jeszcze grzeczniejszym był dla ojca i syna.

Podano wreszcie herbatę, przy której prezes opowiadał, kręcąc palcami i wzdychając, jakim sposobem z biedy przyszedł do posiadania części w Czaplincach; jak powodowany ludzkością uległ prośbom tych biednych ludzi i wybawił ich od kredytorów; jak teraz sam nie wie, co z tym kawałkiem ma zrobić i zaproponował panu Starzyckiemu, aby od niego tę część odkupił, okazując się gotowym nawet stracić i rozłożyć mu wypłatę na raty, jeżeliby nie miał tyle kapitału.

— Bardzo panu prezesowi dziękuję — odpowiedział pan Starzycki; — ale ja nie mam nic, prócz swojej części i części na Podolu, w której mój syn gospodaruje. Nie puszczam się nigdy na przedsięwzięcia, którym podobać nie mogę. Nie winiem nikomu ani grosza, i mam nadzieję, że żadnego długu dzieciom moim nie zostawię.

— Admiruję, admiruję pana! — odpowiedział prezes. — Jezus Maria! gdyby wszyscy sąsiedzi pana dobrodzieja tak postępowali i myśleli! Ale przykład taki, jaki im dajesz, nie działa na tych ludzi. A żal, żal! takie mająteczki, jakie mają, wy-

starczyłyby każdemu; ale trzeba się piędzią mierzyć, a tego rozumu Pan Bóg im nie dał. Wszyscy w długach.

— Każdy odpowiada za swoje postępowanie i życie — rzekł z powagą pan Starzycki — i los każdego z nas jest to ciągła konsekwencja naszych myśli i czynów.

— Jezus Marial — rzekł prezes, wzdychając — jaka to święta prawda. I ja już doznaję skutków tego głupstwa, zem wlaźł w niepotrzebne kupno. Ale cóż robić? — dodał, kręcąc zwolna palcami i przechylając głowę — kiedy pan mnie wykupić nie możesz, niech ta bieda zostanie przy mnie. Przynajmniej mam sumienie spokojne.

Zsunął brwi pan Starzycki, słuchając tych ostatnich słów, i nic nie odpowiedział. Skończyła się herbata i pożegnali się uprzejmie. Prezes wymógł obietnicę częstszego odwiedzania się; dodał, że ma w niektórych rzeczach, tyjących się gospodarstwa, poradzić tak biegłego znawcy; że go powiezie do gorzelnii; że chciałby mu pokazać swój browar itd.

Gdy pan Starzycki z synem wracali do domu, nic do siebie nie mówili. Ojciec, sam nie wiedząc, co sądzić o prezesie, rozważał i milczał. A syn? o! syn także milczał i bujał w siódmym niebie.

IX

Tymczasem prezes, który z biedy i jedynie przez ludzkość wlaź w posiadanie części państwa Pożyczkowskich, postanowił według planu z niej korzystać. Dla kilku chłopów osadzać ekonoma było nie warto, że zaś dworek był niezły, w samym środku wsi i na głównej ulicy, osadził w nim żyda. Żyd ten miał wódkę, miód, wiśniak, a nawet i wino; opatrzył się w stare fraki, niezupełnie znoszone kapoty, płaszcze itd.; miał materialne sukienki i chustki damskie, a pod wielkim sekretem znalazł i sztukę płótna i tytoń, i muślin i tym podobne drobiazgi. Żydek to był niewielki, grzeczny i niezmiernie usłużny. Wódka jego była mocniejsza, lepszej miary i tańsza, niż u państwa Smyczkowskich i u pana Skrętskiego; w śniaczek był doskonalszy, a wino z etykietkami, co nadzwyczajnie ujęło pana Płachtę, jako rzecz niezmiernie k o m i l f o . W największy zaś fawor ¹⁾ u wszystkich panów, a szczególnie u pań, wprowadziło Mortka to, że nigdy n'e zapytał o pieniądze, ale wszystko, co tylko kto chciał i ile chciał, dawał na kredyt. Z chłopami wszakże był ostrożniejszy i im sprzedawał wódkę na gotowe pieniądze. Łatwo się czytelnicy domyślą, że był to agent Szlomy, działający według jego i prezesa instrukcji, że n'ic nie miał swego, ale wszystko należało do naszego Szejne Morejne, on zaś miał tylko procent od wyszynku i sprzedanych rzeczy.

Z początku wszakże nie podobała się ta nowość wielu panom. Szczególniej panowie Smyczkowscy i pan Skrętski krzy-

1) *Fawor*: łaska, szczególne względy, przychyłość.

czeli mocno i karali swoich chłopów, jeżeli który, zwabiony lepszą miarą, zawędrował do Mortka. Ale że Mortko ujął wszystkich, a szczególnie panie, nie pomogły wocyferacje ¹⁾ dwóch zgodnych braci i rzeczy poszły swoim trybem. Tryb zaś ten był przewidziany przez prezesa. Znając naturę ludzką w ogólności, że się tentacjom ²⁾ trudno opiera, i znając naszą polską naturę w szczególności, że się im opiera mniej niż inne, wyrachował, że, podsunąwszy blisko wszystko to, czym chciał ich uwieść na pokuszenie, że ułatwiając nabycie nieograniczonym kredytem, łatwo wyprowadzi mieszkańców Czaplinię z granic umiarkowania i już i tak odłużonych jeszcze więcej po-
grąży w długi.

Nie omylił się w swoich rachubach prezes. Gdy Szłoma umyślnie zaczął robić trudności, — gdy, pokazując to temu, to owemu sążnisty obrachunek oświadczył, że więcej kredytować nie może, wszyscy rzucili się do nowego dobrodzieja, który okazywał największą gotowość, zaufanie, i oświadczył, że on im i na tysiące zawierzy. Zapomniawszy więc o rejestrach Szłomy, widząc, że u Mortka nic jeszcze nie ma, lub mało, wyobrazili sobie nasi panowie, że nic nikomu nie winni i brali ryczałtem. A jak u nowego doktora wszyscy chętnie kurują się, czy zdrowi, czy chorzy, tak i nasi obywatele schodzili się hurmem do nowego przekupnia i brali, ile stało, czy kto czego potrzebował, czy nie. Pan Płachta pokrył wszystkie meble nową materią i niezmiernie k o m i l f o; pani Płachcina sprawiła dwie materialne suknie, nowy beret, którego Mortko nie wiedzieć skąd się wystarał, a korzystając z dobrej zręczności, że dawali darmo, wzięła u Mortka salopę z lisami, wprawdzie nie nową, ale jeszcze bardzo przyzwoitą. Ta salopa poprowadziła za sobą konieczność wyjeżdżania przyzwoiciej do kościoła i do sąsiadów, a zatem konieczność mienia ³⁾ krytych sani, które Mortko czarownik jakby spod ziemi wydobył. Nowe meble poprowadziły za sobą potrzebę dawania wieczorynek, tym bardziej że i pan-

1) Krzyki.

2) *Tentacje*: pokusy.

3) Posiadania.

ny Płachcianki dostały po trzy pary nowych sukienek; stąd i piwnica Mortka miała odbyć, i wino z etykietami wyszło zupełnie.

Podobnie i pan Skrętski i panowie Smyczkowscy, przeprosiwszy się z Mortkiem, oporzędzili się zupełnie. Panowie Zarzycki i Cepowski, przejrzawszy, czego nie dostawało w ich domu i garderobie, pośpieszyli do Mortka; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, zapuściwszy, dla postrachu panów Smyczkowskich i dla ujęcia pańien Płachcianek, takie same wasy i bakenbardy, za pośrednictwem Mortka i dla większego złudzenia panienek dostali i podobne czamarki. Słowem każdy się spieszył, każdy brał, każdy się ekwipował, każdy przy kupnie i wydawaniu rewersu wypijał wódkę słodką i gorzką, miód stary i młody, wino z etykietkami i bez etykietek. Bo czegoż mieli sobie żałować, kiedy to nic nie kosztowało, kiedy Mortko poczciwy, nieoceniony Mortko, dawał wszystko na kredyt? Takim to sposobem, w przeciągu kilkunastu niedziel, kilkanaście tysięcy złotych na wszystkie prawie domy, oprócz państwa Starzyckich, Szłoma i prezes zapisali. Nikt wszakże nie domyślał się ani celu działania Mortki, ani źródła, z którego zawsze do niego tyle ładnych, tyle nowych rzeczy napływało.

Niektórzy z drobniejszej szlachty, mający po dwóch, po trzech i po czterech chłopów, zachęcenі wspaniałością prezesa, który państwu Pożyczkowskim zapłacił za duszę więcej nawet niż chcieli, i podmówieni przez nieocenionego Mortka, który dnych ludzi obdzierają i gromadził część do części. Tym sprzy dobrym kieliszku tę myśl im poddał, udali się do prezesa i części swoje sprzedali. Płacił im, co sami chcieli, robił wszelkie dogodności, koszta prawne brał na siebie, z długów Szłomy i Mortka strącał część znaczną, krzycząc na żydów, że biesobem wlaź pod bok panu Remigiuszowi Smyczkowskiemu, stanął za plecami pana Płachty, podsunął się pod oborę pani Biruckiej i pod toki panów Zarzyckiego i Skrętskiego. Żadnego wszakże dotąd nie zaprowadzał sporu, w odgraniczaniu gruntów i osiadłości największą okazywał łatwość, ze wszystkimi był bardzo grzeczny, a gdy czasem zajechał spojrzeć na swoje

nowe dziedzictwa i obaczył ciekawe działki sąsiadów swoich na płocie, zawsze do nich podchodził, wychwalał ich piękność, obcierał im noski swoją własną chustką i nie omieszkiał nigdy zrobić prezencik. W całych Czaplincach o niczym nie mówiono, tylko o prezesie, stawiano go na wzór sąsiadów i największe powzięto o nim nadzieje.

Utwierdził wszystkich w tym mniemaniu pan Skrętski. Prezes obszedł się z nim niezmiernie po przyjacielsku, dzieciętki jego pieścił, całował i obdarzył; tym ośmielony pan Skrętski, udał się z prośbą o pożyczanie pieniędzy. Prezes okazał nadzwyczajną uprzejmość, ufetował¹⁾ pana Skrętskiego u siebie, dał pieniądze i dla formy nazaczył tylko piąty procent. Gruchnęła ta wiadomość po Czaplincach i wszyscy rzucili się do łaskawego dobroczyńcy. Prezes dawał, oni brali, czy kto potrzebował, czy nie; bo jak nie brać, kiedy dają, kiedy nazaczają tylko piąty procent, kiedy jaśnie wielmożny dobroczyńca nie żąda innej ewikcji, jak prosty weksel, na walorowym wprowadzie papierze, ale nawet i ten papier daje od siebie

Tym sposobem znowu kilkadziesiąt tysięcy nagromadziło się na czaplincach właścicielach. Żaden wszakże nie poszedł prosto ani do Szlomy, ani do Mortka obrachować się i zapłacić, ale każdy, zabrawszy gotowiznę, wywiózł ją do Krzemieńca lub do Dobna i powrócił do domu z jak najlżejszą kieszenią. Ale zato co się stało z Czaplincami?... Czaplince oporządziły się, zrobiły się świetne, i wyglądały jak maleńki Paryż.

Pani Płachcina podwoiła wieczory; galon szczerozłoty za jaśniał na kołnierzu Żorża; panny Płachcanki zaczęły się uczyć konno i brały lekcje od panów Smyczkowskich i w ich karczmie zamienionej na maneż²⁾; półsorki pana Skrętskiego jaśniały mosiądzami, pani Brucka sprawiła sobie zielonawą atlasową suknię do pomarańczowego szalu; pan Brucki przywiózł od Bunia cały antałek wina; panowie Zarzycki i Cepowski młodzi pokupowali sobie dzielne wierzchowce, w tej nadziei, że

1) *Ufetował*: uraczył, ugościł.

2) *Maneż*: szkoła konnej jazdy, ujeżdżalnia.

będą towarzyszyć pannom Płachciankom w czasie przejazdów po Czaplńcach. Słowem, wszędzie było huczno, wesoło. Karnewał przeszedł na wieczorach, obiadach i balach; a gdy w ostatni tydzień wieczorów nie stało, dawano tańczące śniadania, do których pan Płacha dał przykład i gdzie wprowadził zamiast pirogów i prosiąt, jako rzecz bardziej k o m i l f o, czekoladę i wino szampańskie, którym pili z uniesieniem zdrowie prezesa, i które jakimś cudem znalazło się także u Mortka.

W takim wirze żyjąc, obywatele Czaplńiec nie uważali, że od początku zimy zwożono mnóstwo różnego gatunku materiału, że składano go na każdej części, która należała do prezesa. gdzie z powrotem w osny miał przedsiębrać różne budowy. Wszakże nikt nie wiedział, co zamyslał budować, i nie to nikogo nie obchodziło; bo Mortko, jak dawał, tak dawał, bo prezes był równie grzecznym, jak pierwej, bo jeżeli który zmiarkował się, że przez głupstwo i nieśmiałość za mało pożyczył, i jeszcze raz do jaśnie wielmożnego dobroczyńcy pojechał, znowu dostał pieniędzy, dał skrypcik, i wróciwszy do domu, dał balik, na którym znowu pito zdrowie prezesa szampanem, którego teraz już u Mortka było pod dostatkiem.

A u państwa Starzyckich? U państwa Starzyckich było cicho, spokojnie. Dziadzio w swej komórcie robił małe stoliczki i krzeselka na zabawki dla prawnuka, którego się za kilka miesięcy spodziewał, matka szyła koszulki i czapeczki, babunia modliła się za wszystkich, ojciec gospodarował, a syn czytał, uczył się, aby stać się godniejszym anioła, który do niego zstąpił.

Cierpiał on wprawdzie, że rzadko tylko mógł widywać pannę Kamillę, że konieczność nakazywała im udawać zupełną obojętność i najzwyczajniejszą grzeczność; ale zdarzały się czasem szczęśliwe chwile, krótkie i jasne, jak błyskawica, w których ściśnienie ręki, połączone z wyrazem głębokiej miłości, ożywiało go, uspokajało i dodawało osnowy do marzeń na dwa lub trzy tygodnie niewidzenia.

Ten przymus nagradzali sobie kochankowie w listach, które oboje pisywali do Anulki, wiedząc dobrze, że ona je nazwajem zakomunikuje. W nich wylewali oni całą głębokość uczu-

cia, co ich tak gwałtownie schwyciło; wyrzucali wszystkie trwogi, co ich dręczyły, opisywali, a tym samym powtarzali każdą chwilę szczęśliwą, która im się na jedno mgnienie, jak czyste niebo wśród chmur, otwierała.

Tym sposobem przeszła zima i przemienęła Wielkanoc. Wczesna i prześliczna wiosna ożywiła ziemię, tchnęła miłośnicie na wszystkie stworzenia i podwoiła żądzę, tęsknotę i trwogi młodych ludzi, tak bliskich siebie, tak dla siebie stworzonych, a przecież rozdzielonych nieprzewyciężoną przeszkodą, na której przełamanie żadnego nie widzieli środka.

Dwie okoliczności dręczyły szczególnie biedną heroinę naszą: naprzód to, że wkrótce zapewne pan Starzycki wyprawi syna na Podole, aby zajął się gospodarstwem. Choć i panna Kamilla wiedziała o tym dobrze, że babka, pozbawiona obecności wnuczki, przytrzymywała go przy sobie, mówiąc n'eraż synowi: że gospodarstwo tam nie uciecze, a moje życie ucieka co chwila; — wszakże nie mogła przed sobą zataić, że nareszcie i staruszka ulegnie konieczności i na wyjazd jego zezwoli. Druga okoliczność była ta, że dla ukrycia swoich uczuć, przyjmowała odwiedziny pana Henryka, a chociaż nie ośmieliła go bynajmniej do wynurzenia uczuć, które jej z ogródka i nieśmiało okazywać starał się, ale i nie odstręczała go tak, by o n'ej raz na zawsze myśleć przestał. Ta hipokryzja ciążyła jej szlachetnemu sercu i zatruwała spokój.

Wszakże wkrótce przypadek przyszedł jej w pomoc. Okoliczność, która go sprowadziła, zmusza nas cofnąć się cokolwiek nazad.

Pan Henryk, wróciwszy z pierwszej w'izyty od prezesa z głową zajętą wdziękami panny Kamilli, uczuł się głęboko upokorzonym. Gdy się wyegzaminował, poznał, że zdrożne wychowanie zmieniło całkiem jego naturę, że nie ma w sobie nic męskiego, że niczym nie zdoła zająć, przez nic podobać się tak energicznej pan'ence. Przybity tymi myślami, kilka dni przebył w głębokim smutku. Na próżno matka starała się go rozweselić i wybadać. Matce nic nie odpowiadał, a nawet jedną z jej panienek, która także smutek jego spostrzegła i tajemnie pocie-

szyc go chciała, ze wstrętem odepchnął. Czwartego dnia, nasunawszy czapkę na uszy, otuliwszy się dobrze, bez opowiedzenia się matce, poszedł. Daleko za domem spotkał pisarza prowentowego, który ze strzelbą na plecach szedł sobie nad staw, czy nie zdarzy się do czego puknąć. Był to Mazur spod ciemnej gwiazdy, dawny kawalerzysta, człowiek żywy i weredyk¹⁾ i więcej zajęty strzelbą, niż rejestrami, jeszcze zuch i gotów do szabli i do szklanki. Gdy zamyślony i okutany panicz prędko obok niego przechodził, skłonił mu się pan Siodłowski, ale, spojrzawszy miłośnierze, uśmiechnął się jakoś i ruszył ramionami. Postrzegł to pan Henryk i już nabitą mając głowę tą myślą, że wszyscy nim gardzić muszą, jak mazgajem, zatrzymał się i zapytał:

— Czego asan się uśmiechasz i ruszasz ramionami?

— Przepraszam jaśnie wielmożnego pana, jeżeli to zrobił — odpowiedział, zdejmując kaszkiet, — ale dalibóg, że mi żal patrzeć, jak się panisko okutało, jakby w trzaskający mróz. Kiedy to proszę jaśnie wielmożnego pana, w takim wieku, mosanie, i w czasie takiego wieczoru, choćby w surduc'ku i kaszk'eciku, można by się przebiegać, a jeszcze włożywszy strzelbeczkę na plecy.

— Kiedy się boję przeziębici, panie Siodłowski.

— Ej, pluń, jaśnie wielmożny panie, na to. Jak to, proszę jaśnie wielmożnego pana, przeziębici się, kiedy miłośnierzy Bóg dał młodą krew, która będzie piec jak św'ecami, jeśli ją, jaśnie wielmożny pan mosanie, rozgrzejesz. Tylko nie trzeba tam siedzieć w pokojach jak w futerale, i nie smażyć się nad tymi niemieckimi książkami, ale się ruszać, ruszać panisku, jak na młodego pana przystało. — Pan Henryk westchnął i odwrócił się, a Mazur mówił dalej: — O! widzisz go! jaśnie wielmożny pan wzdycha. Ochotka by to była, ale już jaśnie wielmożny pan tak przywykł. A może i boi się trochę, żeby się mama nie zagniewała. Oj, toć bo to i b'eda, że z panicza zrobili takiego, z przeproszeniem, mazgaja, że paniskowi potem samemu wstyd będzie, mosanie, jak się g'd'ze popadniesz między żwawych chło-

1) *Weredyk*: mówiący prawdę.

paków. — Schwycił go młody człowiek konwulsyjnie za rękę i rzekł:

— Prawdę, prawdę mówisz, mój Siodłowski! ale cóż, kiedy ja nic nie umiem i wszystkiego się boję?

— Ej! pluń, jaśnie wielmożny pan, na to. Co tam nie umiem, co tam boję się? Alboć to święci garnki lepia, a panisko jeszcze nie młody? Wszystkiego się nauczysz, mosanie, i do wszystkiego przywykniesz, tylko trzeba się ruszać. Porzuć panisko te głupie książeczki; nie śpij na piernatach, ale na sianie; tę małą diablicę, Ziuzię, co to się chwali nie wiedzieć czym, każ osiec różgami i wypędź z domu; a kup sobie jaśnie wielmożny pan psa, mosanie, konia, mosanie, strzelbę i pistolety, mosanie, to będziemy polować, jeździć, strzelać, chodzić od rana do nocy, a nie będziesz się panisko niczego bał, będziesz wszystko umiał, co żwawemu chłopakowi przystoi, i nie będziesz tak wyglądał jak masło maślane i jak śledź wymokły.

— Słuchaj, Siodłowski! dostań mi gdzie psa, upatrz wierzchowca, pistolety, strzelbę. Ja ci jutro dam pieniądze.

— Dobrze, z ochotą; proszę się na mnie spuścić.

— Ale — dodał pan Henryk bojaźliwiej — niech to wszystko będzie u ciebie, żeby mama nie wiedziała. — Uśmiechnął się stary wiarus, pokręcił węża i rzekł:

— Hm, dobrze to, że jaśnie wielmożny pan tak szanuje wolę jaśnie wielmożnej pani, ale kiedyż bo to, prawdę powiedziawszy, zgubne, i robi z paniska wierutną babę.

— Jak się trochę ośmielę, jak już będę dobrze jeździć, to wtenczas powiem mamie i przekonam ją, że nie ma niebezpieczeństwa.

— Niebezpieczeństwo dla mężczyzny na koniu i z bronią? A cóż u milion set diabłów daje bezpieczeństwo człowiekowi, jeśli nie koń, szabla i pistolet? — zawołał, zapalając się pan Siodłowski. — Ale bądź jaśnie wielmożny pan dobrej myśli! ja jaśnie wielmożnego pana wszystkiego nauczę. Byłem, mosanie, instruktorem całego szwadronu, i zjadłby mi sto diabłów który z moich wiarusów, żeby nie siedział na koniu jak dratwą przysyty.

Gdy tak mówił, dał się słyszeć świst w powietrzu, przeciągało parę kaczek na staw, a pan Siodłowski w mgnieniu oka zmierzył i strzelił. Gdy się obejrzał, pan Henryk stał odwrócony, pochylił się do ziemi i uszy rękami zatknął. Zaśmiał się głośno pan Siodłowski, a że kaczki leciały za wysoko, i żadnej nie zabił, zaczął zwolna strzelbę przeczyszczać i na nowo nabijać. Gdy nabiał, podał ją panu Henrykowi i rzekł:

— No, spróbuj no, panisko, sam, a obaczysz, że nie taki diabeł straszny, jak go, mosanie, malują.

Wziął biedny chłopiec strzelbę, ale ręka mu drżała, drganie objawiło się w całym ciele i zdradziło ciężką walkę. Nie mogąc się jednak zwyciężyć, pobladł jak ściana, i oddawszy strzelbę, zakrył sobie twarz ze wstydu i uciekł nazad do domu.

Stał długo na miejscu oparty o strzelbę pan Siodłowski, patrzył za nim z politowaniem, a potem zawołał: — Otóż to niemieckie wychowanie!

Wszakże zaraz na drugi dzień zjawił się pan Henryk u pana Siodłowskiego, przyniósł mu pieniądze i prosił, aby się zajął jego sprawunkami. Rzecz była nietrudna i w przeciągu tygodnia miał pan Henryk parę pistoletów, dubeltówkę, pałasz lekki, zgrabny, legawca wcale niezłe ułożonego i ślicznego kasztanka, który grzebał zgrabną nóżką, gdy go wyprowadzano, patrzył wokoło ciekawie i wesoło, ale za najmniejszym szelestem zestrzygał uszki i chrapał nozdrzami.

— Musi być bardzo dziki, — rzekł pan Henryk, zbliżywszy się, aby go pogłaskać. Ale nie mógł się przewyciężyć i cofnął się raptem, gdy koń zwrócił ku niemu głowę i parsknął.

— Ej! pluń jaśnie wielmożny pan na to — odpowiedział, śmiejąc się Mazur. — Ot, obaczysz panisko zaraz, jaki dziki.

To powiedziawszy, przystąpił śmiało, uderzył konia po grzbiecie dłonią, kasztanek wyciągnął się, a pan Siodłowski, zarzućwszy mu trzęźlę na szyję, wziął lewą ręką za grzywę i jak piórko wskoczył. Potem poprawił się, nogi wyciągnął równo i prawą ręką po szyi klepać go zaczął.

— Widzisz, jaśnie wielmożny pan, mosanie, co to za dzikość. Stoi jak dziecko. Jedną tylko ma wadę, że trochę za

miękki w pysku. Bo też nie trzeba go ściągać. Tylko ten szarpie konia, kto nie umie jeździć i boi się upaść. O! patrz no, panisku, co to za stępa, mosanie, a jaki kłus, mosanie. Prawda, trzęsie trochę, ale to lepiej — znak, że mocny. A jak się osadza, mosanie! — To powiedziawszy, puścił się galopem prosto na pana Henryka i o krok przed nim stanął, jak wryty. — Ho! ho! — zaśmiał się na całe gardło pan Siodłowski — jak mi panisko pobladło i trzęsie się jak osika. Czy to jasnie wielmożny pan myślał, że ja go nie osadzę i roztratuję swoje paniątko? Ej, pluń jasnie wielmożny pan na to. Byłem ci ja instruktorem 1-go szwadronu 1-go pułku strzelców i zjadłby mi sto diabłów który z moich, jeśli by na placu, wyjeżdżając na ordynans¹⁾, choć na piędź wyskoczył dalej, niż mu kazałem. No, siadaj jasnie wielmożny pan — dodał Siodłowski, zeskoczywszy z konia i uderzając go znowu dłonią po grzbiecie.

— Za nic, za nic, mój Siodłosiu! — zawołał pan Henryk, zatrzepawszy rękami i odchodząc na bok. Mazur pokręcił wąsa i zdesperował.²⁾ Przeszedł tydzień na rozmaitych próbach strzelania i jeżdżenia, ale żadna się nie udała. Wreszcie wpadł na myśl pan Siodłowski, że trzeba pomaleńku i stopniami panicza przyuczać. Posadził go więc naprzód z wielką biedą na folwarczną kobyłę, starą i ślełą, a potem na swojego podjezdka, potem na konia co chodził pod forysiem, i w przeciągu zimy doszedł do tego, że nareszcie pan Henryk, jednego dnia po Wielkiejnocy, gdy śniegi już znikły i ziemia stwardniała, odważył się wsiąść na swego kasztanka. To samo było i ze strzelaniem. Powoli, stopniami, ośmielał go, uczył, pokazywał i doprowadził do tego, że młody człowiek, chociaż zawsze z jakimś nerwowym wstrząśnieniem, ale strzelał po kilkanaście razy na dzień; chodził wieczorem nad staw, głąskał i zachęcał psa; a chociaż nigdy nie zabił nic, bo gdy przyszło pociągnąć za cyniel, zawsze ręka jego drżała i przymrużyły się oczy, ale do celu niekiedy trafiał. Zdarzyło mu się nawet raz, że kulą zadra-

1) *Na ordynans*: rozkaz.

2) *Zdesperował*: zwątpił, stracił nadzieję.

snał kłode, postawioną o dziesięć kroków, do której strzelał z pistoletu.

Wszystko to robiło się bez opowiedzenia się matce, która nie mogła z początku pojąć, co się stało synowi. Później wprawdzie dowiedziała się z boku; ale widząc, że młody człowiek rzeświejszy, weselszy, że ciągły ruch i ustawiczne prawie przebywanie na dworze umacnia jego zdrowie, wyprowadza rumieniec na jego twarz. — przypomniawszy sobie nadto rozmowę z prezesem, westchnęła i milczała.

Pan Henryk prawie co dwa lub trzy tygodnie bywał w Szyzkowcach. Zastawał tam czasem pana Józefa i jakkolwiek ostrożni byli kochankowie, schwytał nieraz przelotne wejrzenie, w pół wyraźne słówko i instynktem kochającego i zazdrosnego serca odgadł prawie wszystko. Czuł on swoją niższość w każdym względzie i to upokarzające uczucie przyprowadziło go do serdecznej nienawiści dla naszego bohatera.

W połowie kwietnia panna Kamilla odebrała list od Anusi, w którym ciągle mówiła o bliskim wyjeździe brata na Podole. Zmartwiona, zła, smutna, chodziła prędko po pokoju, szukając w myśli środków i nie widząc żadnego ratunku. W takim usposobieniu zastał ją pan Henryk. Z początku odpowiadała mu półgębkiem, ale wkrótce, postanowiwszy go odstręczyć przynajmniej na długi czas, uwolnić się od jego wizyt przynajmniej na te chwile bolesne, póki pierwszy żal rozstania nie złagodzi się i nie opadnie, wpadła w jakiś szyderski humor i jak w najpierwszej ich rozmowie, mówiła mu tylko o koniach, polowaniu, o strzelaniu z pistoletu, słowem, udawała nadzwyczajny zapał do wszystkich tych rozrywek męskich i krzywiła się, wspominając o mężczyznach nie wychowanych twardo i po rycersku. Zbladł pan Henryk na te deklamacje, pożegnał się i wyjechał z postanowieniem przekonania panny Kamilli, że nie taki mazgaj, jak może o nim myślała.

Następnego więc tygodnia kazał raniutko wyprawić swego kasztana z masztelarzem do Czaplinc i czekać na siebie w karczmie panów Smyczkowskich, a sam, siadłszy do koczyska z Siodłowskim, pojechał później. Gdy przybył na miejsce

rendez-vous i gdy osiodłano konia, kazał sobie podać toaletę, uczesał włosy, nastrzępił wąsik, zapiął rajtfrak¹⁾ pod samą szyję, kaszkiet ustawił na głowie w determinowej²⁾ pozycji i świszcząc szpicrózgą i brzękając ostrogami, z jakąś gorączkową odwagą dosiadł swego kasztanka. Pan Siodłowski radował się swoim dziełem, bo w rzeczy samej wcale niezłą miał minę pan Henryk: wziął cugle akuratnie, oparł rękę na prawej nodze z gracją, osadził się mocno na siodle i, cmoknąwszy, ruszył do karczmy. Pobiegł jeszcze ku niemu stary kawalerzysta, poprawił go, wyprostował nogi, odsunął trochę na tył i zawołał:

— Tak, głowa trochę na bok, stępo, munsztuk wolniej, ostroga w pole. A ty pilnuj, żeby koń się nie rozgrzał, żeby się czego nie spłoszył; rozumiesz kpie? — Te ostatnie słowa naturalnie, zwrócone były do masztelarza. Już pan Henryk był daleko na drodze do Szyszkowiec, a jeszcze pan Siodłowski stał we wrotach karczmy i, patrząc za nim, mruzczał: — Dobre chłopaczysko, nie będzie z niego nigdy wielki zuch, ale dobrze i to. Gdyby nie ja, i tego by nie było. Oj! te modne baby ze swoją niemczyzną! — Tak wykrzyknąwszy wrócił do karczmy i, dla pocieszenia się, kazał sobie podać puzderko.

Zdarzyło się, że tego samego dnia, kiedy pan Henryk wybrał się do Szyszkowiec, pojechał tamże i pan Józef. Ze zboląłym sercem, z smutną i bladą twarzą stanął młody człowiek w salonie prezesa, gdzie wszyscy byli zebrani. Postrzegła panna Kamilla, że cios przewidziany jest bliski i zbladła jak ściana. Ale, zrefiektowawszy się prędko, zaczęła rozmowę najobojętniejszą na świecie. Po niej jakim czasie pan Józef, zwróciwszy mowę do gospodarstwa i siejby, znalazł sposobność dodać, że wyjeżdża za trzy dni na Podole i że właśnie przyjechał pożegnać mieszkańców uprzejmego domu, gdzie on i jego rodzina znaleźli tak łaskawe przyjęcie. Wszystko to powiedziane było niezmiernie naturalnie i z wielką mocą nad sobą. Z takimże samym owładaniem gwałtownego bólu, który serce jej ogarnął,

1) *Rajtfrak*: frak do jazdy konnej.

2) *Determinowa*: zdecydowanej.

słuchała go panna Kamilla, dodając prośbę, aby pani Zahorowska koniecznie ją odwiedziła, jak przyjedzie do rodziców. Prezes prośbę tę powtórzył, pan Józef obiecał i podziękował, a panna Kamilla wyszła z pokoju. Po niejakiem czasie wróciła z robotą i usiadłszy, spokojnie znowu rozmawiała. Wszakże w ciągu rozmowy, przez jeden z tych manewrów, których nie myślę uczyć czytelniczki moje, pan Józef odebrał małą karteczkę. Trzymał ją, tulił w rękę z kwadrans, szczęśliwy, że ją miał, nieszczęśliwy, że jej przeczytać nie mógł. Aż dopiero, gdy prezes powstał i poszedł do okna, usłyszawszy hurkot zajeżdżającego powozu, przeczytał te słowa: „Drogi mój, biedny, jedyny Józiu! zostań tu jeszcze z papą — a potem jedź — czekać cię będę w tym miejscu, gdzie cię pierwszy raz obaczyła”. — Zaczzerwieniła się twarz jego od radości i spojrzeniem dał znak, że będzie posłusznym. Tymczasem prezes zawołał: — Któż to kazał zaprząć karolkę ¹⁾?

— Ja papo! przejadę się trochę z Belcią. Dzień tak piękny, a mnie cokolwiek głowa boli.

— Dokądże pojedziesz?

— Gdziekolwiek, przez wieś, na pole. Już się tak ładnie zieleni. Chodź, Belciu, jedźmy. Adieu, panie! — dodała, zwracając się do pana Józefa. — Życzę panu szczęśliwej drogi i deszczów na posiewy. Wszak deszcz potrzebny na posiewy, nieprawdaż, papo?

— O! z ciebie wielka gospodyni! — odpowiedział prezes. Zaśmiała się panna Kamilla i dodała:

— A jeżeli pan obaczysz siostrę przed wyjazdem, proszę się jej serdecznie kłaniać. Chodź, Belciu! — Ukłoniła się raz jeszcze i pobięła do swego pokoju.

Prezes tymczasem wyszedł z panem Józefem na ganek obaczyć, jakie konie zaprzęgli. Wkrótce wyszła i panna Kamilla w salopie i kapelusiku z guwernantką.

Gdy ją podsadzał pan Józef do powozu, gdy już noga jej była na stopniu, a ręce ich tuliły się z miłością i bólem, nagle

¹⁾ *Kariolba*: lekki powozik dwukołowy.

tętent się rozległ na ulicy za bramą i ujrano rozhukanego konia, który w największym galopie wniósł na dziedziniec swojego jeźdźca. Biedny ten jeździec blady był, bez czapki, leżał prawie na szyi konia i trzymał się za grzywę; nogami objął brzuch jego i kłął go ze strachu ostrogą, a strzemiona wolne i ciężkie, rzucając się na wszystkie strony, biły przelęknione zwierzę to po bokach, to po piersiach. Masztelarz zdesperowany pędził za nim i tym hukiem powiększał jeszcze przestraszoną kasztankę; krzyknęła na ten widok panna Kamilla, i rzuciła się nazad ku panu Józefowi. Schwycił ją młodzieniec, utulił w objęciu i wyniósł nazad na ganek. Gdy tak wszyscy stali, nim mogli się opamiętać i dać jaki ratunek, koń rzucił się w bok przed stojącym na drodze jego powozem, i pan Henryk (bo niestety! był to pan Henryk), wysadzony z siodła, upadł twarzą do ziemi i, na domiar nieszczęścia, trafił na małą kałużę, która po wczorajszym deszczu została. Ignacy pobiegł za koniem, który wpadł na drugi dziedziniec, gdzie były stajnie, i gdzie także popędził masztelarz, a pan Józef poskoczył podjąć biednego Bajarda ¹⁾ i obaczyć, czy nie doznał jakiego przypadku. Zszedł i prezes, a panna Kamilla i panna Beldeau zostały na ganku. Podniesiony przez pana Józefa, biedny pan Henryk, powstał z zabłoconą twarzą, zawstydzony, znękany, przestraszony, w pół żywy. Gdy go prowadzili ku domowi, zaśmiała się naprzód panna Beldeau, potem pannę Kamillę pochwycił jakiś śmiech szmatyczny, że go pokonać nie mogła; potem zakomun kował się panu Józefowi; prezes także widząc, że nie ma kalectwa, śmiać się zaczął, a nareszcie i Maciej parsknął głośno na koźle i brał się za boki. Przyszedł wreszcie do siebie pan Henryk, spojrzął po wszystkich, a na bohatera naszego utkwiał wzrok, pełny gniewu i nienawiści. Potem dobył chustkę; obtarł się jak mógł; na zapytanie czy go co nie boli, odpowiedział, że nic, że zdrow zupełnie i, gdy prezes prosił go, aby wszedł do domu, umył

¹⁾ Bayard Piotr de Terrail: „rycerz bez trwogi i skazy“ w młodości paź Karola I, księcia Sabaudii i króla Karola VIII, zasłynął w wielu bitwach, w szczególności w r. 1512 w bitwie pod Rawenną, i w r. 1521, broniąc fortu francuskiego Mézières przed Niemcami.

twarz i został z nimi na herbacie, dodając, że go każe odesłać powozem, pan Henryk, rzuciwszy okiem na duszącą się od śmiechu pannę Kamillę i na poglądnącego nań z politowaniem pana Józefa, rzekł:

— Panie prezesie dobrodzieju, jeżeli chcesz mi łaskę zrobić, to pozwól, abym tym samym powozem, który to stoi gotowy odjechał do Czaplíniec. Tam moje konie i ludzie.

— Z największą ochotą, jeżeli ci to zrobi przyjemność; ale wolałbym, żebyś został z nami.

— O! nie, nie, nie mogę! — odpowiedział prawie z rozpaczą; ścisnął rękę prezesa, na pannę Kamillę nawet nie spojrział, i wskoczywszy do karolki, krzyknął na Macieja: ruszaj! Nawpół z śmiechem zawołał Maciej na konie: houl i pojechał. Panna Kamilla przestała śmiać się i żal się jej zrobiło biednego młodzieńca, którego okropne cierpienie łatwo sobie wyobrazić mogła, a prezes, ruszając ramionami, rzekł:

— Jezus Maria! nie chciałbym być na miejscu tego biedaka. Otóż to zaślepiona i nierozsądna matka! zgubiła go zupełnie. — Gdy masztelarz podprowadził złapanego i drżącego jeszcze konia, zapytał go prezes, jak się to stało?

— At, jasnie wielmożny panie! z kim innym nie byłoby nic. Ale nasz panicz to, Panie odpuść, i źle jeździ i wszystkiego się boi. Już tam na polu, byle wrona porwała się z drogi, a koń nastawił uszy i parsknął, to panicz go zaraz zrywał munsztukiem, żeby się na cuglach utrzymać, i tak go zbujął; bo koń miękki w pysku i byle go szarpnąć, to się wspina. Gdyśmy tu wjechali w ulicę, diabli nadali z rowu świnię. Cóż ją tam nastraszyło, bo już jak na nieszczęście pójdzie, to nie wiedzieć skąd co się weźmie. Otóż głupia świnią wyskoczyła raptem z rowu i harkocząc leciała jak opętana, prosto koniowi pod nogi. Koń się rzucił, panicz się zląkł i ściągnął go, koń wspiał się trochę, panicz wypuścił nogi ze strzemion i uderzył konia w brzuch ostrogami. Ja mówiłem: na tysiąc diabłów te ostrogi! ale on widać chciał się tu pochwalić; taj jak go zakłuł dobrze, mój koń pomknął się jak oparzony, panicz puścił lice, i chwycił się za grzywę. Wtenczas koń dawaj lecieć co tchu, strzemiona

dawaj bić go po bokach i po szyi, ja dawaj gnać za nim, ale nic nie pomogło. Ot, jak się stało, jasnie wielmożny panie.

Mimo żalu, jaki obudził stan pana Henryka, wszyscy znowu śmiać się zaczęli, a masztelarz poprowadził konia. Wrócili wszyscy do pokoju, rozmawiając o przygodzie młodego człowieka i robiąc różne uwagi. Pan Józef, widząc, że już z dzisiejszego r e n d e - v o u s nic nie będzie, pożegnał raz jeszcze prezesa, a gdy z uszanowaniem całował rękę panny Kamilli, szepnęła mu panienka nieznacznie: — Jutro o jedenastej.

X

Gdy pan Józef, miotany najrozmaitszymi uczuciami, dojeżdżał do domu, postrzegł niedaleko od bramy wąsatego szlachcica, wojskowej postawy, z czapką na bakier, idącego ku niemu. Był to pan Siodłowski zły i zmartwiony przygodą swego wychowanka, który widać nie siedział na koniu, jak dratwą przyszyty. Miał nasz Mazur minę zagniewaną i z jakimś ruchami niecierpliwości pokręcał wąsa. Gdy się zbliżyli do siebie o kilka kroków, krzyknął pan Siodłowski na Michasia: — Stój!

— I cóż tam? — zapytał serio pan Józef.

— Czy pan jesteś pan Józef Starzycki?

— Ja; o cóż idzie? kto pan jesteś?

— Jestem, mosanie — odpowiedział, pokręcając wąsa — były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców, mosanie, a teraz pisarz prowentowy jaśnie wielmożnej Podziemskiej.

— A — rzekł pan Józef, uśmiechając się — czy nie pan to uczyłeś i pana Henryka konno jeździć!

— Zjadłby mi sto diabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby tak jeździł, jak pan Henryk jeździ. To miemieckie wychowanie wszystkiemu winno, a nie ja. I w Paryżu, jak to, mosanie, mówią, nie robią z owsa ryżu. Ale to do rzeczy nie należy.

— A w czymże rzecz? — zapytał pan Józef.

— Oto w tym, mosanie, żebyś pan przeczytał tę karteczkę. Wziął pan Józef i czytał te słowa, drżącą pisane ręką: „Wiem co się święci. Widzę, gdzie pan zmierzasz i po co sięgasz. Po-

strzegłem od pierwszej chwili, że pan jesteś przyczyną tego sposobu, jakim mnie traktują. Za te wszystkie upokorzenia, których doznałem, pan mi zapłacisz. Jeśli pan równie śmiały na płacu jak w sięganiu po milionową pannę, to się rozmówisz z oddawcą tego biletu o broń, czas i miejsce. Henryk Podziemski”.

Ledwie mógł oczom swoim wierzyć pan Józef przeczytawszy te słowa. Uśmiechnął się, ruszył ramionami i wysiadłszy z bryczki, której kazał jechać do stajni, odprowadził na bok pana Siodłowskiego i rzekł:

— Czy pan wiesz, o co idzie?

— A jużci, mosanie, wiem.

— I to serio?

— A jużci nie żartem. Pan Henryk całą drogę płakał ze złości. Mówi, że pan jesteś przyczyną jego wstydu i że masz się także do onej panienki. Zgrzytał zębami i wołał biedak, że musi pana zastrzelić, lub sobie w łeb palnie.

— Pojmuję ja wstyd pana Henryka, ale czyż ja wypędziłem z rowu tę świnię, co nastraszyła jego konia?

— Tego ja, mosanie, nie wiem i to do mnie nie należy. Proszę o odpowiedź.

— Ale umie on strzelać, ten biedny panicz?

— Tak sobie; ja go uczyłem i strzela dobrze. Zjadłby mi sto diabłów, który z moich wiarusów, żeby tak strzelał jak on. Ale z tym wszystkim strzela nieźle.

— Bo ja biję w asa — dodał spokojnie pan Józef.

— Chwali się — pomyślał Mazur i odpowiedział: — To do mnie nie należy. Przy tym w pojedynku to niepotrzebne. Jego moc, dzięki Bogu, nie as, i o sześć kroków trafi pana, mospanie, pan Henryk.

— Cóż mam robić? — odpowiedział pan Józef. — Rad nie rad muszę przyjąć tę zabawną trochę propozycję. Wszakże pod pewnymi warunkami.

— Obaczmy, mosanie, co to za warunki — rzekł, pokręcając wąsa, pan Siodłowski.

— Pierwszy: sekret, bo pan Henryk, który lepiej zna Fran-

cię, niż swój kraj, może nie wie, że to pachnie Sybirem, a przynajmniej fortecą.

— Juźci, to się rozumie, bo i mnie by się dostało.

— Po wtóre: że pan Henryk za trzy dni, to jest w sobotę o godzinie szóstej z rana, wyjedzie z psami i strzelbą, niby na polowanie i zatrzyma się pod laskiem mego szwagra, o ćwierć mili od karczmy Niesiołowskiej. Czy pan znasz to miejsce? Bo bym nie chciał za nic, aby się dowiedzieli przed czasem moi rodzice, a szczególnie moja babka, która by to mogła przyplącić życiem.

— Rozumiem to, mosanie, i ja jestem ojcem i dlatego czekałem na pana tu.

— Dziękuję panu za to serdecznie — rzekł pan Józef, ściskając rękę starego żołnierza, który z coraz większym zajęciem patrzył na pękatego młodzieńca, którego każde słowo, każdy ruch był męski i energiczny.

— Po trzecie: że każdy z nas będzie miał z sobą przyjacielską bardzo karteczkę, zapraszającą przeciwnika na słomki do lasku mego szwagra. Te karteczki wymienimy na placu, aby na wypadek śmierci świadczyły, żeśmy nie byli wrogami.

— To rozumnie, mosanie, na to zgoda.

— Po czwarte: że będziemy się strzelać, idąc od pierwszej mety do drugiej, jak teraz zwyczaj.

— Wiem, wiem, mosanie; widziałem takich zuchów, co trzy razy dochodzili do mety o sześć kroków, mosanie, i żaden nie strzelił. A potem obaj wystrzelili na wiatr i uściskali się. Pamiętam jak dziś, spiliśmy się wtenczas należycie.

— Otóż i my tak będziemy się strzelać. Czy zgoda?

— Zgoda, tylko jak na pana patrzę, to mi żal, mosanie, tego biednego pana Henryka.

— Któż mu winien, że głupi?

— Ej! pluć pan na to, mosanie. To wszystko mamun'a winna i niemieckie wychowanie. Ale na mnie się pan, mosanie, nie gniewasz, — rzekł, patrząc mu młoto w oczy i wyciągając rękę.

— A za cóż? pan robisz swoją powinność — odpowiedział pan Józef i ścisnął jego rękę.

— Więc w sobotę, o godzinie szóstej rano o ćwierć mil od karczmy Niesiołowskiej?

Pan Józef dał znak potwierdzający i rozeszli się. Gdy wszedł do pokoju, udając spokojność, postrzegł, że matka układała jego bieliznę. Zbliżywszy się do stołu, rzucił okiem na rejestr i przekonał się, że wszystkiego znacznie przybyło. Wziął więc jej rękę i tuląc z miłością do ust i do serca, zawołał:

— Samaś to szyła, mamó, a twoje oczy? — Podniosła na niego oczy pełne łez, objęła go za głowę, i przytulając do piersi rzekła:

— Anusia już ma wszystko. Teraz na ciebie kolej. Ale nie przeszkadzaj mi i idź do ojca, on na ciebie czeka.

Spojrzał na nią, jakby chciał wybadać, dlaczego to powiedziała; ale widząc, że była zajęta i że łyzy kapały na bieliznę cienką, białą i starannie wyprasowaną, poszedł do pokoju ojca.

Ojciec także był zatrudniony. Twarz jego była smutna, poważna, ale nie surowa. Gdy się zbliżył, obaczył na stole długi szereg książek, których rejestr ojciec kończył.

Stał długo syn w milczeniu i nie śmiał przerywać. Gdy robota była skończona, powstał pan Starzycki i patrząc w oczy synowi, zapytał:

— Pożegnałeś się, mój synu? — Zaczerwienił się młody człowiek i spuszczając oczy odpowiedział, że się pożegnał.

— Przygotowałem ci lekarstwo — dodał ojciec, ukazując na książki. — Najlepsze i najciekawsze dzieła z historii, moralności i wojażów, jakie mogłem znaleźć w rejestrze księgarni, która została po Glücksbergu w Krzemieńcu Wiem, że gospodarstwa nie zaniedbasz, ale zawsze ci zostanie wiele czasu i w tych to chwilach samotnych będziesz najwięcej potrzebował tego zbawiennego środka. To ci pomoże do otrzymania zwycięstwa nad sobą, które otrzymać musisz i powinieś. Jeżeli zaś tego będzie mało, to to będzie jeszcze skuteczniejszym! — Powiedziawszy te słowa, wziął oprawiony niewielki sekstern¹⁾ i podał go synowi. Otworzył go pan Józef, drząc cały, i obaczył własną ręką ojca wypisane porządkiem najpiękniejsze, najpro-

1) *Sekstern*: zeszyt do pisania, kajet.

stsze, jasne jak dzień, święte jak niebo, prawidła z ewangelii. — Upadł do nóg ojcu rozrzewniony młodzieniec i mocno płacząc, ścisnął je i całował.

— Wstań — rzekł po chwili sam wzruszony ojciec, chociaż po sobie tego nie pokazywał. — Postrzegłem niedawno, co się w twoim sercu dzieje. Nie dziwię się, żeś się dał ująć tylu powabom, takim rozumem i dobrocią, niezupełnie się nawet gniewam, że cię przypadek naraził na taką walkę. W niej wypróbujesz męskość swego serca i przyuczysz się pokonywać szalone chęci i przedsięwzięcia, przechodzące siły; bo życie, mój synu, jest ciągłą walką, a pokój jest tylko owocem zwycięstwa. Wywalczysz je, spodziewam się, dla siebie i dla mnie; tego żądam i to ci najuroczyściej rozkazuję.

Gdy to powiedział, ścisnął rękę młodzieńca, który stał bez ruchu i wyszedł z pokoju. Łatwo sobie wyobrazić stan naszego bohatera. Czuł on całą prawdę i świętość słów ojcowskich, a przecież nie mógł wykonać jego woli. Zaraz nazajutrz miał mu być nieposłusznym i znowu w sobotę miał może żałobą napełnić serce rodziców. Ale mógłże nie pożegnać się z kochanką, nie pomówić z nią może raz ostatni? Mógłże nie stanąć, kiedy był wyzywany? Mógłże okryć się wstydem w oczach własnych, zasłużyć na pogardę kobiety, której energię znał i dać triumfować nad sobą nieprzyjacielowi takiemu, jak pan Henryk? Wszystkie te myśli rozrywały jego głowę i pokój uciekł od jego serca.

Gdy przeszła wreszcie noc długa i bezsenna, wziął strzelbę na plecy, zawołał Amora i poszedł. Około godziny dziesiątej stanął na tym miejscu, gdzie po raz pierwszy obaczył pannę Kamillę. Droga już wówczas była sucha, brzegi jej zieleńły się młodą murawą, zboża ozime zaczęły zielonym puchem okrywać pola, laski na wzgórzach przywdziewały wiosenną odzież, skowronki, bujając w powietrzu, głosiły wiosnę, miłość i nadzieję. Ale w sercu młodzieńca jej nie było. On czekał ostatniego widzenia się z aniołem swojego życia i miał się żegnać — na zawsze.

Postrzegłszy wreszcie powóz z daleka, szedł schyliwszy głowę, i niby nie uważając, aby okazać przed ludźmi przypadkowe spotkanie. Gdy się z nim zrównał, skłonił się pannie Kamilli i pannie Beldeau i przystąpił do powozu, który się za trzymał.

— Pan poluje? — rzekła panna Kamilla.

— Wyszedłem trochę przejść się, tak piękny dzień — odpowiedział.

— I my byśmy dobrze zrobiły, żebyśmy się trochę przeszły nieprawdaż, Belciu?

Zgodziła się guwernantka z uśmiechem, otworzono powóz i panie wysiadły. Powitawszy się z Amorem, panna Kamilla rzekła do Ignacego:

— Jedźcie wy sobie naprzód, a my tu pochodzimy. — Poszedł powóz naprzód, a gdy się cokolwiek oddalił, panna Kamilla dodała:

— Daj mi pan rękę. — Podał jej znękany młodzieniec, tu łąc nieznacznie dłoń jej do piersi. Ona zwiesiła się na jego ramieniu i tak szli powoli, mówiąc o pierwszej przygodzie, która była przyczyną ich znajomości. Nieznacznie panna Beldeau zaczęła się od nich oddalać, i znalazłszy jeden kwiatek, wyłaząc z ziemi, zaczęła szukać z zapalem i więcej, tak że młodzi ludzie zostali prawie sami, owiani wonnym powietrzem wiosny na otwartym polu, pod czystym niebem, które serca ich widziało. Pierwsza to była chwila, gdzie mogli wygadać się swobodnie. Wszakże z początku milczeli, bo wszystkie słowa wydawały się im za ciasne i nie mieściły w sobie nieskończoności ich uczucia. Nareszcie panna Kamilla wzięła jego rękę, położyła na sercu i wsparłszy głowę na jego ramieniu, rzekła z westchnieniem.

— O, mój Józiu! mój Józiu! jakżebym była szczęśliwa, jakżebym była szczęśliwa, gdybym tak mogła przejść życie obok ciebie!

Objął ją rozmarzony młodzieniec, przycisnął nieznacznie i potem zaczęła się rozmowa długa, słodka, rozkoszna i bolesna razem, bo pan Józef wiedział dobrze, a panna Kamilla przeczuwała, że to ostatnia.

Niech mi piękne czytelniczki moje podziękują, że im tej rozmowy nie powtarzam. Słowa moje zepsułyby tę złotą tkan-
kę, którą ich młodsza od mojej imaginacja, wymowniejsze, bo
może w tejsze chwili bijące serce, na tym tle, którem im pod-
dał, wyhaftuje.

Wkrótce pan Józef został sam jeden na drodze. Brzegi jej
zeleniły się, ozime zboża okrywały pola zielonym puchem,
wzgórza przywdziewały się odzieżą wiosny, skowronki żywo
i rokoshie śpiewały i coraz wyżej podnosiły się pod niebo;
a on stał wsparty na strzelbie i słyszał tylko hurkot odjeżdża-
jącego powozu chociaż już dawno przeminął i widział tylko ku-
rzawę wzbiją przez jego koła, chociaż już dawno wiatr ją roz-
wiał i rozniósł po polu.

W piątek rano pożegnał się pan Józef i umocniony błogo-
sławieństwem rodziców i babki pojechał do siostry dla poże-
gnania się z nią i z dziadziem, który właśnie gościł u wnuczki.
Rozdzierało się serce biednego młodzieńca, gdy ostatni raz
spojrzał na dach rodzicielski, który pokrywał tyle rozumu, ty-
le dobroci, tyle miłości, pod którym miał tyle przykładów
umiarkowania i męstwa, gdzie odbierał żywe nauki pobożno-
ści, porządku i zgody. Chociaż wiedział, że kula pana Henryka
niewprawnego i bojaźliwego, może go ominąć, ale mógłże prze-
widzieć co zrobi przypadek? jak los, a może i sama nieumie-
jętność, tak niebezpieczna w pojedynkach, pokieruje ręką prze-
ciwnika? Nie żałował on wprowadzie życia, bo nie miał nadziei;
ale rodzice w żałobie, ale babka na katafalku, ale kochanka
w rozpacz, stawały mu ciągle przed myślą. Gdy przed wie-
czorem wszedł do pokoju siostry, zastał ją siedzącą w dużym
krzesle i uśmiechającą się boleśnie, bo cierpiała biedna w swo-
m stanie, do dziadzi, który stał przed nią i, drażniąc ją, śpiewał:

A ów wąż nieszczęsny stał jej na zdradzie,

Urwał jabłko z drzewa zakazanego

I podał Ewie.

Ewa skosztowała,

Ewa skosztowała

Dziwnym mu się wydał ten kontrast pokoju i wesołości starca z jego własnym smutkiem i ciężką obawą. Szczęśliwy dziadzio! pomyślał w duchu. Już przeżył wszystko, już dla siebie niczego się nie spodziewa, niczego się nie lęka. Cieszy się tylko przez nas, ale i przez nas także zasmucić się może. Ta ostatnia myśl znowu nasunęła chmurę na jego czoło, którą był widok dobrego humoru starca cokolwiek rozpuścił.

Postrzegł to dziadzio i mimo wielkiego wysilenia ze strony pana Józefa domyślił się, że coś nadzwyczajnego ciąży na jego sercu. Widział to i pan Ignacy, widziała i siostra; ale ci ostatni, znając sekret serdeczny brata, udawali, że nic nie postrzegają.

Jeszcze było dość widno, gdy obaj młodzi wymknęli się do ogródka i tam pan Józef opowiedział bratu wszystko i prosił go, aby mu jako świadek towarzyszył. Zmartwił się serdecznie pan Ignacy; nie było wszakże co robić, trzeba się było przygotować. Gdy tak przechadzali się i rozmawiali o jutrzejszej ekspedycji, nadszedł dziadzio, który w niespokojności i domyślając się czegoś szpiegował ich i miał na oku. Biorąc więc za rękę pana Józefa, rzekł:

— A, złapałem waści na uczynku, macie sekret! coś złego się stało, o czym nie wiem. Chcecie, abym dręczył się niepewnością? W ten moment czarno na białym! Chcę wiedzieć!

— Kochany dziaduniu — odezwał się pan Ignacy — już ja to i sam myślałem przez wzgląd na Anulkę, że nie ma potrzeby tego przed dziaduniem ukrywać. Józio ma jutro pojedynek.

— Do stu diabłów, to nic do rzeczy! — rzekł staruszek, poprawiając swoją czapkę. — I z kimże to, mości burdo?

— Z panem Henrykiem Podziemskim — odpowiedział Ignacy.

— Z tym migdalikiem? to musiałeś waść sam wyzwąć — rzekł dziadzio patrząc surowo na wnuka.

— Nie, drogi dziadziu, — odpowiedział pan Józef. — Tego bym nigdy nie zrobił, chyba w ostatniej konieczności...

— Więc musiałeś go skrzywdzić, chłopczel! — dodał starzec groźnie — a to jeszcze gorzej, bo on słabszy od ciebie.

— I to nie, drogi dziadziu! — odpowiedział młody człowiek spuszcżając oczy.

— A cóż u diabła za przyczyna? — zapytał starzec.

Tu pan Józef opowiedział całe zdarzenie. Słuchał stary z uwagą, a potem, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka rzekł:

— Słuchaj no waść, panie wnuku! jam już stary i nie pojedykowałem się w życiu, tylko raz, i to wtenczas, gdym jeszcze był w domu pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej. Poszło nam niby o cesarza chińskiego; a wiesz waść jaka była prawdziwa przyczyna?

— Nie wiem, kochany dziadziu.

— Spódniczka, kochanku, spódniczka! — dodał staruszek, nasuwając na ucho czapeczkę. — Czy i tu to samo? czy on ma waści za swego rywala?

— Podobno, kochany dziaduniu — rzekł, uśmiechając się pan Ignacy.

— I waść tę panienkę kochasz? — Pan Józef nic nie odpowiedział, ale mimowolnie westchnął, a dziadzio dodał: — Ej, bratku, wzdychasz? to widzę, żeś waść głupiuteńki. Tu wzdychać nie ma do czego, ale powiedzieć sobie stale i statecznie: to panna nie dla mnie! i obejrzeć się za inną, poczciwą, dobrą dziewczyną i z błogosławieństwem rodziców stanąć na kobiercu. — Pan Józef uśmiechnął się na to boleśnie, a dziadzio mówił dalej: ale nim to będzie, kiedyś wyzwany, powinieneś stanąć. Kiedyż spotkanie?

— Jutro o szóstej z rana.

— Gdzie?

— W moim lasku od karczmy Niesiołowskiej.

— Kto twój sekundant?

— Ja, kochany dziadziu — rzekł pan Ignacy.

— Obejdzie się. Wasan masz żonę i wkrótce będziesz miał dziecko. Ta sprawka pachnie kozą, i długą; a tymczasem Anul-

ka mogłaby to życiem przyplacić. Ja będę twoim sekundantem — rzekł stary, prostując się i poprawiając czapeczkę.

— O! mój drogi dziadziu! czyżbyśmy na to pozwolili — dodał pan Józef, całując rękę starca, — żebyś ty się narażał?

— Cóżto u diabła! myślicie smarkacze, że ja was będę prosił o pozwolenie? — krzyknął, zapalając się. — Tak chcę i basta. — Umilkli obaj, a staruszek, zreflektowawszy się, rzekł po chwili łagodnie: — A tam w domu nic o tym nie wiedzą?

— Nic, drogi dziadziu.

— To dobrze. Zapewne na pistolety? bo to wy mazgaje szabli nie lubicie i krzyżowej sztuki ani belmes¹⁾. A przecież to bywało na sejmikach: jeden zuch stanąwszy pod murem szczęściu lub ośmiu adwersarzy²⁾ tego mógł pokiereszować. A masz dobre pistolety?

— Wierne, kochany dziadziu! — odpowiedział pan Józef.

— Nabijże je waść i przynieś tu; tylko, żeby Anulka nie widziała, pro forma weź waść strzelbę.

Poszedł młody człowiek, a dziadzio tymczasem przykazał panu Ignacemu, aby żonie nic nie wspominał, aby udawał jak największą spokojność, a jak z rana zapyta, żeby powiedział, że pojechali do lasu na słomki i prosili o dobrą kawę, jak wróca.

Tymczasem pan Józef przyniósł pistolety. Odeszli cokolwiek dalej, a dziadzio, dobywszy nóż ogrodniczy, na pniu sporej lipy wykroił korę na wielkość dłoni, wziął pistolet, odmierzył dziesięć kroków i nasunąwszy czapeczkę i wzięwszy się pod boki lewą ręką, wymierzył i strzelił. Kula uderzyła w drzewo na dwa palce od oznaczonego celu.

— Hml — rzekł dziadzio, trochę niekontent — nie tak bije, jak trzeba. Spróbuj no waść sam z drugiego. Pan Józef strzelił, i w samym środku celu pokazał się punkt czarny i okrągły.

— Dobrze — rzekł dziadzio — będzie waść strzelał z tego. Ten lepiej bije.

1) *Belmes*: ani trochę, ani w żąb.

2) *Adwersarz*: przeciwnik.

Uśmiechnął się pan Józef, bo wiedział doskonale, że oba pistolety równie wierne, ale oko dziadziowe już siedemdziesiąt osiem zim widziało. Gdy powrócili do pokoju, durzyli Anulkę, że strzelali do jastrzębia, który groził jej kurom, rozmawiali prawie wesoło, a po dziesiątej wszystko już było spokojnie w całym domu. Pan Józef tylko długo chodził po pokoju i wzdychał, a dziadzio chodził także do późna i modlił się.

Nazajutrz o godzinie szóstej, jak było umówione, z jednej strony zjawił się pod laskiem dziadzio z panem Józefem i Amorem, z drugiej pan Henryk z Siodłowskim i psem. Wszyscy byli uzbrojeni w dubeltówki i opatrzeni myśliwskimi torbami. Gdy powysiadali z powozów, zbliżyli się do siebie z uśmiechem i w przytomności ludzi podając sobie ręce, nieznacznie zamienili żądane przez pana Józefa bileciki. W liście pana Henryka były te słowa: „Kochany panie Józefie! wiem, że przez lasek twego szwagra koło karczmy Niesiołowskiej, przeciąga chmura słonek. Choćbyście mi mieli zagrabić strzelbę, przyjadę w sobotę z Siodłowskim. Jakbym się cieszył, żebyś i ty przyjechał!” — Bilet pana Józefa był następującej treści: — „Drogi panie Henryku! jeżeli chcesz strzelać do słonek, jak do wróbli, to przyjeżdżaj w sobotę do lasku mego szwagra, o ćwierć mili na prawo od karczmy Niesiołowskiej. Będę cię tam czekał i bez ciebie nie strzelę ani razu. A przywieź z sobą starego Mazura, Siodłowskiego, on podobno lepiej się popisie od nas obydwóch”. — Potem każdy schował swój bilet do kieszeni, wzięli się pod ręce i poszli, kazawszy ludziom czekać na siebie w tym samym miejscu. Ale jak tylko byli w lesie, pan Henryk wyrwał rękę spod ręki pana Józefa i poszedł naprzód. Twarz jego była blada, wargi zaciśnięte, oczy pałały jakimś nienaturalnym ogniem, a całe ciało drżało, jak w febrze. Pan Siodłowski przypatrywał się dziadziowi z uszanowaniem i pokręcając wężą, wyprostowawszy się po żołniersku, rzekł:

— A to jegomość dobrodziej, mosanie, jesteś sekundantem tego pana?

— Ja — odpowiedział stary — chcę obaczyć, jak się też mój wnuk popisie i czym go dobrze wyuczył. Jajko wprawdzie

w lot rozbija chłopak, ale na placu, to co innego. Pan zapewne dawny żołnierz?

— Były instruktor pierwszego szwadronu pierwszego pułku strzelców — odpowiedział, podnosząc machinalnie rękę do czapki.

— Czy tam w reglamente 1) wasanów — rzekł dziadzio — nie było tego, że skłócić się za głupstwo i strzelać się za głupstwo, jest to wykradać życie, które należy do kraju i do monarchy?

— Oho! — zawołał pan Siodłowski — zjadłby mi sto diabłów, mosanie, który z moich wiarusów, gdyby co podobnego zrobił.

— A czemużes pan — mówił dziadzio — nie użył i tu powagi starego wojaka i człowieka z doświadczeniem? Wszak oni się będą strzelać nie wiedzieć o co.

— Nie mogłem, proszę jegomości. Tak się chłopak zawiązał mosanie, jakby go ciągnęło na zgubę.

— Ha! to nie ma o czym gadać — rzekł dziadzio, i odtąd szli w milczeniu. Gdy doszli do małego wyrębu, gdzie było miejsce czyste i z drzew obnażone, pan Henryk obejrzał się wkoło i rzekł: — Tu.

— A cóż, mosanie, dobrze i tu — odpowiedział pan Siodłowski. Pozrzucali więc z siebie torby, z których dobyli pistolety, pokładli strzelby i pan Siodłowski zaczął odmierzać metę

— Druga meta o sześć kroków — rzekł pan Henryk, zaciśniętą wargi.

— A toż na co? — zawołał dziadzio. — Kto umie strzelać, trafi i o dziesięć.

— Pozwól, drogi dziadziu! niech będzie o sześć. Idziemy od pierwszej mety i każdy ma prawo strzelić, gdzie zechce.

— Niech i tak będzie — odpowiedział stary, ruszając ramionami. — Wolałbym jednak szablę i krzyżową sztukę. — Oznaczył pan Siodłowski drugą metę, odmierzył od niej w jedną i drugą stronę po piętnaście kroków, na każdym z tych

1) *Reglament*: regulamin, przepisy.

punktów położył torbę na znak, i kazał przeciwnikom na nich stanąć. Gdy obaj stanęli naprzeciw siebie, każdy z bronią w ręku, dziadzio przystąpił do wnuka i podał mu rękę. Pan Józef ją pocałował i rzekł cicho:

— Dziadziu drogi! powiedz mamie i babuni, że inaczej być nie mogło. Pożegnaj ojca. A jeżeli zginę, nie obwiniajcie tamtej; to anioł, dziadziu, i ona temu nie winna. — To powiedziawszy zwrócił się z zimną krwią do pana Siodłowskiego i dodał — Licz pan do trzech, panie Siodłowski.

Odstąpili obaj sekundanci o kilka kroków na bok i pan Siodłowski zaczął komenderującym głosem:

— Baczość! raz, dwa, trzy! — Po tym ostatnim słowie ruszyli obaj przeciwnicy z miejsca z wymierzoną bronią. Pan Józef szedł zwolna, zimno i prawie z uśmiechem; pan Henryk prędeż z twarzą coraz bledszą, z zaciśniętymi wargami, z oczyma coraz mocniej iskrzącymi. Ale im bliżej przystępował, tym mniej pewnym stawał się jego krok, ręka drżała widocznie, oczy zaczynały się przymykać. Postrzegł to pan Siodłowski i zawołał:

— Śmielej! nie wyciągać tak ręki! Wyżej mosanie! Wytrzymać mosanie! — Ale pan Henryk go nie słyszał. Ledwie uszedł kroków siedem lub osiem, gdy mimowolnie może pociągnął za cyngiel. Huk się rozległ, i dym okrył przedział między przeciwnikami. Wówczas dziadzio zwrócił oczy na wnuka, ujrzał go na nogach, ale lewa ręka jego obwisła i na twarzy wypiętnował się ból gwałtowny.

Trwało to kilka sekund, po których znowu pan Józef szedł dalej i wołał na przeciwnika: — Proszę pana do mety!

Z zamkniętymi oczami, z rękami zgiętymi i drgającymi jak w konwulsjach, szedł jednak pan Henryk; dziadzio, widząc stan okropny biednego młodzieńca, zawołał:

— Józiu! pod błogosławieństwem zakazuję ci strzelać!

— Nie będę, drogi dziadziu! — rzekł wnuk, obracając się do starca.

Tymczasem pan Henryk postąpił jeszcze parę kroków, jęknął głęboko, pochwiał się i upadł bez zmysłów. Wysilenie tak

gwałtowne, odwaga ta nienaturalna i gorączkowa, dzieło miłości własnej, upokorzonej, odebrały mu siły i przytomność.

Przyskoczył do niego pan Siodłowski, i widząc, że tylko zemdlał, pokiwał głową, ruszył ramionami i rzekł:

— Biedne chłopczyśko! mosanie, zemdlał, jak baba. Otóż to niemieckie wychowanie! Zjadłby mi sto diabłów który z wiarusów moich, gdyby tylko mrugnął okiem, lub pobladł, kiedym dla przyzwyczajenia, strzelał mu przed samym nosem.

Gdy pan Siodłowski tak rozprawiał i trzeźwił pana Henryka jak mógł dziadzio tymczasem opatrywał ranę pana Józefa. Kula uderzyła go w lewe ramię, przedarła dość głęboko mięso i uwięzła pod samą skórą, tak, że gdy dziadzio rękaw i koszulę rozerzwał, prawie sama wypadła z rany. Na wszelki przypadek miał dziadzio w torbie butelkę wody, ręcznik, bandażę i gąbkę, obmył więc krew i wzięwszy kulę w palce, rzekł uradowany:

— No, chwala Bogu! jest na wierzchu. Masz waść lekcję która cię niewiele będzie kosztowała. Schowaj sobie tę kulę na pamiątkę i miej tę naukę, że ubogi szlachcic powinien brać się do równej sobie panny, aby miał pocziwą żonę, a nie do milionowych spódniczek. Boli cię, durniu, czy nie?

— Nie, nie, drogi dziadziu! tyś chirurg doskonały!

— Oho! pamiętam raz u pani Kurdwanowskiej, starościny Baranowskiej... — Wtem pan Józef skrzywił się mocno, poczuvszy ból gwałtowny, a dziadzio mówił dalej: — A widzisz kpie, że cię boli... ale poczekaj.

Wtenczas dobył z torby chleba, wyjął pajęczynę, którą się opatrzył, zmieszał to razem, zmiął i ranę zapakował. Potem obłożył z wierzchu hubką, obwiązał bandażem i rzekł: — No, rusz waść ręką, tylko zwolna. — Ruszył pan Józef ramieniem, ucałował rękę starca, który go uściskał i dodał:

— Ale minę miałeś dobrą. Nie taką jak ten biedak. No! terazże kłamcie, jak na mękach, bo to, moi panowie, pachnę tęgą kożą.

— A jużci, proszę jegomości, trzeba łąać, jak można, mosanie — odezwał się pan Siodłowski, który nareszcie przypro-wadził do przytomności pana Henryka.

Powstał biedny młodzieniec, blady jak z grobu, tarł długą ręką czoło, jakby sobie co przypominał, a potem, spojrzawszy wkoło, westchnął głęboko i poszedł.

Zabrał prędko pan Siodłowski swoje i jego oręże, ścisnął rękę dziadzia i pana Józefa i poszedł także, mrużąc: — otóż to niemieckie wychowanie, zjadłby mi sto diabłów, mosanie który z moich... itd.

XI

Gdy pan Henryk wszedł do pokoju matki, zastał ją siedzącą na kanapie i przerzucającą ciekawie książki żółte, zielonkawe i niebieskie, którymi była obłożona i których świeży transport odebrała z Odessy. Jakkolwiek była zajęta, przestraszyła się jednak biedna kobieta, obaczywszy twarz syna. Wzrok jego był zupełnie zmieniony, włosy w nieporządku, czoło i lica nie okazywały najmniejszego śladu krwi, a w całej postaci i w ruchach okazywała się jakaś głęboka boleść.

— Co tobie, moje dziecko? — zawołała matka. — Odwrócił się, nic nie odpowiedział i zaczął chodzić po pokoju. — Henryczku! na miłość Boską! przestraszasz mnie. Co ci jest?

— To, moja mamó — odpowiedział przez zęby — że przyszedłem się z tobą pożegnać.

— Pożegnać? Wielki Boże! dokądże chcesz jechać?

— Chcę stąd uciec — odpowiedział — i ucieknę, to wiem. ale dokąd, tego jeszcze nie wiem.

Odrzuciła od siebie pani Włodzimierzowa Balzaka, Soulié ¹⁾ zsunął się z jej kolan, zerwała się przerażona i przystępując do syna, zawołała:

— Henryczku, czy chcesz żebym umarła?

— Nie, droga mamó, chcę, abyś mnie rozsądniej kochała, niż dotąd. Powiadam ci, że tu zostać nie mogę i ucieknę, gdzie mnie oczy poniosą.

— Dlaczegoż to, na miłość Boską?

¹⁾ Książki tych autorów.

— Dlatego, że tu ócz nie śmiem pokazać, zem się tu okrył wstydem, że tu każdy ma prawo gardzić mną, żartować sobie ze mnie, a gdy się rozgniewam, dać mi szcztuka w nos, abym upadł i zemdłał.

To powiedziawszy, rzucił się na krzesło, zakrył sobie twarz i zaczął mocno płakać.

— O, ja nieszczęśliwa! — krzyknęła matka, załamując ręce.

— A ja! — zawołał młody człowiek, powstawszy. — Jam stokroć nieszczęśliwszy, biedna matko! bom nieszczęśliwy przez ciebie.

— Przeze mnie? — zawołała, patrząc w osłupieniu na syna.

— Bóg mnie stworzył mężczyzną — rzekł z mocą — a ty, matko, zrobiłaś mnie gorzej niż kobietą, gorzej niż dzieckiem, zrobiłaś mnie lalką nikczemną, głupią, trwożliwą, ani sobie, ani ludz'om nieużyteczną. Gdy był małym chłopcem, gdy mnie natura, może nawet energiczna, kto to wie? ciągnęła na świeże powietrze, na deszcz i słońce, w pole i do lasu — nie puszczałaś mnie, nie mogłem pobiegać, żebym nie upadł, nie mogłem się wdrapać na drzewo, zbliżyć do rzeki, wsiąść nawet na drewnianego konia, żeby mi się co złego nie stało. Do dziesięciu lat nie miałem noża w ręku, jak gdybym był przeznaczony na automata ¹⁾, któremu by wszystko podano, wszystko za niego zrobiono, a on żeby leżał w pudełku, obwinięty w bawełnę jak szklane cacko, które by mu za każdym dotknięciem mogło się rozbić w kawałki. O! był to grzech, moja biedna matko, którym niebaczną miłość twoja obciążyła twoje sumienie. Ale któż wie? mogłoby się było jeszcze wszystko naprawić. O kilka mil miałaś szkołę, gdzieś mnie mogła oddać. Tam z towarzyszami młodości, z chłopakami pełnymi życia i siły, byłbym się wzmocnił, rozwinął; przez wstyd i emulację ²⁾ byłbym dobył z swych piersi ostatek energii i stał się chłopcem, jak oni, i wyrósł wśród nich i z nimi na mężczyznę, któremu by nikt nie śmiał deptać po nogach i grać na nosie. Aleś tego nie zrobiła. Zamiast mnie

1) *Automat*: tu — bezwolna istota, bez energii.

2) *Emulacja*: współzawodnictwo.

posłać do szkół, póki były, przyjęłaś do domu jakiegoś włóczęgę Francuza, abym się nauczył paplać, tak jak on, abym był ciemnym i głupim, jak on, abym zawsze był przy twoim boku, obwinięty w watę, otulony piernatami, aby potem, gdy należało oświecać rozum, kształcić się nauką, miał czas dla rozrywki tylko pożerać zgubne książeczki, które mnie nauczyły tego, czegośom wiedzieć nie powinien, które zbudziły moją imaginację¹⁾ i w dwudziestym roku zrobiły mnie drżącym, drażliwym i nie-dołężnym starcem. O! tyś tego pewnie nie chciała, bo ty mnie kochasz biedna matko! ale miłość twoja niebaczna i grzeszna.

Zanosila się od płaczu nieszczęśliwa kobieta, a pan Henryk, widząc to rzucił się jej do nóg i zaczął ścisnąć i całować jej kolana. Potem, powstawszy, wziął jej rękę i rzekł łagodnie:

— Nie płacz, droga mamol ale pozwól mi jeszcze ratować cię. Puść mnie, puść od siebie.

— Henryku! — odpowiedziała, składając ręce — mozem i zawiniła zbyt i nieuważnym przywiązaniem. Czyżes mnie już dość nie ukarał? Dlaczegoż chcesz mnie jeszcze porzucić samą jedną i uciec ode mnie?

— Nie od ciebie droga mamol, chcę uciec, ale stąd, z tego miejsca, z tych okolic; chcę i muszę uciekać.

— Czemuż to? co się stało? dla Boga!

— Czemu? czemu? Czy wiesz, moja mamol, skąd teraz wracam?

— Skąd? skąd? — zapytała, patrząc mu w oczy z trwożą.

— Wracam z pojedynku.

Krzyknęła przeraźliwie pani Włodzimierzowa, zerwała się i przyskakując do syna, zaczęła opatrywać jego głowę, piersi, ramiona, a potem, biorąc jego rękę, trzęsąc z całej siły, zapytała:

— Tyś nie ranny?

— O! wolałbym być rannym; wolałbym, żeby mnie tu przywieziono ze zgruchotaną ręką lub nogą, z przebitą piersią; niż skończyć tak nikczemnie, jakem skończył.

1) *Imaginacja*: wyobraźnia.

— Z kimże to dla Boga, strzelałeś się?

— Z kim? z mężczyzną, moja matko, z mężczyzną w całym wielkim znaczeniu tego słowa, z człowiekiem, który patrzył na moją kulę uśmiechając się, który szedł do mnie zwolna, krokiem pewnym, jak gdyby mi miał podać rękę do przyjacielskiego uścisku, wtenczas, kiedy ja szedłem do niego drżąc, kiedy oczy moje zakrywała mgła, kiedy w sercu rozpacz, a konwulsje w ręku, które ją wiodły, nie tam gdzie chciałem, i wyrzuciły kulę nie wtenczas, gdy chciałem. Ale to jeszcze nic, moja matko: jam go ranił. A on nie pokazał tego po sobie, szedł dalej, wołał mnie spokojnie do mety, a ja zdrow i cały dojsć do niej nie mogłem, upadłem wprzód, nim strzelił, i od samego widoku jego kuli zemdlałem, jak kobieta. — To powiedziawszy, wplótł ręce w swe włosy i zaczął je szarpać i wrywać.

— Henryczku! biedny mój Henryczku! — zawołała matka tuląc jego głowę na swych piersiach. Uspokoił się po chwili i rzekł:

— Widzisz teraz, mamó, że ja tu zostać nie mogę.

— O! mój Boże! mój Boże! — zawołała matka — ciężkom akarana. Ale któż to jest ten twój przeciwnik? Cóżes mu zrobił, że cię wyzwał?

— Nie on mnie wyzwał, ale ja go wyzwałem — odpowiedział.

— I za cóż to? O ja nieszczęśliwa!

— Za to, że ona go kocha, a mnie kochać nie może, za to, że on wyższy ode mnie, że silniejszy ode mnie, za to, że on śmiały, a ja tchórz, że on ma rozum, a ja głupi, za to, że się uśmiechnął z politowaniem, gdy upadł z konia w jej oczach, że mnie podjął z ziemi i postawił na nogach, jak dziecko, które upadnie i nosek sobie zwala. Słowem, za to, moja matko, że on mężczyzna a ja mazgaj i baba. O, puść mnie, droga mamol ja cię obwiniać nie będę, ja ci to wszystko zapomnę, tylko puszczaj mnie!

To powiedziawszy, wziął ją w objęcia, całował jej twarz, jej głowę, potem bladą, znekana, osłabłą i nie mogącą słowa przemówić posadził na krześle, a sam wybiegł z pokoju.

We dwa dni po tej bolesnej scenie między synem i matką prezes odebrał następujący list od pani Włodzimierzowej: „Uwadamiam pana, że syn mój wyjechał za granicę i kiedy powróci, nie wiem. Wszelkie zatem układy, o których mówiliśmy, skończone w tej chwili i nadal nie obowiązują ani mnie, ani pana. Może przeto teraz panna Kamilla oddać bez przeszkody swą rękę panu Starzyckiemu, którego kocha i którego uznaje za godniejszego od mego syna. A chociaż pan Starzycki raniony w pojedynku, jaki ci panowie w sobotę odbyli, sądzą jednak, że nie ma wielkiego niebezpieczeństwa. Z książką W. Włodzimierzowa Podziemska”.

— Jezus Maria! — zasyczał prezes, przeczytawszy ten list, oparł się na krześle, splótł ręce na brzuchu i puścił dwoma wielkimi palcami tak szybkiego młynka, że ich prawie widać nie było. Posiedziawszy tak z kwadrans, zadzwonił i kazał zawołać córkę. Weszła panna Kamilla z twarzą spokojną, ale bladą i wyrażającą ukryte cierpienie. Spojrzał na nią prezes i już teraz nauczony czytać w jej licu, nie wątpił o prawdzie swojego, jak je w myśli nazywał, nieszczęścia. Nic więc nie mówiąc, podał jej list pani Włodzimierzowej. Wzięła go panna Kamilla i zaczęła czytać. Przy pierwszych słowach lekki rumieniec okraszył jej lica. Stopniami zsuwał się, znikł zupełnie, pod koniec panna Kamilla wstrząsła się, zbladła jak trup i gdy skończyła, opuściła ręce wraz z listem, zachwiała się i upadła na ziemię bez zmysłów. Krzyknął prezes przerażony, zerwał się, przykląkł przy córce, zaczął ją wołać najśłodszymi słowami, trzeźwił jak mógł, ale nic nie pomogło. Wtenczas, rwąc na głowie włosy, wybiegł jak szalony i łamiąc ręce, zaczął krzyczeć na cały dom. Na to przeraźliwe wołanie zbiegli się ludzie, wyskoczyła panna Beldeau, i wszystkie kobiety z garderoby otoczyły zemdloną. Jedna z nich, przytomniejsza, zaczęła ją zbryzgiwać wodą, rozerwała pasek szlafrocza, i powoli, powoli panna Kamilla przyszła do siebie. Gdy otworzyła oczy, podniosła głowę z pomocą kobiet, a potem, usiadłszy na ziemi, rzuciła okiem na list, który obok leżał i zaczęła mocno płakać. Pozwolono jej wypłakać się do woli, a gdy się cokolwiek utuliła,

kazał ją ojciec odprowadzić do pokoju i położyć. Leżała tak panna Kamilla z parę godzin, nie mówiąc ani słowa, nie wydawszy ani jednego jęku, ani jednego westchnienia. Potem wstała, zaczęła chodzić po pokoju, namyślając się, co zrobić; nareszcie usiadła, napisała krótki bilet, wyjęła z toalety małe pudełeczko, opieczętowała to wszystko razem i zawołała służącą Teresę, którą szczególnie lubiła. Wszystkie ją kochały niezmiernie, bo była dobra, wesoła, niekapryśna i często je obdarała. Ale Teresa szczególnie do niej była przywiązana. Weszła więc dziewczyna z zapłakаныmi oczyma i stanęła przed panią.

— Tyś płakała, Teresiu — rzekła jej panna Kamilla.

— Ach, Boże mój! pani tak okropnie zemdleła — odpowiedziała dziewczyna, całując jej rękę. — Co się stało?

— Nic, moja droga. Słuchaj, Teresiu! ty mnie kochasz nieprawdaz?

— O, moja dobra pani! — zawołała Teresa.

— Biegnijże z tym co tchu do Szlomy; tylko żeby nikt nie uważał, dokąd idziesz.

— Ja pobiegnę przez ogród.

— Dobrze.... i oddaj mu to tak, żeby nikt nie widział.

Dziewczyna wzięła pakiecik, pobiegła i w kwadrans potem już go Szloma miał w ręku. Szloma był w swoim pokoju, gdzie stały kufry z rozmaitymi rzeczami, gdzie była szafa pełna książek, gdzie z boku stało biurko zamknięte, a przed nim fotel czerwonym safianem obity. Sam Szloma, w materialnym szlafroku, w aksamitnej jarmulce siedział na poduszce z kutasami, jedną nogę w lśniących butach trzymał na kanapie, a drugą na ładnym dywanie, który przed nią leżał. W takiej postawie pan Szloma czytał Żyda Lessinga ¹⁾. Wkoło niego wszędzie było czysto cicho, porządnie; w kąciuku tylko, gdzie przybite było do ściany mosiężne lawabo ²⁾ i gdzie wisiał ręcznik, stał brudny cebrzyk, w który kapala regularnie woda, co wespół z delikatnym zapa-

¹⁾ Żyda Lessinga — Szloma czytał zatem dramat Lessinga *Natan der Weise* (Natan Mędrzec), napisany w r. 1779.

²⁾ *Lawabo*: umywalnia, miednica z upustem wody do mycia rąk

chem cebuli, ulatującym po pokoju. zdradzało pomieszkanie żydowskie.

Gdy Teresia wbiegła i obejrzawszy się, że nie było nikogo, oddała mu pakiecik, Szloma rozpieczętował go i nie zmieniając pozycji, czytał ze zwyczajnym swoim, rozumnym i zgadującym uśmiechem te słowa: „Panie Szloma! tyś mi pierwszy mówił z szacunkiem o domu państwa Starzyckich i o ich synu, który mię mocno interesuje. Jak silny, jak głęboki to interes, domyślasz się zapewne, bo tobie niewiele potrzeba, abyś się domyślił. Dziś dowiedziałam się, że ten młody człowiek raniony, zapewne jest nie u rodziców, ale w Trawiskach, w wiosce siostry swojej Zahorowskiej, stąd o cztery mile. Nie mam kogo posłać, aby dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Stan mój okropny. Muszę się kryć z tym, co czuję, a umieram z niespokojności. Jedź natychmiast, mój dobry Szloma. Dowiedz się o wszystkim i powracaj. Tej przysługi nigdy ci nie zapomnę. Szloma, tyś człowiek rozumny i wiesz dobrze, czy można polegać na wdzięczności takiej, jak ja, kobiety.

P. S. Co tu dołączone, to dla twojej Racheli”.

Otworzył Szloma pudełko i obaczył piękny fermoar ¹⁾ brylantowy, zamykający dwa sznureczki ślicznych pereł. Cały prezent mógł być wart więcej jak dwieście dukatów. Zaiskrzyły się oczy żyda, uśmiech ukontentowania przebiegł po jego ustach, ale wkrótce zmiarkował się i sądząc po żydowsku z wartości podarunku o uczuciach panny Kamilli i jej niecierpliwości, otworzył prędko swoje biuro i odpisał te słowa: „Rozkaz pani będzie natomiast wykonany. Od dawna domyślałem się wszystkiego i nie dziwiłem się, że tak się stało. Taka, jak pani, kobieta, nie mogła nie ocenić t a k i m ł o d y c z ł o w i e k, jak pan Starzycki. Rachela dziękuje pani za śliczny podarunek. Szkoda, że usługa nie warta takiej zapłaty”. W pół godziny potem już Szloma był na drodze do Czaplinc.

Tymczasem prezes nie zasnął także gruszek w popiele. Uspokoiwszy się o córkę i widząc, że spokojnie leży, nie płacze

1) *Fermoar*: zapinka przy sznurkach paciorków, klamerka

nie mdleje, wrócił do normalnego swego stanu. Znal prezes doskonale energię i determinację¹⁾ swej córki, przekonał się tylko co, jak gwałtowna jej miłość; zatrwożył się więc nadzwyczajnie, aby cała jego krwawa praca nie posłużyła się do wzbogacenia szlachcica bez jego woli i wiedzy. Nie polegając więc bardzo na swojej powadze, chciał obudzić ambicję szlachetną w ojcu pana Józefa i zapewnić sobie w nim sprzymierzeńca. Napisał więc do niego następujący list: „Z załączonego tu listu pani Włodzimierzowej, dowiesz się wielmożny pan dobrodziej, co się dzieje. Znając charakter, sposób myślenia i umiarkowanie wielmożnego pana dobrodziej, nie sędzę, abyś wiedział o tym i pochwałał szalone zamiary swojego syna. Chociażby moja córka nawet szczerze myślała o tak nierównym związku, o czym wątpię, bom z nią jeszcze o tym nie mówił, to łatwo wielmożny pan dobrodziej wniesiesz że ja na to nigdy nie pozwolę. Mam nadzieję, że wielmożny pan dobrodziej, jako człowiek pełen honoru, ocenisz powody i stosowne przedsięwzemiesz środki“.

Gdy pan Starzycki listy te odebrał i przeczytał, kazał natychmiast konie zaprzęgać, a tymczasem odpisał prezesowi. Nic nie mówił żonie i matce, dokąd jedzie; objawił im tylko, że wróci za dwa dni. Twarz jego była spokojna, choć w sercu śmiertelna trwoga. Obszedł jeszcze umyślnie całe gospodarstwo, wydał potrzebne dyspozycje, powiedział żonie, co rozkazał i czego miano dopilnować, a ucałowawszy ręce matki i utuliwszy w swym objęciu czulej niż zwykle żonę, która wtenczas dopiero w nim postrzegła jakąś zmianę i cokolwiek strwożyła się, wsiadł i pojechał.

W tymże samym czasie prezes rozpieczętował odpowiedź na swój list i uśmiechnął się i oddychał wolniej, znalazłszy następujące słowa: „Możesz jaśnie wielmożny pan dobrodziej zupełnie być spokojnym i nie trwożyć się szalonymi zamiarami mojego syna. Upewnić mogę jaśnie wielmożnego pana, że on ich nie ma, bo ja o nich nie wiem. Gdyby panna Kamilla była ubo-

1) *Determinacja*: zdecydowanie, stanowczość

gą panienką, przyjąłbym ją z radością pod swój dach i błogosławiłbym niebo za taką synową. Z takim zaś posagiem, jak ma, nie jest partią dla mego syna. Taki jest mój sposób myślenia. Mój syn zna mnie dostatecznie i wie o tym, że mi nie może być nieposłusznym. Śpij więc, jasnie wielmożny pan, spokojnie”

Położył prezes ten list na stole, złożył ręce pobożnie, wznosił oczy do nieba, kiwając przy tym głową na znak dziękczynienia, i westchnąwszy jeszcze kilka razy, spuścił swe ręczki do zwyczajnego położenia, a zacząwszy powoli obracać palcami, rozważał, jak dalej postąpić.

W tejże samej karczmie, gdzie przeszłej jesieni panna Kamilla poznała się z Anulką, zjechał się Szloma z panem Starzyckim około dziesiątej godziny wieczorem. Noc była ciepła, pogodna i widna; nie zajeżdżali więc oba na nocleg, tylko kazali dać koniom siana. Gdy sobie zajrzeli w oczy i poznali się, po pierwszym przywitaniu rzekł Szloma:

— Pan dobrodziej nie myśli nocować?

— Mam pilny interes — odpowiedział. — Ale i ty, panie Szloma, nie każesz zajeżdżać także?

— Mam także pilny interes — odpowiedział żyd ze zwykłym uśmiechem. — Pan dobrodziej jedzie zapewne do córki, chciałem powiedzieć do córki, do Trawisk.

— Skądże o tym wiesz, panie Szloma?

— Domyślam się i nie dziwię, że pan dobrodziej nie nocujeś. Okoliczność jest taka, że ojcu pilno.

— Więc ty wiesz o wszystkim?

— Wiem, i żebym dał dowód, jak pana dobrodzieja szanuje to mu się przyznam, że i ja tam jadę także.

— Prawda, tyś konfident prezesa — odpowiedział pan Starzycki z przekąsem. — Zapewne posyła cię prezes dla przekonania się, że rana niebezpieczna.

— Może pan prezes byłby i kontent — odpowiedział żyd z uśmiechem — żeby rana była niebezpieczna. Ale ja posłany jestem od takiej osoby, która by połową majątku, a i może połową życia zapłaciła, aby tak nie było.

— Więc to panna Kamilla cię posłała?

— Teraz pan dobrodziej zgadł — odpowiedział żyd.

— Czy masz jaki list?

— Nic nie mam — odpowiedział. — Mam tylko obaczyć syna pana dobrodzieja, przekonać się, czy nie ma niebezpieczeństwa i jak najprędzej powracać. A może będę mógł co poradzić. Pan dobrodziej wie, że ja jestem syn doskonałego cyrulika i byłem przeznaczony na doktora, nim ożeniłem się i wzięłem do handlu. Mam nawet z sobą dobre plastry na rany i pudełko z instrumentami, które mi ojciec zostawił w sukcesji.

— Jedźmy prędzej, panie Szloma — odpowiedział pan Starzycki, ujęty wyrazem twarzy i tonem tego szczególnego żyda. A potem dodał: — Wszakże, jako ojciec, mogę od ciebie wymagać jednego przyrzeczenia?

— Słucham pana dobrodzieja.

— Ja nie aprobuję uczuć mego syna. Nie dlatego, abym nie kochał panny Kamilli...

— Al — rzekł żyd z gestem podziwienia — co to za panna!

— Wiem o tym. Ale ja żądam, aby mi synowa przyniosła w dom błogosławieństwo swoich rodziców, a nie wielki posąg.

— Ja zawsze szanowałem pana dobrodzieja — odpowiedział żyd, zdziwiony takim sposobem myślenia.

— Dlatego — mówił pan Starzycki — chcę, aby mój syn o tym zapomniał; a od ciebie, panie Szloma, żądam i żądam serio, abys ty młodym ludziom w niczym nie pomagał ani żadnej komunikacji im nie ułatwiał. Przyrzekasz mi to?

— W tym i mój interes — odpowiedział żyd. — Pan prezes bardzo mi potrzebny, a mógłby się dowiedzieć.

— Dowie się przeze mnie — rzekł pan Starzycki stanowczo — jeżeli to nie będzie ostatnia usługa tego rodzaju, która robisz pannie Kamilli.

— Będzie ostatnią, daję panu dobrodziejowi słowo honoru — rzekł Szloma, wymawiając znowu ten ostatni wyraz z pewną pretensją, jaką dziwnie brzmiący w ustach żyda. — Ale jedźmy — dodał — bo tam biedna panna rachuje kwadranse i minuty do mojego powrotu.

We trzy godziny stanęli przed domem pana Ignacego. Wszyscy tam spali spokojnie i cichość była zupełna. Uspokojony tym ojciec wszedł do pokoju. Wkrótce pan Ignacy, Anulka i dziadzio byli na nogach i w pół godziny dowiedział się pan Starzycki o wszystkim. Rana pana Józefa była lekka i nic nie znacząca i nie potrzebowała więcej jak tydzień czasu do zupełnego zagojenia; nie on wyzwiał pana Henryka, nie czym go nie obraził, ale wyzwany stanął odważnie; nie strzelał pierwszy, choćby mógł od pierwszej nawet mety obalić swego przeciwnika. Pocieszyło to wszystko strwożonego ojca, który, podniósłszy myśl dziękczynną do Boga, kazał obudzić syna i zaprowadził do niego Szłomę.

Gdy pan Józef obaczył przed sobą ojca, podniósł się, wziął jego rękę i, tuląc do ust, zawołał:

— Daruj ojcze, nie mogłem ci być posłusznym.

— Wiem o tym; uspokój się — odpowiedział poważnie ojciec. — Był to skutek konieczny pierwszej słabości, której nie pokonałeś od razu. Ale o tym potem. Pokaż swą ranę Panie Szłoma, obacz, ponieważ cię to interesuje i znasz się na tym.

— Żyd odwiązał, obaczył, obmył ranę, dobył ze swego pudełka plaster, okroił go zgrabnie lśniącymi nożyczkami, położył delikatnie i obandażował. Potem obracając się do obecnych, rzekł z uśmiechem:

— Bądźcie państwo spokojni. Ile się znam na tym, mogę upewnić, że za pięć lub sześć dni zagoi się. Ale potem, żeby się nie jątrzyło, to pan jeszcze ten drugi plaster przyłóżysz i już go nie odejmuj, póki sam nie odpadnie.

To powiedziawszy, wziął inny plaster, wykroił znowu kwadratową sztuczkę, zawinął zgrabnie w bilecik panny Kamilli i oddał panu Józefowi. Ale oddając, ścisnął nieznacznie za rękę i nachyliwszy się, jakby jeszcze chciał obejrzeć bandaż, szepnął mu do ucha: — Niech pan to schowa i przeczyta. — Zaczerwienił się młody człowiek i plasterek znikł pod kołdrą.

Ale chodźmy — rzekł żyd. — Mnie pilno wracać, a ten pan potrzebuje odpoczynku i spokojności. Pan dobrodziej sfa-

tygowany także i zmęczony moralnie — dodał, zwracając się do ojca i wymawiając ten wyraz z przyciskiem i pretensją. — Dobranoc państwu! — rzekł, kłaniając się układowie, i wyszedł posuwisto i z godnością.

Wkrótce pan Józef został sam, rozwinął papier, poznał rękę kochanki, czytał, czytał kilka razy i całował każdy niemal wyraz, nie zważając na to, że list był adresowany do żyda, że się znajdował w ręku żyda i w kieszeni żydowskiej.

— Nazajutrz ojciec wszedł do pokoju syna, usiadł przy łóżku i po kilku zapytaniach łagodnych i okazujących troskliwość ojcowskiego serca, rzekł:

— Mam nadzieję, mój synu, żeś nie zapomniał, com ci mówił, gdyś wyjeżdżał z domu.

— O, nie, nie, mój drogi ojcze! nigdy jeszcze w życiu nie zapomniałem żadnego twego upomnienia. Każde twoje słowo jest dla mnie głosem nieba.

Wyciągnął ojciec rękę, którą syn z rozrzewnieniem ucałował. Po niejakiem czasie, wydobywając list pani Włodzimierzowej, prezesa i kopię swojej odpowiedzi, dodał: — Przeczytaj to, Józiu! — Wziął pan Józef listy i, przeczytawszy, oddał ojcu. Potem upadł na poduszki, zakrył sobie oczy i tak długo leżał, milcząc.

— Czy pomyliłem się, odpowiadając i ręcząc za ciebie? — rzekł wreszcie ojciec.

— Nie, nie, mój ojcze! Może to przyplączę zdrowiem, a może nawet... ale któż wie? — dodał prędko, krzepiąc się. — Bóg mi dopomoże i myśl o was umocni mnie.

— Daję ci moje ojcowskie błogosławieństwo na tę ciężką drogę, mój synu! Walcz, walcz z sobą samym. Masz do poprawienia ogromny błąd nierozumu i nieumiarkowania. Niech nie myślę, że i ciebie ogarnął ten szal, który na nas wionął. Rzuć okiem naokoło siebie! Wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensje nad naukę i talent, a stąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośpiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepa i występna uważam za powiew tego ducha zemsty.

któremu poruczono nas karać za wielkie i ciężkie grzechy naszych ojców.

Umilkł poważny człowiek, schylił głowę i ciężko się zamyslił. Syn, milcząc, patrzył na niego ze czcią i podziwieniem a po chwili rzekł drżącym głosem:

— Ojcze! daruj mi, daruj; jam cię głęboko zasmucił.

— Prawda, mój drogi! Ale mam nadzieję, że mię pocieszysz. Bądź mężnym, bądź wytrzymałym w tej walce. Bez walki nie ma cnoty, bez cnoty nie ma zasługi; a nam potrzebna ogromna masa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie. A teraz bądź zdrów! Pisz do matki i do babki. One nie wiedzą o niczym i nie chciałbym, aby się dowiedziały; a sam jedź, jedź, mój synu, i pamiętaj o tej naszej rozmowie.

To powiedziałwszy, uściskał syna, pożegnał się z resztą rodziny i pojechał.

W parę dni potem prezes, widząc córkę spokojniejszą, bo ją Szloma zupełnie uspokoił, zawołał ją do swego gabinetu, kazał usiąść, i założywszy, jak zwykle, rączki na brzuchu, rzekł słodko:

— Jakże się masz teraz, moja droga Kamilciu?

— Dobrze, kochany papo! — odpowiedziała, patrząc mu bystro w oczy i przewidując stanowczą jakąś rozmowę.

— Czegóż tak na mnie patrzysz, moja droga? czy cię to zadziwia, że ja z taką troskliwością pytam się o twoje zdrowie?

— Nie, drogi papo! — odpowiedziała — to mnie zadziwia, że zaczynasz tak z daleka i nie mówisz wprost tego, co chcesz powiedzieć. — Puścił prezes w prędszego młynka swe palce, zaambarasowany taką otwartością i zbity z ułożonej kolei.

— Jezus Maria — rzekł po chwili, westchnąwszy — jak to źle, kiedy ojciec nie jest najpierwszym powiernikiem i przyjacielem swego dziecka. Stąd nieufność we wszystkim, stąd niewiara w jego miłość, w jego troskliwość rodzicielską. A przecież, gdybyś była mogła widzieć, jakim bólem napełniłaś mnie: to byś nie mówiła, że zaczynam z daleka, pytając się o twoje zdrowie, bo twoje zdrowie i twoje szczęście bliższe mojego serca, niż moje własne.

— Daruj mi, drogi papo! — rzekła, całując jego rękę. — O tym nigdy nie wątpiłam. Sądziłam jednak, że po takim wypadku miałeś mi co innego powiedzieć.

— Ach! rzeczywiście wypadek przykry i ja bym rad o nim zapomnieć i nie chciałbym odnawiać twojej rany. Dla panienki bowiem takiej, jak ty, musi to być rzecz bolesna — mówił prezes, przechyliwszy głowę i kręcąc z wolna palcami — kiedy od niej ucieka kawaler, którego osądziła za przyzwoitą dla siebie partię.

Wpatrzyła się w niego panna Kamilla i, uśmiechając się boleśnie, odpowiedziała:

— Daruj mi, drogi papo! ale znowu przychodzi mi do głowy, że nie to mówisz, co chcesz powiedzieć.

— Jak to? — rzekł, udając zdziwienie, prezes — więc to nie odjazd pana Henryka tak cię mocno dotknął?

— Kochany ojcze! — rzekła serio — ja cierpię mocno, głęboko; piersi moje zalewa ból, oczy co chwila napełniają się łzami, a ty, ojcze, żartujesz i igrasz z moim smutkiem. O! prawdziwie, nie widzę w tym tej miłości, tej troskliwości, o której mówiłeś.

— Więc to o pana Starzyckiego rzecz idzie? — rzekł prezes. — Więc to jego oddalenie, jego pojedynek i rana tak cię przeraziły, żeś upadła bez zmysłów, nie pomyślawszy o tym, co czuje i jak przerazi się ojciec?

— Wtenczas mnie jedna tylko myśl, mój ojcze, opanowała. Zapomniałam o tobie, o sobie, o wszystkim; myślałam tylko, że mogę go utracić.

Przy tych słowach zaiskrzyły się oczy panny Kamilli i twarz jej okrył rumieniec. Prezes wziął z zimną krwią ze stolika odpowiedź pana Starzyckiego i, trzymając ją w dwóch palcach rzekł:

— Chociaż nie przez pojedynek, moja droga, ale podobno utracisz go na zawsze. Boś ty, widzę, przeznaczona na to, aby się ciebie kawalerowie wyrzekali. Patrzaj, moja Kamilciu! pan Starzycki pisze mi także, że ty nie jesteś partią dla niego.

Z bladą twarzą, drżącą ręką wzięła panna Kamilla list z rąk ojca i zaczęła czytać. Widać, że ją słowa te uspokoiły, bo znowu lekki rumieniec na twarz jej powrócił. Oddając list ojcu rzekła:

— Szanuję tę szlachetną dumę zacnego człowieka i wcale inaczej tłumaczę sobie te słowa, niż ty, mój ojciec.

— Jezus Maria; tłumacz je sobie jak chcesz, a sens zawsze jeden i tenże sam wyjdzie, to jest, że pan Starzycki ciebie nie chce.

Uśmiechnęła się boleśnie panna Kamilla i nic nie odpowiedziała. Prezes po chwili milczenia znowu tak się odezwał:

— Dwa razy nam się nie udało, ale mówią, że do trzech razy sztuka. Według przysłowia więc, a przysłowia zamykają głęboką mądrość, możemy jeszcze raz spróbować. Mam dla ciebie Kamilciu jeszcze jednego pretendenta¹⁾. Czy pozwolił mu przyjechać?

— Nie, nie, mój ojcze! to daremnie! — odpowiedziała z mocą. — Ja pana Józefa Starzyckiego kocham i jeżeli nie będę jego żoną, to nie będę niczyją.

— To nie będziesz niczyją? — rzekł wówczas prezes zupełnie innym tonem i poprawiając się w krześle. — Czy rozumiesz, moja panno, że ja będę uważał na twoje romansowe wzdychania, na twoje łzy; że się dam zmiękczyć nawet twoimi mdłościami? Nie dla takiej szui pracuję i zbieram. Wybij to sobie z głowy, bo pozwolenia mego nie otrzymasz nigdy.

— Widzisz, papo — rzekła z zimnym uśmiechem panna Kamilla — mówiłam dobrze, żeś co innego chciał powiedzieć!

— Teraz wiesz, com chciał powiedzieć — rzekł prezes sapiąc. — A jeszcze dodam ci to, że jeżeli bez mojej woli, bez mego pozwolenia oddasz rękę temu szoldrze, jak Bóg żywy, cały majątek oddam siostrzeńcowi, a ty zostaniesz na suchym chlebie swego pana Starzyckiego.

— Czy myślisz, ojcze, żebym nie była stokroć szczęśliwsza, niż teraz? O! to ci przysięgam na cienie mojej matki! Ale bądź

1) *Pretendent*: ubiegający się.

spokojny, tego nie zrobię... i nie przez obawę utraty posagu. Mnie idzie o twoją miłość, mój ojczel! o twoje błogosławieństwo, którego byś mi nie dał, a nie o majątek, który byś mi mógł odebrać. — To powiedziawszy, przyklękała, pocałowała go w kolano i wyszła prędko.

Smutno schodziły dni pannie Kamilli. Przed ojcem tylko udawała spokojność; ale gdy na nią nie patrzył, nic jej rozerwać nie mogło. Panna Beldeau, która szczerze się do niej przywiązała, po próżnych usiłowaniach rozweselenia jej, dała pokój i zostawiła ją sobie samej. Co dzień wieczorem wychodziła panna Kamilla do ogrodu, przechadzała się do późna w alei topolowej, która go zdobiła, siadywała na ławeczce, i tak marząc, słuchała szumu drzew, ścigała okiem chmury, które nad jej głową ciągnęły, płynęła myślą z księżycem, który bujał po niebie.

Siódmego dnia po rozmowie z ojcem siedziała tak panna Kamilla pod drzewem; oparła głowę o pień jego i patrzyła na niebo jasne, błękitne, na gwiazdki migające pomiędzy ruszającymi się z lekka listkami, na księżyc cichy, milczący, który przez gałęzie drzew do niej zaglądał i na twarz jej rzucał łagodne światło. Wieczór już był późny i cichość zupełna ją otaczała. Wtem poczuła panna Kamilla, że coś dotknęło jej kolan. Porwała się z zamyślenia i lekko krzyknęła, obaczywszy Amora, który podszedł cicho i głowę swą na kolanach jej położył.

— Amor! Amor! — zawołała, głaszcząc go i powstając. — Gdzie twój pan, Amorze? O! on tu musi być; prowadź mnie, prowadź! — Uradował się pies, pokręcił ogonem, i zwróciwszy się nazad aleją, oglądał się czy idzie za nim. Ledwie kilkanaście kroków uszła, gdy spostrzegła kochanka z daleka. Stał oparty o drzewo z założonymi rękoma i nie ruszał się z miejsca, chociaż ją widział. Panna Kamilla chciała podbiec ku niemu, ale czując że słabnie, usiadła na ławeczce. Wtenczas pan Józef przystąpił zwolna, usiadł także.. i tak długo siedzieli obok nie tylko nic nie mówiąc, ale nawet nie patrząc na siebie. Nareszcie panna Kamilla odezwała się złamanym głosem:

— Nie myślałeś o mnie, narażając tak życie. Nie wiedziałeś o tym, że gdybyś był zginął, jużbyśmy byli złączeni... tam.

— Im prędzej, tym lepiej — odpowiedział pan Józef z głębi piersi. — Bo tu nie będziemy.

— Nie, mój jedyny, nie będziemy — odpowiedziała, kładąc rękę na jego rękę, którą on utulił w swoich dłoniach. — Dlatego niepotrzebnieś teraz przyszedł. Ja dałem słowo ojcu, że bez jego pozwolenia nie będę twoją; a tymczasem, gdy obaczyła to poczciwe zwierzę, pomyślałam natychmiast, że ty tu, że twoje konie tu, że mogę się rzucić w twoje objęcia, z tobą uciec i nie odstać od ciebie, aż na katafalku, aż w grobie. O! nie należało przyjeżdżać. — To powiedziawszy, wzięła się za głowę i ścisnęła dłońmi czoło, które widać i teraz jeszcze te same myśli rozrywały.

— Daruj mi to, Kamillo! jam nie chciał i nie spodziewał się ciebie widzieć. O! i ja także dałem słowo ojcu i nie dotrzymałem go. Pierwszy to raz w życiu i ostatni. Jechałem do siebie O trzy mile stąd postrzegłem za wzgórkami dwór i ogród z topolami. Przypomniałem sobie Szyszkowce. Niewysłowiona tęsknota ogarnęła mnie. Tyś stanęła żywo przed myślą, z całym wdziękiem twojej postaci, z całym wyrazem twych oczu, z całą anielską dobrocią twego serca. Zapomniałem o wszystkim i podjechałem tu i wkradłem się jak złodziej do tego miejsca, aby obaczyć przynajmniej te drzewa, pod którymi się przechadzasz i ten dach, pod którym tęsknisz za mną. Bóg mi dał więcej szczęścia, niżelimi pragnął. Ale jeżeli każesz, pójdę natychmiast.

— O! nie, zostań jeszcze — rzekła, kładąc rękę na jego ramieniu i opierając na nim głowę. — Wszak to już raz ostatni. Czy cię już nic nie boli?

Nie, moja droga — odpowiedział, obejmując ją, i tuląc do siebie. — Twoja głowa leży na tym samym miejscu, gdzie była rana. — Podniosła głowę panna Kamilla i pocałowała go w ramię.

— Nie narażaj się nigdy więcej — rzekła — bo ja żyję póty, póki ty żyjesz; bo, choć nas rozdzielono, myśli nasze zostaną

razem i dusza z duszą, tu i tam, wiecznie. Nieprawdaż, mój luby?

Upadł przed nią rozmarzony kochanek i głowę swą na jej kolanach położył. Ona znowu zaczęła się bawić jego włosami; podniosła jego twarz i tak mu się przypatrywała. Chwila to była straszna. Cienie długie od topoli padały na nieszczęśliwych, śmiło się coraz bardziej w oczach drżącego młodzieńca; twarz panienci zbliżała się do jego twarzy, a oddech jej obwiewał go jak tchnienie z raju. Przestraszył się; wspomniął ojca; jakby w oddalonej chmurze, usłyszał te słowa: walcz, walcz, mój synu! zerwał się z rozpaczą w sercu i, odskakując na kilka kroków, stanął, zatopiwszy ręce we włosach.

Panna Kamilla została na miejscu. Po chwili burza jej serca ucihła. Łzy rzewne polały się po twarzy. Długo tak siedziała, potem powstawszy, przybliżyła się do niego i rzekła spokojnie:

— Józiu mój! dobry, szlachetny Józiu! bądź zdrów, bądź zdrów na zawsze! — Chwycił ją młodzieniec w objęcia, usta ich społy się i po długim, ostatnim pocałowaniu, po wyszeptanych bolesnych słowach: bądź zdrów! bądź zdrowa! panna Kamilla wyrwała się z rąk jego i jak mgła zginęła między drzewami.

Stał jeszcze na miejscu młodzieniec. Księżyc już zachodził, ciemniało na dworze, a jeszcze ciemniej było w jego duszy. Narazie poszedł, poszedł na prawo w inną ulicę, z tej jeszcze w inną, i obszedł poza dom, skąd widać było jej okno. Okno było otwarte i oświetlone, a panna Kamilla stała w nim z załamanymi rękoma, z podniesioną głową i patrzyła w ciemniejące coraz niebo. Ukląkł pan Józef z daleka, wyciągnął do niej ręce, jęknął głęboko, jak gdyby z tym jękiem serce miało się rozskoczyć i uciekć. Gdy dzień się zrobił był już o cztery mile od Szyszkowiec

XII

Prezes zaspokojony o córkę, która zdawała się tylko zamysłoną i posepną, ale której silne zdrowie cios ten wytrzymało, — nie wierząc w stałość takich uczuć i spodziewając się, że czas ją zupełnie uleczy, zwrócił całą uwagę na Czaplince i postanowił rozpocząć wielką swą ekspedycję. Miał prezes, oprócz części nabytej od państwa Pożyczkowskich, jeszcze kilka innych drobnych cząstek w Czaplincach. Jedna z nich, jak powiedzieliśmy, graniczyła z tokiem panów Skrętskiego i Zarzyckiego, druga dotykała obory pani Biruckiej, trzecia przylegała do dziedzinka pana Remigiusza Smyczkowskiego, czwarta przylegała do ogródka kwiatowego panien Płachcianek, na który wychodziły także okna sypialnego pokoju Płachciny. W tymto ogródku latem często ona przesiadywała z córkami i tam im pan Jakub wieczorem grywał na gitarze i śpiewał.

Każda z tych cząstek, chociaż nie mogła przynosić dochodu, ale do celów prezesa wybornie posłużyła. Na każdej z nich leżały już zwiezione zimą stosy materiałów, wszędzie był stróż, który ich pilnował; ale nikt jeszcze nie wiedział na co to i co gdzie budować miano. Gdy nadeszła sposobna pora, pokazało się mnóstwo cieśli z różnych wsi prezesa, a także najętych. Rozpoczęły się roboty na wszystkich razem punktach. Rznięto kłody na fundamenta, przygotowano podwaliny, obcieszowano słupy i krokwie, słowem, praca szła szybko, gorąco jak w fortocy, przygotowującej się do szturm i dopełniającej obronę na punktach źle jeszcze obwarowanych. Prezes i sam często wyjeżdżał, popędzał robotników; a gdy go się pytano, co to będzie, odpo-

wiadał grzecznie, układnie, ścisnął za rękę pytających, dzieciom przywoził pierniczki, ale nic nie powiedział stanowczo.

Wszakże, gdy rozmierzono grunta i pozakopywano kloce dębowe, na których miały leżeć podwaliny, wyszedł pan Remigiusz, zawołał pana Pawła i zaczęli miarkować i rozważać. Z rozmiaru budowy, ze stanowiska słupów i ilości przygotowanego materiału przekonali się oba bracia, że to miała być ogromna karczma.

— Karczma! nie ma wątpliwości — zawołał pan Remigiusz.

— Karczma, tak jest — rzekł pan Paweł.

— Karczma, do stu diabłów, koło moich wrót i pięćdziesiąt kroków od naszej — krzyknął pan Remigiusz i pokręcił węża.

— O pięćdziesiąt kroków od naszej, czy diabła zjadł — zarzycał pan Paweł i z tejże samej strony węża pokręcił.

— Ja mu łeb rozwałę, temu szelmie — krzyknął Remigiusz.

— Ja mu kości połamię, temu huncwotowi — dodał pan Paweł.

A tymczasem robotnicy robili, świszcząc, i trzaski padały pod nogi rozgniewanych braci. Przyszło im z początku na myśl spędzić kijem cieśli z roboty; ale pomyśleli, że ludzie cudzy, że może który odpłacić kijem za kij, że może się wywiązać proces. Gdy do tych refleksji przyszła i ta myśl, że każdy winien był prezesowi po kilka tysięcy, że termin tuż był za pasem, dał pokój gniewowi i postanowili udać się z prośbą i perswazją do jasnie wielmożnego dobroczyńcy, aby im tej przykrości nie robił.

Jednego także poranku pan Skrętski i pan Zarzycki, wywabieni ciągłym stukaniem toporów i krzykiem pracujących ludzi, wyszli każdy na swój tok, spojrzeli na siebie, nie ukłoniwszy się jeden drugiemu, i zaczęli się przypatrywać robocie. Spozstrzegli także założone fundamenta i przymocowane podwaliny wielkiego budynku, obaczyli podwody, które zwoziły cegłę, i dochodzili, co by to być mogło. Budynek założony był tak, że jedną połową dotykał do toku pana Skrętskiego, a drugą do toku pana Zarzyckiego. Od jednego zaś końca szły w pewnych dy-

stancjach¹⁾ postawione słupy, na których właśnie ciesle przy mocowywali rynwę²⁾ do sprowadzania wody. Postrzegłszy to, pan Skrętski zbliżył się o kilka kroków do pana Zarzyckiego, a pan Zarzycki do niego. Gdy już byli w takiej odległości, że mogli się rozmówić, rzekł pan Skrętski:

— Wszak to podobno będzie gorzelnia.

— Zdaje się, że gorzelnia — odpowiedział pan Zarzycki.

— Patrzaj pan — mówił dalej pan Skrętski — w środku pokopane fundamenta na mur pod kotły, jak Boga kocham!

— A prawda — odpowiedział pan Zarzycki — wszak to już słupy pod rynwę wkopane.

— Ba, nawet i rynwę przymocowują — rzekł znowu pan Skrętski — przychodząc bliżej — jak kocham żonę i dzieci!

— Ładna rzecz gorzelnia pod samym tokiem! — rzekł pan Zarzycki, jeszcze zrobiwszy parę kroków.

— To nam diabli tego szelmę nadali! — krzyknął pan Skrętski i znalazł się obok pana Zarzyckiego. — I wtenczas dopiero podnosząc głowę jeden na drugiego i uchylając czapki powiedzieli sobie nawzajem: dobry dzień panu!

— Co tu robić w tym zdarzeniu? — zapytał pan Zarzycki.

— Nie pozwolić, to nie ma sensu, to przeciwko prawu! — krzyknął pan Skrętski. — Odezwijmy się razem, panie sąsiedzie. — I oba zaczęły krzyczeć na ludzi, kazali zaprzestać roboty, perswadując, że gorzelnia nie może być tak blisko toku. Ale robotnicy nie odpowiadali im ani słowa, i świszcząc, robili dalej. Gniew straszny porwał pana Skrętskiego, chciał już przeleźć przez płot i kijem spędzić z roboty zuchwalców; ale go sąsiad zreflektował³⁾ i przypomniał że prezes ma ich w rękę. Postanowili więc także udać się do wymowy i perswazji⁴⁾, polegając na rozumie i sercu jaśnie wielmożnego dobroczyńcy

1) *Dystancje*: odległości

2) *Rynwę*: rynnę.

3) *Zreflektował*: przywiódł do rozważenia.

4) *Perswazja*: tłumaczenia

— Wyjdź no mężu i obacz, co się tam buduje na gruncie prezesa — rzekła na drugi dzień potem pani Birucka, która właśnie była u krów i widziała, że o kroków dwadzieścia od jej obory wzniesiono już zrąb kwadratowego niewielkiego budynku i nawieziono wielką kupę węgla. Poszli więc oboje i pan Birucki przekonał się, że to miała być kuźnia.

— O, ja nieszczęśliwa! kuźnia tak blisko od mojej obory? a toż ten człowiek nie ma Boga w sercu — zawołała pani Birucka. — A wszystkiemu toś asan winien — mówiła dalej, wyżyw rzywszy się na mężu, który zwykle wszystkiemu był winien.

— A toż jakim sposobem, mój ty aniołku? — zapytał pan Birucki najłagodniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

— A tak, ja dawno mówiłam, że trzeba było spłacić Czappowskiego, kiedy oddawał tę częśćkę za bezcen!

— Ale skądże pieniądze, mój aniołku!

— Nie było pić, nie było się przyjaźnić z Buniem Krzemienieckim, nie było posyłać co moment do Szlomy, nie było, nie było... — wołał coraz silniej aniołek.

— Ale nie było także kupować szalów pomarańczowych mój aniołku, nie było... — chciał jeszcze coś powiedzieć, dobywając z szerokiej piersi męstwa i głosu, gdy pani Birucka z zakrzywonymi oczyma przyskoczyła do niego i krzyknęła:

— Co? ja nie gospodyni? ja marnotrawna? czy to ja nie oszczędzam, nie zbieram, czy to ja nie kradnę przed tobą, opoju? niedołego? Czy to ja jaka niebądź głupia Płachcina z beretem i w aksamitach? Czy to ja mam kochanków?... — wołała następując na męża, który coraz ustępował, ale widząc, że żółć rozlała się po jej chudej twarzy, odwrócił się, zatknął uszy i prędko poszedł do domu. Tam przypomniawszy sobie dług u prezesa, antałek wina i atłasową zieloną suknię żony, westchnął, i postanowił udać się z prośbą do prezesa.

W parę dni potem wieczór był śliczny. Pani Płachcina siedziała w altance, melancholicznie patrząc na pana Jakuba i podnosząc do góry palcem swój przyplaszczony nosek, aby się wyda-

wał zadartym. Pan Jakub mówił jej o pani Włodzimierzowej, która teraz była smutna i samotna po wyjeździe syna za granicę. Pani Płachcina mówiła to o księżnie Polinie, z którą kiedyś była w przyjaźni, to o hrabi Januszu, który się w niej kiedyś kochał, to nareszcie o prezesie, który ją ciągle inwituje i bardzo podejrzanym sposobem zagląda w oczy.

— Co tu prezes wybudował za ogrodem pani? — zapytał pan Jakub, pokazując na długą jakąś budowę naprędce skleconą, na której już stały krokwie, ale dach jeszcze nie był posyty.

— Nie wiem — odpowiedziała z uśmiechem pani Płachcina — zapewne jakaś galeria dla promenady. Daje mi to do myślenia — dodała z wyrazem, który obudził zazdrość pana Jakuba — *bo en voyez vous¹⁾*, naprzeciwko mojej altanki jest nawet furteczka w ścianie.

— Ach! ach! prawda — odpowiedział pan Jakub, uzbroiwszy swój wzrok w wyraz pełen wyrzutu.

— *Soyez - y tranquille, Monsieur Jakub²⁾* — odpowiedziała podając mu rękę.

Podano herbatę, przyszły i panny Płachcianki, a gdy Żorż obtarłszy wprzód palcami nos, sprzątnął przybory, wziął pan Jakub gitarę, założył jedną nogę na drugą, utopił brodę w halstuku, gdy brał wysokie tony, i zagrawszy prelude tremolando, zaczął śpiewać: *Te brzóz kilka*. Ale zaledwie skończył pierwszą strofę i powtarzając ostatni wiersz doszedł do uroczego słowa: *Lucyna*, gdy nagle tuż za nimi powstało ciągle, rozmaite, przeraźliwe beczenie owiec i jagniąt. Porwali się wszyscy, wybiegli z altany i spostrzegli wielkie stado owiec, które pastuchy zagnali do owego nieskończonego jeszcze budynku. Niestety! poznała wówczas pani Płachcina, że to nie była galeria dla promenady, z podejrzanym celem wybudowana, ale po prostu owczarnia. Łatwo sobie wyobrazić złość tej damy, tym bardziej, że dostrzegła na ustach pana Jakuba złośliwy uśmiech. Panny Płachcianki nie posiadały się od gniewu.

1) Widzi pan.

2) Bądź pan spokojny, panie Jakubie.

— Jak to, mammo! — krzyknęła panna Zenobia — więc pod nosem tu będziemy mieć owczarnię! a toż nie będzie można wyjść do ogródka, jaki będzie smród okropny.

— Toż rzecz niegodna! — zawołała panna Kryspinia — nie będziemy mogły słowa tu przemówić, ani słyszeć jedna drugiej za tym ciągłym beczaniem.

— To szkaradnie, podle! — dodała pani Płachcina, chodząc arystokratycznie po ogródku. — Pod oknami mego sypialnego pokoju! toż ja całą noc oka nie zmruję, bo ta bezecna muzyka nie ustanie do białego dnia. — Jakoż dziesiątki owiec wołały: be, inne dziesiątki odpowiadały: me! a jagnięta pochwyciwszy głos podany przez matki, oktawą wyżej ciągnęły go dalej, dalej bez końca. Pani Płachcina sapała ze złości, a panny Płachcianki załamywały ręce. Poszli wszyscy do pana Płachty szukać rady. Pan Płachta zgryzł się okropnie, szczególniej dlatego, że to było niezupełnie komiśfo mieć owczarnię pod nosem. Ale, że z natury nie był bardzo odważny, a więc kroił na dyplomatę, nie rzucił się więc jak Ajaks między te owce, by je w pień wyciąć, ale postanowił także udać się do prezesa z perswazją i wymową. Tymczasem panienki zatykały uszy, pan Jakub schował gitarę, jako już niepotrzebną, bo beczenie w rozmaite fugi ¹⁾ i tony dochodziło aż do pokoju.

Prawie razem przybyła cała deputacja czapliniecka do prezesa. Wysłuchał każdego z uwagą, przechyliwszy głowę i kręcąc jak tylko można najpowolniejszego młynka. Gdy się pan Skrętski unosił, a pan Remigiusz powiedział mu nawet grubiaństwo, kiwał pobożnie prezes głową, jak gdyby wszystkie gniewy i niesłuszne pretensje ofiarowywał Panu Bogu. A gdy skończyli, zaczął ścisnąć ich za ręce, prosił siedzieć i tłumaczył się i uniewinniał, że mu nawet do głowy nie przychodziło zrobić przykrość tak zacnym sąsiadom, że chciał tylko mieć jakąkolwiek korzyść z tych porozrzucanych cząstek, które tylko z miłosierdzia i przez ludzkość ponabywał... Ale teraz, kiedy wie, że to im tak niemiłe, to najserdeczniej im dziękuje, że go ostrze-

1) *Fugi* — fuga, kompozycja muzyczna, w której temat wypowiedziany przez jeden z głosów powtarzają głosy inne.

gli i będzie się starał, aby jak najprędzej zaspokoić ich trwogę. W domówienie do tej oracji poprosił ich do sali, gdzie zastawione było sute śniadanie. Rozweseiliło się całe grono widokiem najrozmaitszych wędlin, półmisków befsztyku, kotletów, ogromną salaterką najdoskonalszego bigosu, a szczególnie baterią butelek, w której srodku, jak dwudziestoczworofuntowa armata, stał srebrny wazon, z którego sterczała okrągława główka butelki z szampanem. Po śniadaniu wszyscy z rumianą twarzą i iskrzącymi oczami, pożegnali jaśnie wielmożnego dobroczyńcę, zaniósłszy do domów nadzieję i uspokojenie, oczekiwali cierpliwie skutku obietnic prezesa.

A tymczasem na ułożonych już podwalinach wznosiły się stupy i szkielet karczmy coraz widoczniej rysował się w oczach panów Smyczkowskich; gorzelnia rosła jak na drożdżach i kocioł ogromny już wmurowywano; kuźnia pokrywała się dachem, z którego wyłaził komin, mający wyrzucać iskry na oborę pani Biruckiej; a owce beczały w wieczór, beczały w nocy i rano, tak że oczy pani Płachciny pobladyły od bezsenności, a twarze panien Płachcianek straciły czerstwość od braku świeżego powietrza.

Poznali wówczas wszyscy, że prezes z nich sobie żartował i krzyk powszechny na jaśnie wielmożnego dobroczyńcę powstał w Czaplincach. Powiększyła się ta wrzawa, a razem trwoga ogarnęła wszystkich, gdy jednego dnia Mortko, ów poczciwy i usłużny Mortko, obszedł wszystkie domy, pokazał każdemu długi rejestr i prosił o pieniądze. Wszędzie mu naturalnie odpowiedziano, że nie ma, bo u kogóż są pieniądze na przednówku, na wiosnę, gdy w polu dopiero nadzieja? Żyd pokiwał głową, westchnął, że mu bardzo potrzeba; ale wreszcie, biorąc na rozum tłumaczenia się i eksplikacje ¹⁾ swoich dłużników, wy dobył rewersiki każdego, zsumował cały dług, przyłożył do tej sumy dziesiąty procent, i podając każdemu walorowy papier, żądał, aby mu każdy wydał formalny weksel z terminem trzymiesięcznym. Kontenci, że się tak niewielkim kosztem zbyć mo-

1) *Eksplikacje*: wyjaśnienia

gli żyda — bo coż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze dostarczają papieru — wszyscy wypełnili żądanie Mortka, który kłaniając się grzecznie i zapytując, czy jeszcze czego nie trzeba, zdał wszystkie uprzednie rewersiki i poszedł.

We dwa dni potem z takimiż, tylko jeszcze dłuższymi re-
testrami i z większą układnością i grzecznością, zjawił się Szlo-
ma. Gdy mu podobnie odpowiedziano, że pieniędzy nie ma,
zsumował także rewersiki, a ponieważ znajdowały się i trzech-
letnie, przydał do całej sumy dwudziesty procent, i podając
każdemu walorowy papier, prosił o weksel. Trudno się było
wymawiać i wykręcać, chociaż Szloma krótszy jeszcze nazna-
czył termin; wiedziano bowiem, że Szloma nie żartuje, że ze
wszystkimi urzędnikami w przyjaźni, że, jak się uprze, to za
bezcen weźmie remanenta ¹⁾. Każdy zatem chwycił się podobne-
go środka odczepienia się od żyda, tym bardziej, że środek był
łatwy — bo coż to kosztuje wydać weksel, kiedy jeszcze do-
starczają papieru. Zrobili więc wszyscy czego żądał. Szloma
składał w pugilaresie czysty i elegancki weksel do weksla,
zdierał wszystkie rewersiki i z uśmiechem i godnością podając
piękną swą rękę każdemu z tych panów, kłaniał się i wycho-
dził.

W tydzień potem, gdy wszyscy zebrali się na śniadaniu do
pana Płachty, ponieważ był to jeden moment komilfo, owce bo-
wiem znajdowały się w polu i nie beczwały, gdy cała kompania
wykrzykiwała na prezesa, a ten i ów podochocony zaczynał
drwić z Mortka i ze Szlomy, których się tak tanim kosztem po-
zbyli, zjechał na dziedziniec posłaniec prezesa, który, dowie-
dziawszy się, że wszyscy panowie znajdują się u pana Płachty,
prosił o pozwolenie wnijsia, i gdy wszedł, wyjął ze swojej sum-
ki ²⁾ z dziesięć listów jednostajnej formy i wielkości, rozdał je
wszystkie, a gdy przekonał się, że każdy ma w rękę, co do niego
było adresowane, ukłonił się i wyszedł.

¹⁾ *Remanenta* — remanent; pozostałość (od łac. *remaneret* tu mowa
o martwym inwentarzu gospodarczym).

²⁾ *Sumka*: torba podróżna (z rusk.).

Spojrzeni po sobie panowie i jakoś leniwo brali się do odpieczętowania. Pierwszy pan Skrętski, jako człowiek żywy, choć wysoki i chudy, zdecydował się, rozerwał kopertę, i gdy przeczytał, podniósł list do góry i, trzęsąc nim, zawołał: — A, to szelma! — na ten głos wszyscy rzucili się do kopert, przeczytali, i wkrótce taka sama klątwa z różnymi modyfikacjami i przydatkami rozległa się po pokoju. Gdy skonfrontowali ¹⁾ potem swoje listy, przekonali się, że wszystkie były jednej treści, słowo w słowo zawierały to samo, jedną i tą samą ręką były pisane. Cyfry tylko, jak najstaranniej wykaligrafowane, były różne u każdego. Tak zaś brzmiały te odezwy: „Wielmożny mości dobrodzieju! z okazji zbliżającego się terminu wypłaty należącego mi długu, w moc weksla wydanego dnia.... grudnia 1838 roku, oraz przyjąwszy od Mortka i Szlomy, jako gotowe pieniądze za arendę, której z przyczyny nieuiszczenia się wielmożnego pana dobrodzieja nie mieli czym zapłacić, przyjąwszy, mówię, za gotowe pieniądze weksle wielmożnego pana dobrodzieja, wyżej rzeczonym żydom dnia tego i tego wydane, mam honor oświadczyć, że potrzebując gwałtownie pieniędzy, czekać tylko mogę do dnia i godziny oznaczonej w wyżej rzeczonych wekslach; po upłynieniu których, jeżeli nie otrzymam zadośćuczynienia, zmuszonym będę udać się pod opiekę praw i sądownie poszukiwać swojej własności. Spodziewam się i ufam, że wielmożny pan dobrodziej uwolnisz mię od tego kroku, do którego wyżej rzeczony gwałtowne moje potrzeby zmuszą mnie i przywiodą niezawodnie. Mam honor być z najgłębszym uszanowaniem i serdeczną życzliwością wielmożnego pana dobrodzieja najniższym sługą“.

Opadły ręce naszym panom. Zasiadli w kółko na krzesłach, każdy ze swoim listem w ręku. Siedzieli tak długo w milczeniu, w milczeniu poważnym i uroczystym, jak niegdyś owi senatorowie rzymscy na krzesłach kurulnych ²⁾, gdy oczekiwali Gallów.

1) *Skonfrontowali* — skonfrontować, tu: zestawić, porównać (z fac.).

2) *Kurulnych*: krzesło kurulne było w starożytnym Rzymie krzesłem honorowym królów, później niektórych wysokich dostojników państwowych.

XIII

Externus timor maximum concordiae vinculum¹⁾, powiedział stary Liwiusz. Wieśka to prawda rzymskiego historyka nawet i do Czaplinców tą razą zastosować się dała. Ustały gniewy, zaczęły się schadzki, odwiedziny, wzajemne naradzanie się, ściskanie rąk, a nade wszystko częste zachodzenie i wzajemne zapraszania się do Mortka, który wytrzymałszy pierwszy wybuch za ustąpienie swoich weksłów prezesowi, zyskał znowu względy i ufność, dawanem, jak pierwej, na kredyt. Gdy raz panowie Smyczkowscy, pan Skrętski i pan Zarzycki zeszli się u niego, żyd, korzystając z tej zręczności, podał im myśl, aby części swe w Czaplincach odsprzedali prezesowi, dodając ze znaczącym uśmiechem i kiwaniem głowy, że tym tylko sposobem pozbędą się biedy. Wtenczas otworzyły się im oczy. Poznali, że Mortko był kreaturą i agentem prezesa, i obszedłszy wszystkich braci, postanowili zrobić formalny związek i wspólnymi siłami opierać się tak zgubnym zamachom. Zebrali się więc wszyscy u pana Płachty. Pan Skrętski objawił swoje myśli, wyłożył całą chytrą postępowania prezesa, przypomniał jego sposoby z ową wdową w Żurawce, mówił z ogniem o karczmie, która się wznosiła przy samej bramie pana Remigiusza, o gorzelnii, od z ową wdową w Żórawce, mówił z ogniem o karczmie, która się oborę pani Biruckiej, i o tej nieszczęśliwej owczarni, od której pani Płachcina miała dostać suchot. Dalej wyłożył całą piekiel-

¹⁾ Trwoga przed nieprzyjacielem zewnętrznym jest najsilniejszą spójnią.

ną chytrą, z jaką na ich zgubę nastawiony był Mortko; już od dawnego czasu, z poduszczenia prezesa, czyhał na nich Szłoma; jak nareszcie ten sam prezes ze zdradzieckim przymileniem wciągnął ich w swoje sidła, pożyczając z taką łatwością tak wielkie sumy i dostarczając nawet walorowego papieru. Jasną jak na dłoni wyłożył potem mówca cały plan prezesa i jego nieustanne dążenia do owładnięcia ich majątkami. — Chce nas wydziedziczyć, chce z torbami puścić! — wołał z zapalem, powstawszy z miejsca i bijąc ręką o stół, że aż się okna trzęsły. — Czyż na to panowie pozwolicie? czyż nam nie stanie dosyć sił dosyć energii, aby się temu oprzeć? Prawda, winniśmy wiele, czasy złe i dochodów nie ma; ale czyż nie możemy sprzedać naszego zboża na gruncie, kiedy się tak pięknie zieleni? czy nie możemy pozbyć się wszystkiego, co niepotrzebne, co zbytek? Będziem chodzić piechoto, spać na sianie, odziewać siebie i żony nasze płótnem, karmić się na koniec suchym chlebem, byłby prezes nie triumfował, byleśmy nie byli zmuszeni wyzuwać się ze swojej własności. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — krzyknęli wszyscy.

— Przyrzeczmyż sobie jedność, wspólne działanie, niezłomnie żadnej ofiary. bo tu idzie o dach, który okrywa nasze żony i dzieci...

— Przyrzekamy, przyrzekamy! — zawołali i wszystkie ręce splotły się węzłem jedności, przyjaźni i zgody.

— A teraz przystąpmy do wybrania prezesa naszego związku — rzekł pan Skrętski, czerwieniąc się i spuszczać oczy skromnie, bo się spodziewał, że jednogłośnie okrzykniętym zostanie. Wszakże oszukał się w swych nadziejach czapliniecki Cycero. Chociaż wszyscy słuchali jego filipiki¹⁾ z zajęciem i aplaudowali²⁾ jego wymowie, nikt się jednak nie odezwał. Zaczzerwieniła się znowu twarz pana Skrętskiego, ale już nie ową skromnością oczekiwania wyboru, lecz gniewem, gdy pierwszy pan Zarzycki, a za nim pan Cepowski, którzy przy tej okazji

1) *Filipika*: mowa gwałtowna przeciwko komuś wymierzona

2) *Aplaudowali*: oklaskiwali.

przypomnieli sobie swoje gęsi i prosięta, zaproponowali pana Płachtę. Tu znowu okazał jawną opozycję pan Birucki. Przypomniawszy sobie żonę i wyobraziwszy sobie to piekło, jakie by miał w domu, gdyby się na takie wyniesienie pana Płachty zgodził, zaproponował pana Remigiusza. Pokręcił węża pan Remigiusz z lewej strony, co zwykle czynił, gdy był kontent, i spojrzął na brata, aby wybór jego poparł. Ale pan Paweł, będąc aż nadto przekonany, że miał więcej rozumu, chociaż brat lepiej grał na skrzypcach, niż on na klarnecie, że zatem był godniejszym do piastowania takiej godności, zdziwił się, czemu wybór nie padł na niego, i zmarszczywszy brwi, pokręcił węża z prawej strony. Postrzegł to pan Remigiusz, i nie spodziewając się, że się utrzyma, kiedy go nawet brat opuszcza, zrzekł się powierzonego sobie urzędu i zaproponował znowu pana Płachtę. Tak więc po wielu krzykach, po zaciętych debatach i sporach, w których już przychodziło do zerwania całego związku, za pośrednictwem pana Jakuba, który się w połowie sesji zjawił i melodyjnym swym głosem opanował serca i gniewy złagodził, wybrano nareszcie znaczną większością pana Płachtę. W nagrodę zaś tak czynnego udziału, jaki miał pan Jakub w szczęśliwym dojściu do skutku zbawiennego dzieła, a bardziej z tego względu, że jako syn Muz, zdolniejszym był do pióra od innych, jednomyślnie obrany był sekretarzem związku.

Wtenczas otworzyły się drzwi; pani Płachcina, na której twarzy odbijał się nowy lustr, który padał na całą rodzinę, weszła otoczona córkami i pierwsza powinszowała mężowi. Za nią wszedł Zorż w liberji i trzymał tacę, na której był kielich i butelka z winem. Pierwsza pani Płachcina wypija zdrowie męża i kolej poszła rzędem. Pili potem zdrowie pani prezesowej, panien prezesówien i zdrowie sekretarza, a gdy podano więcej butelek, zdrowie każdego z członków związku z osobna, potem zdrowie całego związku w ogólności, potem zdrowie. Czaplinc; nareszcie pan Birucki, zapomniawszy o żonie i świecie, ditto¹⁾ i na kolanach wniósł zdrowie prezesa związku. Wszy-

1) Ditto: to samo, jak wyżej.

scy po kolei wypili klęcząc zdrowie pana Płachty a potem krzyknawszy, aby podano więcej kielichów, wszyscy klęcząc, ściskając się, całując i płacząc, wypili zdrowie: kochajmy się!

Nazajutrz, gdy każdy przypomniał sobie, co się wczoraj stało, i opowiadał żonie całą kolej wypadków, w miarę tego jak mu się rozjaśniło w głowie, wszedł pan Jakub do pana Skrętskiego i z polecenia prezesa objawił mu, że się mają oba udać do pana Starzyckiego w deputacji i zaprosić go do związku.

Gdy stanęli pod tym dachem cichym i spokojnym i przed człowiekiem poważnym, którego wzrok przenikliwy padał na nich z pewnym rodzajem wyższości, pan Skrętski cokolwiek się zmieszał i nie wiedział od czego zacząć. Ale nareszcie rozgądał się i ze zwykłą sobie krzykliwością rzecz poselstwa swego wyłożywszy, cały wypadek dnia wczorajszego opowiedziawszy, do związku przeciw zamachom prezesa w imieniu wszystkich i pana Starzyckiego zapraszał. Uśmiech jakiś przebiegał po ustach poważnego człowieka, a za nim nastąpiło krótkie, ale stanowcze odmówienie.

— Czyż pan myślisz — zawołał pan Skrętski — że on pana pożałuje dlatego, że panu baki świeci i kłania się? To filut jakich jeszcze nie było.

— Prezesa znam dobrze — odpowiedział pan Starzycki — zamiarów jego domyślam się, a co będzie, tego nie wiem. Żyję pod opieką praw i pod opieką Boga, wierząc w skuteczność pierwszych i sprawiedliwość Opatrzności. Pewny zatem jestem, że jeżeli sam w dół nie wliżę, nikt mię weń nie wepchnie.

— A, obaczmy — rzekł pan Skrętski, przygryzając wargi.

— Naturalnie, jeżeli żyć będziemy — odpowiedział pan Starzycki.

— Więc nam pan stanowczo odmawiasz?

— Odmawiam — odpowiedział — i dziwię się nawet, że panowie znając mój sposób życia i mój sposób myślenia, przychodzą z taką propozycją.

— I nawet słowem, jeżeli nie czynem, nie zechcesz porządzić braciom i sąsiadom? — rzekł pan Skrętski.

— Każdy najlepiej radzi sobie sam — odpowiedział — bo każdy za siebie odpowiada. Ale jeżeli panowie chcecie..

— Powiedz pan, nie zatrzymuj się. My wiemy, żeś pan człowiek myślący i z doświadczeniem. Cóż pan nam radzisz?

— Radzę panom — odpowiedział — abyście tą piękną modlitwę pacierza: „Daj nam pamięć dobrą, rozum dobry, bojaźń boską, miłość ludzką“, którą odmawiacie zapewne po raz i bez uwagi, odmawiali po trzy razy i z zastanowieniem się nad jej głęboką mądrością.

— I więcej nic? — zapytał pan Skrętski, spojrzawszy z szyderstwem.

— Jeszcze radzę panom, abyście co dzień rano i w wieczór przypartywali się tym dwóm palcom lewej ręki, z których jeden dłuższy, a drugi krótszy.

I na cóż to? — zapytał z gniewem pan Skrętski?

— Na to — odpowiedział — abyście panowie pamiętali, że ten dłuższy powinien oznaczać waszą *perceptę*¹⁾, ale ten krótszy wasz *ekspens*. Więcej już panom nic nie mam do powiedzenia.

Pan Skrętski odwrócił się z pogardą i wyszedł, a gdy byli za bramą, zawołał:

— To gałgan, egoista, bratać się chce z wielkim panem. Zapłaci on mu za to.

— Może spodziewa się jeszcze, że prezes za synka jego córkę swą wyda — rzekł pan Jakub. — Pani Włodzimierzowa mi o tym mówiła — a co?

— Dureń! — krzyknął pan Skrętski — da on mu figę, nie córkę! — i poszli do pana Płachty zdać sprawę ze skutków deputacji. Pan Płachta, jako dyplomata, nie łajał pana Starzyckiego; nie hałasował wcale, ale zrobiwszy tylko tę uwagę, że nie jest wcale komilfo tak kuso przyjmować deputację, którą on wysłał, i pokazywać jej dwa palce, nazначzył sesję generalną na przyszły wtorek, gdzie miano materię tę roztrząsać i przed-

¹⁾ *Percepta*: dochód, wpływ pieniędzy.

siewziąć stanowczo środki przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi.

Ale w księdze wyroków inaczej było napisane. Właśnie gdy pan Skrętski, upokorzony przyjęciem pana Starzyckiego i zdawszy z niego sprawę, wracał do domu zły i głodny, postrzegł na swoim dziedzińcu cudzego chłopca i dziewczynę, którzy z jego ludźmi szarpali się i ciągnęli do siebie za jedno skrzydło gęsi, którą kobieta państwa Skrętskich trzymała za drugie i wyrwała im z całej mocy. Krzyczała biedna gęś od gwałtownego bólu, krzyczał chłopak i dziewczyna, że to ich gęś, krzyczały kobiety domowe, że ich; pani Placyda, stojąc na ganku otoczona dziećmi, piskliwym głosem powiększała wrzawę, którą pokrył grzmiący głos pana Skrętskiego, wpadającego na tę scenę, jak aktor czynny i straszliwy. Pan Skrętski nie rozsądził tej sprawy, jako niegdyś król Salomon spór dwóch matek, ale kijem który miał w ręku, zaczął grzmocić chłopca i dziewczynę, a poznawszy ich, że to byli ludzie pana Zarzyckiego, podwajał rary, zachęcając, aby ich połowę oddali swemu panu. Gdy biedni ludzie zbici i złajani, uciekli, wyrzekłszy się swojej gęsi, zanieśiono ją do kuchni i, żeby się nie męczyła, zarżnięto.

Wypadek ten ważny za sobą pociągnął skutki. Pan Zarzycki, przyprowadzony do ostatniej cierpliwości, wyszedłszy wraz z synem na ganek, zaczął łajać i wymyślać na pana Skrętskiego. Usłyszawszy to pan Skrętski, ze swojej strony wyszedł i wybuch gniewu był tym okropniejszy, że długo pokrywana i tajona zawziętość otworzyła sobie nareszcie krater, i z płomieniami, dymem, i lawą wyrzuciła się w powietrze. Nareszcie pan Zarzycki pogroził panu Skrętskiemu śledztwem i kazał natychmiast synowi osiodłać konia i udać się do stanowego¹⁾ Wrócił pan Skrętski do pokoju, sapał i zżymał się, kłął i krzyczał, aż nareszcie, zbliżywszy się do swego stolika, żeby napisać także do stanowego i całą rzecz objaśnić, spostrzegł list prezesa i wielką cyfrę długu najstaranniej wykalfigrafowaną. Przyszła mu myśl światła; uśmiech zemsty przebiegł po jego ustach, po-

1) *Stanowy przystaw*: w Rosji carskiej urzędnik policji ziemskiej

rwał się z miejsca i zawołał: — Chcesz śledztwa? dobrze, będziesz miał tu niejedno śledztwo, ale nie ze mną. Kazał więc natychmiast zaprzęgnąć konie, pojechał do prezesa i pierwszy ów założyciel pamiętnego związku, ów orator gwałtowny i zawzięty, na złość panu Zarzyckiemu część swoją odprzedał. Przyjął go prezes otwartymi rękoma, nie targował się ani chwili, wziął ekspansja na siebie, i jeszcze zaprosił na obiad. Gdy przed-ugodne punkty przy uproszonych świadkach były podpisane, prosił tylko pan Skrętski o pozwolenie pomieszkania przez miesiąc lub dwa i o sekret na takiż termin.

Tegoż samego dnia, bo jak pomyślności tak i klęski lubią się skupiać i spadać razem, pani Birucka wyszła przed wieczorem na ogródek, z którego widać było dziedziniec pani Płachciny. Owce wracające z pola nie pozwalały przechadzać się po ogrodzie i przesiadywać w altanie, musiała więc pani Płachcina z córkami używać gdzieindziej świeżego powietrza. Dostąpiwszy tak wysokiej godności w Czaplincach, nie zdejmowała już teraz aksamitnej sukni i beretu, i tak przystrojona przechadzała się po podwórzu. Zabawnym to się pokazało pani Biruckiej do tego stopnia, że się w głos zaśmiała. Obrażona pani Płachcina i przypomniawszy sobie fałszywy przepis na baby i rozmaite ruszania ramionami, zbliżyła się z arystokratycznym chwianiem się ku płotowi i rzekła z powagą:

— Cóż to asanią tak śmiesz?

— Asanią! — zawołała pani Birucka. — Aj! patrzaj, jaka mi wielka pani. — Od słowa do słowa przyszło do ostrych przycinków. Przyszłoby było i do ostrzejszych, tym bardziej, że i panny Płachcianki zaczęły się już odzywać i panny Biruckie także wybiegły, niosąc sukurs matce; ale pani Płachcina nie chcąc kompromitować swojej nowej godności, odwróciła się z powagą i poszła. Wszakże nazajutrz rano, nie wiadomo czy to była swawola panienek, czy wzajemny rozkaz matek, na bramie pani Płachciny napisane było wielkimi literami słowo: **O w c z a r n i a**, a na bramie pani Biruckiej słowo: **K u ż n i a**.

Tu już wszelkie względy ustały i eksplozja gniewu, zapalczywości i zemsty rozległa się, jak huk burzy. Wróciwszy ze

swojego ogródka pani Birucka, gdzie się od ostatnich skłóciła z panią Płachciną, napadła pozostałym jeszcze zapasem furii na męża. Nie chciała ani chwili zostać w sąsiedztwie swojej nieprzyjaciółki, i kazawszy natychmiast zaprzęgać i zabrawszy z sobą pana Biruckiego i potrzebne dokumenta, pojechała do prezesa, któremu, także na złość swojej sąsiadce, część swoją odprzedała. We dwa dni potem pan Remigiusz Smyczkowski, położwszy przed sobą list prezesa, zaczął obliczać wszystko, co może mieć, obrachowywać sperandę¹⁾ z pola, oceniać remanent, meble, suknie, słowem wszystko, oprócz skrzypiec. Postrzegł, że jeszcze więcej nie dostaje. Posłał więc do żyda, który siedział na ich wspólnej karczmie i od czasu pojawienia się Mortka znacznie tracił, aby mu przyniósł tenutę za ostatni kwartał. Przybiegł żyd przestraszony i oświadczył, że wszystkie pieniądze zabrał pan Paweł. Gniew nadzwyczajny porwał pana Remigiusza. Przypomniał sobie ową haniebną dezercję brata w czasie wyborów, i chcąc tymczasem spędzić złość na tym, kto był pod ręką, wyszturczał żyda, jak śmiał oddać pieniądze bez jego wiedzy, kiedy to karczma wspólna.

— Nu — zawołał żyd — co mnie do tego? Pan Paweł także gniewał się i mówił, że pan jemu z przeszłego kwartału nie dał ani grosza.

— Łzesz! — krzyknął pan Remigiusz — i ten łajdak łże także. Ale poczekajcie, dam ja wam, wypędzę cię, huncwociel!

— Aj waj! co z tego? ja i sam już nie chcę.

— Nie chcesz, nie chcesz, kanalio, a kontrakt, szelmo? a kontrakt?

— To mówiąc trzymał żyda za rękę, i okładając go cybuchem, obracał się z nim w kółko.

Wyrwał się żyd z rąk pana Remigiusza i pobiegł krzycząc do pana Pawła. Ale trafił z deszczu pod rynnę. Pan Paweł wpadł w nadzwyczajną wściekłość na brata, a gdy żyd obraził go jeszcze jakimś słowem, wykropił także żyda i wypędził. Ode-

1) *Speranda*: spodziewany zysk.

brawszy tym sposobem przez prokurację ¹⁾ wielkie ciągi, arendarz dwóch braci zgodnych wracał, płacząc, do domu, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył pana Remigiusza, który zwoławszy na prędce ludzi z toporami, piłami i drągami, kazał karcznię rozbiierać.

— Aj, waj! Co pan robi? — wołał żyd nieszczęśliwy.

— Nie dajecie mi pieniędzy — odpowiedział zimno pan Remigiusz — to ja swoją połowę zabieram. — Dowiedziawszy się o tym pan Paweł zawołał:

— O, kiedy tak, poczekajże, to ja ci zrobię lepiej. — I kazał zaprząć konie, pojechał do prezesa, i na złość bratu część swoją odprzedał.

Tym sposobem prezes był już posiadaczem prawie połowy Czapliniec, a nikt jeszcze o tym nie wiedział, prócz tych, co sprzedali — bo każdy prosił o sekret. Pan Zarzycki tylko nie mógł zmiarkować, co to znaczy, że pan Skrętski, spotkawszy go, ukłonił mu się z umizgiem i ironią. Pani Płachcina zadziwiła się, że pani Birucka, wyszedłszy na ogródek, przybliżyła się umyślnie, aby była lepiej widziana, a gdy pani Płachcina na nią spojrzała, wzięła się za poły i bardzo nisko jej dygnęła. Pan Remigiusz także nie pojmował, dlaczego mu brat nie mówi ani słowa za rozebranie części karczmy, ale przechadza się spokojnie, pali fajkę, pogiąda na niego z uśmiechem i z lewej strony węża pokręca.

Łatwo się czytelnicy domyślą, że wtorek minął, a sesji generalnej nie było. Pogłoski o wzajemnych kłótniach i zatargach najcelniejszych członków związku rozeszły się prędko i nikt z pozostałych nie chciał ryzykować. Widząc to pan Płachta i zważywszy, że zadne środki z prezesem nie pomogą, że mu winien wiele, że żyjąc komilfo, jak nic wprzód nie zebrał, tak i na przyszłość nie zbierze, wziął na sekret żonę i z dyplomatycznym uśmiechem objawił jej, jakiego figla chce zrobić sąsiadom i jak zręcznie pozbędzie się kłopotu. Żona, która także ze

²⁾ *Przez prokurację* — w zastępstwie (odebrał bowiem ciągi, które się raczej należały jednemu bratu od drugiego).

swej strony chciała pozbyć się owiec i pani Biruckiej, rękami i nogami chwyciła się projektu męża. Ułożył się więc o cenę, jaką miał zaproponować, ale że to był dyplomata, porosił żonę o sekret, by myśl jego nie rozleciała się po Czaplińcach, aby go nikt nie uprzedził i ceny nie zbił. Zabrawszy więc potrzebne dokumenta cichaczem, manowcami, niby w zupełnie inną stronę wyjeżdżając udał się do prezesa i na złość sąsiadom część swoją odprzedał.

Gdy te najważniejsze tranzakcje były napisane, podpisane i posłane do akt, wtenczas dopiero prezes podniósł głowę i rzecz cała gruchnęła. Krzyk powstał na zdrajców, ale już było za późno. Każdy z pozostałych miał pod boki prezesa i każdy prędko to uczył. Wszystka woda we wsi była w jego rękach. Pan Starzycki miał tylko sadzawkę pod swoją brzezinką, obfita i rybną, ale ta była starannie ogrodzona, zamknięta i wystarczała tylko dla jego bydła i koni. Do pól, także do sianozęci, wszędzie trzeba się było otrzeć o prezesa, lub się przez jego grunt przedzierać. Wszędzie tymczasem były warty, nigdzie nie puszczano, grabiono, jeżeli co wpadło, i zmaglano do swojej ziemi obchodzić po pół mili i więcej. Zmuszeni taką surowością, przyciśnięci długiem, którego termin ekspirował¹⁾, jedni po drugich zbywali swoje posiadłości, tak, że ledwie lato upłynęło, a już prezes był panem całych Czapliniec, wyjąwszy części pana Starzyckiego.

Cicho było, ale smutno w tym zacnym domu. Brama ciągle była zamknięta, ostrożność największa nakazana, aby nikt z ludzi nie śmiał nogą stanąć na gruncie prezesa, by po nic się nie udawał do żadnego z jego poddanych, aby nie ważył się dopuszczać do żadnego najmniejszego zatargu, najmniejszej kłótni.

Pan Starzycki zrobił się jeszcze bardziej zamyślonym i milczącym, ale uczucie swojego prawa, cierpliwość, którą czerpał

1) *Ekspirował*: kończył się, wygasał.

w rozumie i sumieniu, i rezygnacja, która spływała z nieba do tej duszy szczerze pobożnej, nadawały jakiś dziwny majestat i rozrzewniający wyraz jego twarzy. Patrząc na ten stan syna, dziadzio czasem był do łez wzruszony, czasem zupełnie innych doznawał uczuć: gniewał się, zapalał i zaczynał grozić czereśnią.

XIV

Bał się prezes pana Starzyckiego nie dlatego, aby mu imponowała cnota i rozum, aby miał to przekonanie, że krzywda uczciwemu i niewinnemu człowiekowi zrobiona, czy prędzej czy później odbiera zasłużoną karę; ale po prostu przez wzgląd na córkę, której determinację¹⁾ znał, której miłość widział chociaż udawał, że nic nie postrzega. Postanowił więc ponęta zysku trafić do jego przekonania i posiąść koniecznie i ten kawałek ziemi, który leżał w środku jego obszernej dziedziny i ciągle drażnił jego zdobywcze serce. Chciał naprzód przez Szłomę rozpocząć te negocjacje²⁾, ale Szłoma, z wielkim podziwieniem prezesa, odradzał mu zaczepiać pana Starzyckiego i niczego podjąć się nie chciał. Wysłał więc Mortka i przez niego kazał mu ofiarować po siedemdziesiąt i po siedemdziesiąt pięć dukatów za duszę. Ale pan Starzycki odpowiedział, że ziemi, którą ojciec jego ciężką pracą wysłużył, którą on ulepszył, obrobił i upiększył, na której porodziły się i wychowały jego dzieci, za nic nikomu nie odstąpi. Po niejakiem czasie znów prezes przez jednego z swoich oficjalistów jeszcze korzystniejsze ofiarował warunki, ale taką samą odebrał odpowiedź. Wtenczas, nie zważając już na nic, mając, jak mówił, spokojne sumienie, wziął się do zwyczajnych środków. Kłął go więc szpilkami drobnych przykrości i pretensyj, ale pan Starzycki znosił wszystko stale; szkody drobne, bez których nie mogło

1) *Determinacja*: zdecydowanie.

2) *Negocjacje*: prowadzenie układów.

się obejść wynagradzał pierwszy, o swoje się nie upominał, i nie okazywał najmniejszego śladu niecierpliwości. Zato dziadzio zżymał się, gniewał, unosił i nieraz groził czereśnią.

Dowiedział się o tym prezes, i uważając to za słabą stronę tej fortecy, której zdobyć nie mógł i która kapitulować nie chciała, postanowił z tej strony atak przypuścić. Poznawszy dobrze charakter, żywość i słabość starca, stosownie do tego plan swój ułożył.

Z lewej strony ogrodu pana Starzyckiego był ogród warzywny, niegdyś pana Cepowskiego. Obejrząwszy pozycję, prezes przekonał się, że zaraz za płotem była wielka szparagarnia, którą dziadzio sam założył, sam pielęgnował i z której sam na wiosnę wyrzynał szparagi; że dalej był duży plac, zasadzony najpiękniejszymi truskawkami, z których najpierwsze niósł synowej; że dalej była szkółka szczepów najrzadszych i najstarszanniej utrzymana; słowem, że cały ogród był wzorowo urządzony, wszędzie czym użytecznym zajęty i jak ulubione dziecko czysty i wypielęgnowany. To było dosyć dla prezesa. Ogród ów przyległy zamienił na oborę i tam kazał trzymać wszystkie folwarczne świnię.

Krew uderzyła do głowy zacnego starca, gdy to spostrzegł. Chwyił za czereśnię, ale powoli, powoli zreflektował się i uspokoił. Całą noc jednak spać nie mógł, raz przez bojaźń o swoją pracę, drugi raz przez tę myśl, że to zrobiono umyślnie, na złość, na złość im, którzy nikomu krzywdy nie zrobili. Na drugi dzień jednak raniuteńko zapowiedział pastuchom, że jeżeli nie będą pilnować i którakolwiek świnia wliże do ogrodu, to naprzód świnię zastrzeli, a im kości połamie. Pogrożka ta doszła do prezesa i powiększyła jego apetyt. Tydzień przeszedł spokojnie. Ale jednego dnia o świcie posłyszał dziadzio jakieś gruchanie w ogrodzie. Zerwał się, ubrał się co prędzej, chwycił czereśnię i gdy wyszedł, postrzegł z dziesiątek ogromnych świń, z całą progeniturą¹⁾ córek i synków rozkoszujących po szparagach, podrzucających w górę truskawki z korzeniami i bu-

1) *Progenitura*: potomstwo

szujących w szkółce dziadziowej. Pastuchy, postrzegłszy dziadzia, weszli do ogrodu n.by wypędzać. Wtenczas już dziadzio nie był panem s.ebie, rzucił czereśnię i jednego z pastuchów ugodził w plecy tak siln.e, że ten upadł na ziemię. Przypadł do niego starzec, zaczął go b.ć, szarpać za włosy, i opamiętał się dopiero wtedy, gdy chłop wywrócił się na wznak, oczy w słup postawił, i cały krwią się oblał. Wtenczas dziadzio odskoczył. załamał ręce, wspomn.awszy na te przykrości i ambaras, jakie sprawi synowi. Nie zważał już na św.inie, które nie przestały ryc jego szparagarnią i stojąc tak na miejscu z zakrytą twarzą nad konającym czy zemdlonym człowiekiem, starzec prawie osiemdziesięcioletni zapłakał. Przybiegł syn, zbiegli się domownicy, zaczęto odlewać i ratować człowieka, który po długich zachodach, nac'eraniu wodą, octem i spirytusem, spoj.rzał nareszcie przytomniej, westchnął i zaczął przychodzić do siebie.

Ale i ze strony prezesa był już tam ekonom, był Mordko i wielu innych ludzi, przygotowanych widać na świadków. Gdy chłop przyszedł do sieb.e, rozebrano go i opatrzone znaki. Ki.wał głową ekonom, ki.wał Mortko, ki.wali ludz.e. Wyniesiono z wielką ceremonią pastucha, który czy iść n'e mógł, czy udawał, że nie może; a pan ekonom wyprawił natychmiast posłańco do prezesa, a bryczkę i trzy kon'e posłał po sprawnika i lekarza powiatowego dia zrobienia formalnego śledztwa. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie był zacny starzec, zagrożony kryminalnym procesem. Najrozmaitsze uczuc'ia go miotały; a ta myśl, że śc.ągnął taki kłopot i wrzawę na cichy i spokojny dom syna, że starą żonę, zgryzioną tym wypadkiem wprawił w chorobę i zaprowadził do łóżka, że stał się ofiarą z'mnej i wyrachowanej złości egoisty bez czucia, przyprowadzała go do rozpacz, rozdzierającej serca obecnych. Szczęściem, że tego samego wieczora przyjechała Anulka i przywiozła starcowi zwa.wego i śmiejącego się prawnuka. Złagodził się cokolwiek jego ból i sen na kilka godzin pokrzepił jego siły.

Nazajutrz przyjechali sprawnik i lekarz powiatowy i rozpoczęło się śledztwo. Chłop wprawdzie miał się nieźle i żadne

niebezpieczeństwo mu nie groziło, ale z miny i mowy tych panów poznał pan Starzycki, że rzecz była naprzód ukartowana, jak to śledztwo przeprowadzone być miało. Wtenczas strwożył się mocno i zasmucił głęboko niebezpieczeństwem ojca, którego kochał nad wszystko. Nie namyślając się długo, zdecydował się pan Starzycki pojechać do prezesa i dla oszczędzenia zgryzot i wstydu starcowi, którego czcił, ugiąć się przed człowiekiem złym, którego nie szacował.

Anulka, dowiedzawszy się o zamiarze ojca, napisała list do panny Kamilli pełen rozpaczny. Opisała jej całe zdarzenie, wystawiła stan drogiego dziadka, odmalowała smutek, boleść, przestach, jaki padł na cały ich dom, dotąd tak ciche i spokojny, wspomniła o chorobie babki stąd wynikłej i o jej rozpaczny, że może umrzeć nie pobłogosławiwszy swego Józia; napomknęła, jak mogła najdelikatniej o niesprawiedliwości prezesa, o przygotowaniu umyślnym całego tego nieszczęścia, słowem, każdy jej wyraz był silnym, rozdzierającym, mogącym poruszyć nawet obojętną osobę. Łatwo sobie wystawić, do jakiego stanu miał przyprowadzić pannę Kamillę, którą rzecz ta pod tak rozmaitymi względami interesowała.

Anulka tajemnie oddała list ten człowiekowi, jadącemu z ojcem i poleciła mu, aby koniecznie oddał pannie do rąk. Było to dosyć trudno, ale przypadek pomógł.

Pan Starzycki przyjechawszy, poszedł prosto do prezesa. Przechodząc przez salę, spotkał pannę Kamillę; przywitał ją z uszanowaniem, popatrzył przez chwilę z dziwnym jakimś wyrazem przywiązania i litości i poszedł dalej. Zmieszana, rozrzewniona, rozdartą bolesnymi wspomnieniami, nie mogła słowa wymówić. Usiadła biedna, załamała ręce i łzy puściły się jej z oczu. Po kilkunastu minutach, przyszedłszy cokolwiek do siebie, zajrzała w okno, a obaczywszy powóz, wyszła, żeby choć z człowiekiem pomówić o tych, których tak kochała. Wtenczas furman zszedł z kozła i poznawszy pannę Kamillę, oddał list Anulki. Chwyciła go co prędzej i pobiegła do swego pokoju.

Prezes przyjął pana Starzyckiego z miłą pobożną i układną. Przechyliwszy głowę i puszczając wielkimi palcami najpowniejszego młynka, zawołał:

— Jezus Maria! kto by się spodziewał takiego nieszczęścia? Można się rozgniewać i unieść; ja jestem sam prędko; ale żeby człowiek w takim wieku tak się zapomniał? Biedny chłop umrze, jak mi mówiono.

— Ja sędzę, że panu prezesowi mówiono, że nie umrze — odpowiedział z powagą pan Starzycki.

— Ach, nie; mówiono, mówiono, że umrze.

— Kto to mówił, to skłamał — rzekł czerwieniąc się cokolwiek zacny człowiek, oburzony widokiem takiej hipokryzji.

— Było za co się rozgniewać, to prawda — mówił dalej prezes; — ludzie starzy przywiązują się szczególnie do każdej trawki, którą wypielegnują. Ja sam lubię ogród, a szczególnie szparagi; ale żebym się tak uniósł, nigdy. Sumienie przede wszystkim. Życie człowieka, stworzonego na obraz i podobieństwo Boże, powinno być dla nas rzeczą świętą i grzeszy, poddaje się całej surowości praw, kto się na nie targą, jeszcze za co? za trawkę! Jezus Maria! czy to się godzi?

— Panie prezesie! — rzekł z mocą, wyprowadzony z cierpliwości pan Starzycki — ja tu przyszedłem do pana z prośbą o umorzenie tej sprawy, która, jak przez pana przygotowana, skombinowana i wszczęta, tak i przez pana umorzona być może, Tymczasem pan przybrałeś ton kaznodziei i moralizujesz mnie. Nie mam ja pretensji do doskonałości, ale gdybyśmy zamienili role i gdybym ja zaczął mówić, miałbym daleko więcej do powiedzenia. O tym pan wiesz dobrze.

Przygryzł wargi prezes, zaczerwienił się, potem, zaczawszy prędzej kręcić palcami, zapytał:

— Czy śledztwo już skończone?

— Śledztwo jeszcze nie skończone — odpowiedział pan Starzycki — bo widać, że ci panowie jeszcze nie wiedzą dobrze, jak pan chcesz, aby skończonym było.

— Jezus Maria! — odpowiedział prezes — cóż tu już ode mnie zależy? Wszyscy żyjemy pod prawem, prawo nami rządzi, a nie my nim. Ja się do tego mieszać nie mogę i tym panom dyktować, o co mają zapytywać, jak mają widzieć rany i stan

umierającego. To od nich zależy dać zdanie, czy jest kryminal, czy nie.

— Uniesienie gniewu — odpowiedział pan Starzycki — jest zapewne nagannym, bo skutkiem jego może być zbrodnia, choć mimowolna. Ale kto zwolna przygotowuje, aby ten gniew wybuchnął i z zimną krwią naraża dwóch ludzi, jednego na śmierć i kalectwo, a drugiego na zbrodnię, ten nie wiem, czym jest i czy mu wolno mówić o kryminale.

— Nie rozumiem pana — odpowiedział prezes.

— Rozumiesz mnie pan bardzo dobrze, bo ja zawsze mówię, co myślę, a zatem tłumaczę się jasno. Ale prosiłem pana; ale ciągnij mnie pan za język, abym nie powiedział więcej, niż chciałem; bo powtarzam panu, że mam dużo do powiedzenia i po wtóre, że przyszedłem tu nie z kazaniem, które byłoby grochem na ścianę, ale z prośbą.

Zagryzł znowu wargi prezes, i jeszcze prędzej kręcąc palcami, zapytał: — O cóż idzie?

— Czy chcesz pan, czy nie chcesz umorzyć tę sprawę? Gdybym to ja zrobił lub mój syn, bądź pan pewnym, żebym się a pana ani pokazał. Znalazłbym sposoby bronięcia się, jak i znajduję i teraz, jeśli się pan będziesz upierał. Ale ponieważ tu idzie o starca prawie osiemdziesięcioletniego, ponieważ od tego zależy zdrowie, a może i życie mojej matki, dlatego przychodzę i proszę pana, i proszę usilnie, abys tę rzecz kazał skończyć zgodzeniem chłopca.

— Jezus Maria! czybym ja nie rad? Ale jeżeli umrze?... Pan się uśmiechasz... daj Boże! daj Boże! żeby nie umarł. Zapewne względy to ważne: stary ojciec, matka sędziwa! Z jednej strony wstyd, a tam może śmierć. Jezus Maria! czyż by się serce nie wzruszyło? a tym bardziej moje. Nie mówię ja, żebym mógł mieć jakiś wpływ na tych panów urzędników; niech mię Bóg uchwowa, ludzi takich sprowadzać z drogi; ale mógłbym wpłynąć na mojego biednego chłopca dobrą radą, wreszcie i pogrózką. Bo któż winien, jeżeli nie on, że nie patrzył, jak mu było przykazane? Ale cóż? ci nieszczęśliwi ludzie mówią mi zawsze, że takiego rodzaju sprawy będą ciągle, że temu ni-

gdy nie będzie końca, póki cudzy poddani i obcy panowie będą na wsi. Dlatego, jeżeli pan przyjmiesz pewien warunek...

— Jedziesz pan przez Jampol i Ostróg do Czapliniec — rzekł pan Starzycki, uśmiechając się z politowaniem, a potem z twarzą poważną i surową dodał: — że pan tak krętą ścieżką prowadzisz rozmowę, tego panu nie mam bardzo za złe. Ta egzercycja¹⁾ może pana bawić jako dowód rozumu, a jeżeli doprowadza do pożądanego rezultatu, daje panu tę pociechę, żeś rozmawiał z głupim. Ale że pan tak z daleka przygotowujesz także wypadki, i niby niechący kopiesz jamy na drodze ludzi uczciwych, to coś wężej niż zabawka, to występek.

— A więc pan chcesz żebym mówił wprost — rzekł prezes zupełnie innym tonem i głosem. — Otóż panu powiem, że mogę umorzyć tę brudną sprawę, ale pod pewną kondycją²⁾: dodaje oraz, że to jest kondycja sine qua non...³⁾

Tylko co chciał prezes wymówić to, czego się pan Starzycki od dawna domyślał, gdy nagle drzwi się otworzyły i weszła panna Kamilla z zapłakanymi oczyma, z surową twarzą i z listem w ręku.

Prezes zbladł cokolwiek zobaczywszy córkę. Rączki jego czem prędzej i jakby machinalnie złożyły się na brzuchu i palce zaczęły się obracać. Panna Kamilla spojrzała na pana Starzyckiego, który powstał z wyrazem pełnym czułości i czci, i rzekła drżącym głosem:

— Drogi papo! pan Starzycki przyjechał tu prosić cię, abys tę nieszczęśliwą sprawę kazał umorzyć. Dowiedziałam się o tym zdarzeniu z tego listu, i proszę cię także, kochany papo, niech się to skończy zagodzeniem chłopca.

— Nibyz to chłop nie człowiek — rzekł prezes, wróćwszy znowu do tonu słodkiego i pobożnego — że go można skaleczyć, a potem zagodzić.

— Wpuszczając szkodę do cudzej własności — odpowiedziała — i stając na drodze człowieka uczciwego, ale prędkiego,

1) *Egzercycja*: ćwiczenie.

2) *Kondycja*: warunek.

3) bez której nie... (załatwimy sprawy — trzeba się domyślić).

wiedział na co się naraża, i nie zrobił tego zapewne bez obiecanej nagrody. Można mu tę nagrodę podwoić.

— A jeżeli umrze? — rzekł prezes przygryzając wargi.

— Nie umrze pewnie — odpowiedziała z intencją. — I jak mu kazano lec i mdleć pod uderzeniami, tak, gdy mu każą wstać z śm'ertelnej pościeli, upewniam cię, drogi papo, że wstanie i pójdzie.

— Jezus Maria! jakim ty tonem mówisz to — rzekł prezes przechylając głowę.

— Mówię — odpowiedziała — tonem kobiety, której serce pęka od żalu i której czoło pokrywa się wstydem.

— Pięknie to jest, moje dziecię — odpowiedział — litować się nad cudzą biedą, a nawet nad cudzą nieroztropnością, która do niej doprowadza; ale nie widzę, dlaczego by serce twoje pękać miało, że człowiek stary zapomniał się i dlaczego byś się wstydzić miała, że za swój błąd i uniesienie musi pokutować. To dla ciebie sprawa obca... idź sobie.

— O, mój ojczy! — odpowiedziała przystępując bliżej — jak to źle, że mię zmuszasz powiedzieć ci to, co ci teraz powiem. Sprawa ta nie jest mi obcą. Pokój tych zacnych ludzi obchodzi mnie więcej, niż mój własny, bo ich szanuję i kocham, bo to są rodzice tego, którego mi Bóg nazaczył za towarzysza w moim życiu, a którego mi ojczy dać nie chcesz, sądząc w grzesznej dumie, że wiesz lepiej niż niebo, co mi do szczęścia potrzebne. Dlatego serce moje pęka. Wstydzę się zaś... — Tu umilkła i zakryła sobie twarz obiema rękami.

— Mów, mów! — rzekł zmieszany prezes i nadrabiając miną. — Czego się wstydzisz?

— Wstydzę się — rzekła, podnosząc głowę — wszystkich tych czynności, które się robią w moim imieniu i dla mnie, a których ja nie chcę i nie aprobuję.

— Jezus Mar! — zawołał prezes — czy nie do mnie się to ściąga? i czy nie myślisz mnie sądzić?

— Nie wolno dzieciom sądzić rodziców — odpowiedziała z zapalem — ale grzech i rodzicom stawiać dzieci w takim położeniu, że muszą być lub ich współnikami, lub sędziami. Mil-

czałam dotąd, mój ojczel... i potrzeba było takiej bolesnej ostateczności, aby te słowa przedarły się przez moje usta, ale Bóg widzi, ile nocy przepłakałam, ile godzin przepędziłam na kolanach, aby cię niebo natchnęło innymi myślami. Bo nie takie są twoje czynności, mój ojczel, abym się nimi pysznić mogła. I na cóż to wszystko robisz? czy nie dla wzbogacenia mnie, jedynej swojej dziedziczki? Ja nie chcę tych grzesznych bogactw. I tak mam nadto, aby być nieszczęśliwą. Jeżeli umysł twój potrzebuje zajęcia, masz o ścianę marszałka, masz z drugiej strony hrabiego. Z nimi walcz, jeśli cię to bawi. Ale obarczać biednych całą siłą zimnej krwi, rozumu i pieniędzy, korzystać z ich nieuwagi, głupstwa, nieumiarkowania, a nawet szlachetnego gniewu... to nieuczciwe, mój ojczel, i ja umywiłam ręce do wszystkich skutków tych machinacji.

Oparł się prezes o poręcz krzesła i słuchał, przymrużywszy oczy i blady, jak ściana. Postrzegła to panna Kamilla, rzuciła się przed nim na kolana i ręce jego całując, wołała:

— Ojczel ja cię kocham. Bóg widzi moje serce. Uczyniłaś radość prośbie córki, która wyrzekła się szczęścia całego życia, aby ci dowieść, że wolę twą szanuję.

— Idź precz, niewdzięczna dziewczyno! — krzyknął prezes, podnosząc się i drżąc z gniewu. A potem, zwracając się do pana Starzyckiego, dodał z gwałtownością: — Widzisz pan, do czegoście mnie doprowadzili i czujesz to pewnie sam, czy macie teraz jakiegokolwiek prawo do mojego względu. Oświadczam więc wam, że nie doznacie żadnego, że was ścigać będę od dziada do wnuka, że jeden jest tylko środek, którym możecie uniknąć mojej zemsty, bo to jest już zemsta, tak, to wam objawiam jasno i wyraźnie. Jeżeli pan dziś, natychmiast, nie podpiszesz punktów, które oto są już gotowe, jeżeli mi nie dasz na piśmie, że się stąd wybieriecie daleko i że was nigdy oczy moje nie obaczą, jutro ojciec pana poddanym zostanie pod sąd tak kryminalista.

— Nie rób pan tego — rzekła panna Kamilla stanowczo — Ten kawałek ziemi jest panu równie drogim jak i mnie. Zbywaj go nie chcesz, nie możesz i nie powinienes. Pod tym dachem

urodził się ten, którego mnie Bóg naznaczył i którego kochać będę do śmierci. Nikt tam nie powinien mieszkać i nie będzie mieszkać — dodała z mocą — tylko ci, co mu dali życie, co go nauczyli być dobrym i uczciwym; co mu dali rozum i szlachetność; co mu przykazali nie korzystać ze słabości kobiety kochającej, której byłaby pewnie uległa, gdyby tylko był pisał słowo. Ojczel ja cię jeszcze raz proszę, napisz do tych panów urzędników, aby sobie pojechali; oddaj zapomnieniu tę sprawę i zostaw tych szanownych ludzi w pokoju. Pod tym tylko warunkiem powtarzam ci obietnicę i przysięgam na cienie mojej matki, że nie będę żoną pana Józefa Starzyckiego bez twojej woli i pozwolenia.

— A jeśli tego nie zrobię? — krzyknął prezes, drżąc całym z twarzą purpurową od krwi, która uderzyła do jego głowy.

— Jeśli teraz zaraz nie dasz do rąk pana Starzyckiego listu, którego żądam, tej nocy jeszcze, bosa, ucieknę z twego domu; pójdę piechotą na Podole i rzucę się w objęcia tego, który mi stanie za wszystko. Namyśl się, mój ojczu, abyś nie żałował, bo znasz mnie dobrze. Zrobisz, o co proszę, zostanę, nie zrobisz — pójdę, jak Bóg żywy i wielki. I wtenczas do tej remsty, o której mówiłeś, przyłączysz i swoich własnych wnuków.

To powiedziawszy wyszła. Pan Starzycki, przystępując do prezesa, który stał bez ruchu, z podniesioną głową, z opuszczonymi rękoma, których nawet spleść nie był w stanie, rzekł tonem poważnym i perswadującym:

— Panie prezesiel nie wiedz pan swojej własnej córki na pokuszenie i nie przyprowadzaj jej do nieposłuszeństwa. Dostyc masz grzechu, żeś ją zmusił powiedzieć eć ci gorzką prawdę i osądzić tak, jak cię sądzą ludzie, którzy przez ciebie cierpią, i jak cię osądzi Bóg, który to wszystko widzi.

Prezes nie odpowiedział; drżąc i milcząc, napisał list i oddał go panu Starzyckiemu, który skłonił się i wyszedł. Gdy przechodził przez salon, postrzegł tam pannę Kamillę. Siedziała przy stoliku; głowa jej wsparta była na rękę, twarz okropnie blada, a oczy zwrócone ku drzwiom ojcowskiego gabinetu.

W takiej pozycji pełnej rozpacz, i w natężonym oczekiwaniu wypadku, od którego zależeć miało jej niezłomne postanowienie, wyglądała widać wyjścia pana Starzyckiego. Gdy postrzegła pap'er w jego ręku, zawołała:

— Masz pan? o, dzięki Bogu! — potem przystąpiła bliżej, położyła głowę na jego piersiach i mocno płakać zaczęła. Po chwili, utulwszy się cokolwiek, dodała: — Jemu nic pan o tym wszystkim nie p'isz. Rana jego odnowi się; a nam potrzeba wielkiego męstwa. — Po tych słowach zakryła sob'e twarz i poszła powoli do swego pokoju. Patrzył za nią długo, wzruszony do gruntu pan Starzycki i po jego męskiej twarzy, na której tylko głęboka myśl się wyrażała, dwie łzy potoczyły się strumieniem.

XV

Widać, grzech ten wielki, który prezesowi postawił przed oczyma pan Starzycki, dopełnił miary, bo odtąd i sam prezes to uczuł i trwoga jakaś ogarnęła jego serce. Scena ostatnia, którąśmy starali się szczegółowo opisać, o mało że go o śmierć nie przyprowadziła, tak silnie krew wzburzona uderzyła mu do głowy. Skończyło się przecież tylko kilkodniową delirją¹⁾, w której prezes ciągle rzucał się, coś marzył, coś niewyraźnie i bez związku szeptał, dając słyszeć tylko kiedy niekiedy wyrazy: — Jezus Maria! bosa ucieka, Starzycczyzna, osiemdziesiąt lat, kajdany i tp. — Panna Kamilla, która gorzko sobie wyrzucała ten stan ojca, nie odstępowała go na chwilę, otaczała wszelkimi staraniami dziecka, przejętego śmiertelną trwogą, i modliła się w duszy, gdy zaczął marzyć i wymawiał wyrazy, które sumienie do ust jego posyłało, a których rozum, osłabiony i skrępowany gorączką, na dnie serca utrzymać nie mógł. Przyszedł wreszcie prezes do siebie i wrócił powoli do dawnego stanu i dawnych myśli. Ale ufność w dane siły i zręczność utraciwszy, zrobił się smutnym, gniewliwym, rozdrażnionym, tak, że najmniejsza okoliczność, która okazywała, że mu się zaczyna nie udawać, przyprowadzała go do gniewu, rzucała krew do głowy i wprawiała w kilkunastogodzinną gorączkę. Szczególnie ta myśl, że tak dobra okoliczność oczyszczenia Czaplince wymknęła mu się z rąk, nieraz spać mu nie dawała; a wiele razy wracał z tej nowej swej majętności i poglądał na ten dom cichy

1) *Deliria*: majaczenie, obłęd.

ś spokojny, na topole, które stały jak pierwiej przy bramie zamkniętej, na te jasne okna, z których wyglądał pokój, umiarkowanie i owa wyższość, jaką daje rozum, sumienie i wiara. wracał upokorzony, zirytowany i każdą taką przejażdżkę od chorował. Cierpiała jego duma, że nie postawił na swoim, a uważał tę strzechę słomianą jako skałę granitową, o którą się rozbijają jego zamysły; widział z pomiędzy tych drzew wypielegnowanych wychodzącą silną i młodą rękę, która miała zagarnąć wszystko, co zbierał z takim wysileniem rozumu i chytrłości, z taką wielką ekspensą¹⁾ sił i sumienia. Rozmaite szkody coraz większe utwierdzały go w tej myśli, że mu już się nie uda, że tu kres jego powodzeń. W tym czasie spłonęła jego gorzelnia, umarł siostrzeniec, którego miał w zapasie dla postrachu panny Kamilli; potem, gdy dawał dyspozycje przy budowaniu wielkiego magazynu, spadł człowiek ze stropu, na który zaciągano belki, o krok od prezesa i nogę złamał. Był to ten sam, którego nie tak dawno dziadzio wybił. Widok ten przeraził prezesa i myśl jakaś sprawiedliwości wyższej, surowej i nieubłaganej, jak błyskawica przedarła się boleśnie przez jego głowę. Stał się więc jeszcze posępniejszym, bardziej irytującym się, chudł widocznie. Ale że to był człowiek jak najmniej duchowy, chociaż miał rozum i przebiegłość, im więcej się w nim odzywała dusza, a odzywała się i trwoga i straszącym głosem, tym więcej dogadzał swojemu ciału i chwilowym ukontentowaniem chciał zatłumić ciągłe szeptanie niespokojnego serca. Jadł więc wykwintniej, więcej i częściej niż dawniej, spijał najdroższe wina, odziewał się w kosztowne jedwabie i miękkim puchem starał się sen przywołać.

Raz, poniosłszy jakąś znaczną stratę, mocno zirytowany, siadł do obiadu; stół był zastawiony obficie i prezes, mimo próśb panny Kamilli, jadł i pił za czterech. Po obiedzie, z pełnym żołądkiem, z pełną głową, z bijącymi mocno pulsami i drżeniem gwałtownym serca, poszedł prezes do gabinetu i usiadł w swoim krześle. Głowa jego robiła się coraz gorętszą i w skro-

1) *Ekspens*: wydatkiem

niach czuł bicie, jak młotem. Wtedy zjawił się Szloma, któremu kazał przyjść zaraz po obiedzie. Ze zwykłym uśmiechem i elegancją wszedł żyd, ukłonił się i zapytał o zdrowie.

— Jezus Maria! — odpowiedział prezes — alboż ty nie widzisz, że mam się najgorzej? Schudłem okropnie, nieszczęśliwny mam apetyt i serce mi ciągle bije.

— Tego nie widać — odpowiedział żyd; — jaśnie wielmożny pan wygląda bardzo pięknie. A co się tyczy schudnięcia, to jaśnie wielmożnemu panu powiem, że to i lepiej. To jest znak zdrowia.

— Łzesz żydzie! — odpowiedział prezes. — Dla starego to nie znak zdrowia; to znak, że się zsuwa, opada, niknie, aż póki nie zaryją go w ziemię. Zwłaszcza, kiedy tak często krew uderza i w skroniach bije, jak młotami.

— Skąd jaśnie wielmożnemu panu takie smutne myśli przychodzą? — rzekł żyd z uśmiechem.

— Skąd? a skąd pochodzą wszystkie myśli, jeśli nie stąd i stąd — rzekł smutno prezes i ukazał na głowę i na serce. — Tu jest to, co pamięta dzień wczorajszy, a tu to, co przeczuwa jutrzejszy i drży przed nim. Ja czuję, że się zsuwam, że wkrótce pójdę z tego świata. Nic mi się już nie udaje: strata za stratą ostrzega, że mi już nie działać należy, ale rozpamiętywać, com zrobił. A gdy wspomnę na to wszystko, to serce strwożone i drżące przesyła krew do głowy, aby zjadliwe myśli zalała. — To powiedziawszy, wziął oboma rękami za skronie i mocno je ścisnął.

— Na co jaśnie wielmożnemu panu — rzekł Szloma z uśmiechem wżgardliwego politowania — dopuszczać sobie do głowy takie wyobrażenia? Prawda, poniósł jaśnie wielmożny pan straty znaczne, ale jakże się może obejść bez strat w gospodarstwo, chcę mówić, w gospodarstwie i handlu. A przy takim majątku, jaki jaśnie wielmożny pan ma, to kropla w morzu. Straty, to rzecz zwyczajna; dlaczego je uważać za jakies dopuszczenie lub karę?

— Dlaczego? dlaczego? — odpowiedział prezes — bo ja widzę palec Boży. Kiedy mi się spaliła gorzelnia, myślałem, że

to przypadek. Ale kiedy mi siostrzeniec nagle umarł, który mnie jeszcze bronił od tych przeklętych Starzyck'ch, kiedy ten sam chłop, którego nastawiłem, aby złapać i rozdrażnić starca z białą głową i uczciwym sercem, upadł o pół łokcia ode mnie i nogę złamał; to już nie był przypadek, nie! ty byś tak myślał, gdybyś miał sumienie, aleś ty szelma, żyd.

— A przecież ja nie chciałem — odpowiedział Szloma z pewną godnością — podejmować się żadnych intrygi, chcę mówić, intryg, przeciwko państwu Starzyck'im i jaśnie wielmożnemu panu radziłem nie podnosić ręki na nich, bo to ludzie zacni i uczciwi i im wyraźnie Pan Bóg błogosławi.

— A czemuś ty mi nie radził — rzekł prezes — abym i innych nie gnębił? Choć byli nierozumni i głupi, choć sami leżeli w s'dła, jak owce, ale zawsze to ludzie! Nie byłbym ich kusił, gdybyś mi był choć słowo powiedział. Aleś ty mi, huncwocie, pomagał, boś za to brał pieniądze. A teraz uśmiechasz się, kiedy mnie się głowa rozrywa i śpisz spokojnie, kiedy ja się przewracam na pościeli, jak potępieniec!

— Czyż to moja rzecz — odpowiedział żyd zawsze z uśmiechem — dawać jaśnie wielmożnemu panu lekcje moralności i miłości bliźniego? Mnie się zdaje, że jaśnie wielmożny pan powinieneś to być sam czuć doskonale i lepiej wiedzieć ode mnie, że kusić głupiego nie godzi się, że to wszystko jedno, co p'jakowi podawać ciągle wódkę, aby się na śmierć zalał, co przyprowadzić ślepego nad rów i kazać mu iść dalej, zachęcając, że tam już równa droga.

— A dlaczegoś — krzyknął prezes — nie gadał tak pierwej?

— Jaśnie wielmożny pan — odpowiedział Szloma, kłaniając się — dawał mi od każdego kupna dobry procent.

— O, ty niegodz wy szachraju! — zawołał i podniósł się z pięściami, ale upadł nazad na krzesło i znowu chwycił się za głowę.

Wtenczas przyniesiono list od pani Włodzimierzowej Podziemskiej. Usłyszawszy prezes to nazwisko, ożywił się cokolwiek, usiadł prosto, jak dawniej, i usiłując spleść ręce na brzuchu, kazał sobie list przeczytać.

Uwładamiała go pani Włodzimierzowa krótko i zimno, że znalazłszy kupca na dwie wsi, które się znajdowały w zakładzie u prezesa, sprzedała je, i że pieniądze, które mu winna, a które na tych wsiach były oparte, znajdują się złożone w sądzie głównym w Żytomierzu, gdzie transakcja przyjęta została do akt i gdzie dług swój wraz z procentami będzie mógł odebrać.

Był to cios silny, niespodziewany, i uderzył go jak piorunem. Nadzieja zagarnienia tych wiosek, po wyjściu bliskiego już terminu, była ostatnią pociechą prezesa, ostatnim polem, na które spodziewał się jeszcze wystąpić i odżyć, ostatnią deską, na której jego duma z zalewu niepowodzeń wyratować się miała. Widząc, że ją utracił, jęknął głęboko, oparł się o krzesło i uczuł, że mu się w głowie zmieszało i krew gwałtownie na mózg napłynęła.

— Jezus Maria! — zawołał — co się ze mną robi?

— Może jaśnie wielmożnemu panu doktoru? — rzekł żyd prędko.

Prezes nic nie odpowiedział, tylko trzymał się za głowę.

— To może jaśnie wielmożnemu panu księdzu? — dodał Szloma.

— Dobrze, dobrze, posyłaj — odpowiedział prezes, wstrząsnąwszy się na te słowa i zwracając na żyda twarz okropnie czerwona i wytrzeszczone oczy.

Wyszedł Szloma z gabinetu, i kazawszy posłać po księdza proboszcza do pobliskiego miasteczka i po doktora, sam wrócił prędko i udał się do panny Kamilli, dając jej znać, że ojciec mocno chory. Zbladła jak ściana, jakby jakimś przeczuciem uderzona biedna panienska i załamawszy ręce, zawołała: O! tom ja temu winna! — Gdy przyszli oboje do drzwi gabinetu, zastali je ze środka na klucz zamknięte. Ale zaledwie kilkanaście sekund upłynęło, usłyszeli wewnątrz pokoju ryk okropny, potem silne stuknięcie, jak gdyby co ciężkiego upadło.

W rozpaczy zaczęła panna Kamilla szarpać drzwi; żyd wypadł, wołając na cały dom ratunku, a gdy się zbiegli ludzie i wyłamali je, znaleziono prezesa na ziemi, z siną twarzą i bez życia. Widać uderzony był apopleksją. W ręku miał pióro

konwulsyjnie ściśnięte. Chciał zapewne pisać testament, bo na arkuszu, który leżał na stole, były te wyrazy, nadzwyczajnie nieczytelne i krzywo zaczęte: W Imię... w Imię przenajświęt... potem jakieś znaki zupełnie niewyraźne.

Próżne były wszelkie usiłowania i ratunek. Obcierano go, oblewano wodą, trzeźwiono; Szloma nawet krew mu puścił scyzorykiem, ale krew pokazywała się tylko kroplami i zastygła natychmiast. Wtenczas Szloma zostawił pannę Kamillę na kolanach i w rozpacz przy zwłokach ojca, a sam, przyzwawszy jednego z oficjalistów za świadka, pozbiierał i schował papiery i listy, i co tylko było na wierzchu, zamknął biuro, opatrzył zamki szuflad, szafek i szkatulek, i opieczętował wszystko starannie, oddał pieczęć pannie Beldeau, aby ją oddała pannie Kamilli, gdy się cokolwiek uspokoi. Tegoż samego oficjalistę wyprawił znowu do proboszcza z uwiadomieniem, że już nie spowiadać, ale chować przyjdzie; a sam wziąwszy z sobą starego pisarza, który wiedział czego potrzeba dla przygotowania pogrzebu, dla żałoby panny Kamilli i dworu, ruszył do Krzemieńca tejże nocy.

Gdy na trzeci dzień potem paradny orszak żałobny przeciągał przez Czaplińce, wyszli przed bramę państwo Starzyccy i dziadzio. Pan Starzycki smutno poglądał na zamknięte między kilku deskami piersi, którym tak ciasno było na obszernej dziedzinie; pani Starzycka patrząc na pannę Kamillę, idącą ze zwieszoną głową, z załamanymi rękoma za zwłokami ojca, płakała; a dziadzio zdjął czapczkę i modlił się za duszę człowieka, który mu dał chwilę rozpacz i tylko co nie przywiódł do zbrodni.

W parę dni po pogrzebie Szloma z polecenia panny Kamilli wyjechał do Starego Konstantynowa, a stamtąd do Żytomierza. Gdy we dwa tygodnie powrócił i oddał jej wszystkie papiery, których żądała, panna Kamilla, przejrawszy wszystko, rzekła:

— Winnam ci wiele podziękowania, Szloma!

— Czyż pani tego nie widzisz — odpowiedział żyd poważnie — jak mi miło pani służyć?

— Powiedziałaś ci kiedyś, że możesz polegać na wdzięczności mojej, i nie zawiedziesz się. Czy chcesz u mnie zostać?

— Ponieważ żyda trzeba zapłacić, bo on niczego innego nie wart — odpowiedział z godnością — to jeżeli się pani w czymkolwiek przysłużył, inszej nagrody nie żądam.

Spojrzała na niego panna Kamilla i nie postrzegła już owego ironicznego uśmiechu na pięknej jego twarzy. Stał wyprostowany, patrzył na nią z zajęciem i oczy jego przymglone nie błyszczały jak zwykle.

— Twoja Rachela nie prędko jeszcze pójdzie za męża? — zapytała panna Kamilla.

— Jeszcze nie mam nikogo — odpowiedział, komu bym mógł powierzyć to piękne dziecko, które tak kocham.

— Niechże nie wyjdzie — rzekła znowu zasmucona panna — póki nie wrócę.

— Pani prędko wyjeżdża?

— Jutro — odpowiedziała westchnawszy — i żądam od ciebie jeszcze jednej usługi. Ten list odesłesz do Trawisk, do jego siostry, a ten list i pakiet odwieziesz mu sam na Podole i oddasz do rąk. Wkładam na ciebie ten obowiązek dlatego, że pakiet zamyka w sobie ważne papiery, i boję się, aby nie przepadł, albo się gdzie nie zawieruszył. Powiesz mu, że zdrowa, że nieszczęście moje znoszę mężnie, że ufam, iż mi Bóg przebaczy, że zatrąła ostatnie dni życia mego ojca i zgon jego przyspieszyła. — Potem, otarłszy łzy mówiła po chwili dalej: Powtórz mu moją prośbę, aby nie rozpieczętował pakietu, chyba wtenczas, kiedy się dowie, że ciało moje nie wytrzymało wielkiego żalu, który mnie obarcza i że Bóg powołał mnie do ojca wcześniej, niżem myślała. Napisz mi, czy zdrów, ale on sam niech do mnie nie pisze. Co się tyczy ciebie, Szloma, to zostawię moje rozporządzenie temu, komu oddaję rząd mego majątku, póki nie wrócę.

— Więcej mi pani nic nie ma do polecenia? — rzekł żyd prawie rozrzewniony, wzięwszy list i pakiet.

— I owszem, mam — odpowiedziała — i rzecz taką, którą uważam za świętą dla siebie obowiązek, a nawet dla ciebie, Szloma.

— Cóż to proszę pani? — zapytał patrząc ciekawie.

— Dzieci powinny nie tylko modlić się za dusze rodziców, ale płacić ich długi, darować ich urazy i nagradzać krzywdy, które zrobili. Mój biedny ojciec niezupełnie czystą duszę zanosił przed sąd Boga. Byłabym jeszcze występniejszą córką, niż jestem, gdybym nie starała się nagrodzeniem krzywd, które zrobił, zmniejszyć jego winy i rozbroić surowość Sędziego, przed którym dziś stoi. Ty, Szlomo, pomagałeś mu w złym dziele, bądźże teraz moim pomocnikiem w dobrym. Jest to twój obowiązek i spełnisz go chętnie.

— Spełnię; tego pani możesz być pewna — odpowiedział żyd, patrząc na nią z podziwieniem. — Cóż mam robić?

— Dowiesz się o położeniu i stanie majątku tej wdowy z Żurawki, którą mój biedny ojciec procesował. Doniesiesz mi także, co się dzieje, gdzie się obracają, wiele i w jakim wieku mają dzieci ci wszyscy biedacy, którzy mieli w Czaplincach przytułek i kawałek chleba.

— Pani jesteś szlachetna istota — rzekł żyd ze łzą w oku. — Zrobię wszystko, co pani każesz; to się i dzieciom moim przyda.

To powiedziawszy rzucił okiem na krucyfiks, który stał obok panny Kamilli, spuścił oczy, potarł ręką po czole, odwrócił się i poszedł.

Na drugi dzień panna Kamilla z panną Beldeau pojechała do Lwowa, gdzie miała mieszkać przy ciotce, a tegoż samego dnia pan Hipolit Starzycki odebrał pakiet, w którym był klucz od pokojów jej ojca, naznaczenie go przez marszałka i sąd opiekunem i doradcą panny Kamilli, formalna plenipotencja na zupełne i bezwarunkowe zarządzanie jej majątkiem i list następujący:

„Nie mam nikogo na ziemi, kogo bym więcej szanowała i ceniła. Mam nadzieję, że i w sercu pana jest dla mnie uczucie przywiązania, pobłażliwości i opieki, jakie słaby i mimowolnie występny wzbudza w duszy silnej i sumiennej! Nie sądzą więc, abyś mi pan wziął za złe, że się rozporządziła bez jego wiedzy, i nie prosząc nawet pozwolenia, wyrobiła sobie, że pa-

na naznaczono moim opiekunem i doradcą. Jako pełnoletnia mam prawo z poradą pana rządzić moim majątkiem. I w tym żądam jego pomocy i posyłam na to formalną i bezwarunkową plenipotencję. Słaba i znękana, nie czuję się zdolną do wypełnienia tej powinności. Oto jest klucz od pokoiów mego ojca, na biurku przy oknie leżą inne kluczyki, z karteczkami odpowiadającymi numerom zamków i szuflad. Nie wiem dobrze, co jest w papierach, bom nie miała serca i cierpliwości wszystko przejrzeć. Zdarłam tylko kilka weksli ludzi niebogatych, które mi wpadły w ręce. Widać, że mój ojciec nie miał zamiaru upominać się o te długi, bo to weksle dość dawne. O! nie był on tak złym i ja tym występniejszą się czuję. Odeszlij pan zdarte weksle ich właścicielom; niech się modlą za jego duszę, i dla mnie także niech proszą o przebaczenie. Ile potrzeba będzie na ozdobę i uporządkowanie, według przyłączonego planu, grobowca mego ojca, na nakłady gospodarskie, na zapomożenie wieśniaków i przyprowadzenia ich do lepszego stanu, na to pan nie żałuj. Resztę dochodów oraz całą sumę złożoną w sądzie głównym przez panią Włodzimierzową, proszę zachować na użycie, które mi leży na sercu, a które mi może Bóg pozwoli przywieźć do skutku. Mnie proszę nic nie posyłać. Wzięłam z sobą dosyć, a czego mi nie dostanie, to mi da ciotka, u której mieszkać będę we Lwowie. Tu zostać nie mogłam. Gorzkie wspomnienia ciężkiej winy przeciwko temu, który mi dał życie, wypędzają mnie z domu. Więcej o nic pana prosić nie mam. Daruj mi tylko, że taki ciężar składam w ręce twoje bez wiedzy i zezwolenia. Żegnaj pana z sercem pełnym czci i uszanowania. Proszę pozdrowić ode mnie żonę i matkę, której nie znam, ale którą mam ważne powody pokochać. Dziadzi ręce całuję. Niech przebaczy memu ojcu i modli się za jego duszę. Tego się spodziewam po szlachetnym sercu starca, którego cała rodzina uwielbia. Do Anulki pisałam i pożegnałam ją. Jemu przesłałam także kilka słów pożegnania. Jeżeli umrę wcześniej, niżby mój wiek i siły spodziewać się kazały, ostatnia wola moja znajduje się w jego ręku. Winnam mu wiele, bardzo wiele! i dług mój dla niego jest świętym“.

W pierwszym postrskrypcie był adres do Lwowa, a w drugim, co następuje: „Szłomę racz pan zostawić na miejscu. Mam mu wiele do zarzucenia, ale winnam mu także wdzięczność za ważne przysługi. Jest to piękna i wyższa natura, którą okoliczności i złe użycie zużyło. Byłby to człowiek znakomity, gdyby był chrześcijaninem. O tym jestem zupełnie przekonana”.

XVI

Przechodziły tygodnie i miesiące. Panna Kamilla mieszkała we Lwowie u ciotki. Zawsze czarno ubrana, nie robiąca żadnych znajomości, do czego jej dom pobożnej i samotnej staruszki doskonale pomagał, co dzień przepędzała parę godzin w kościele; zresztą zajęta pracą, rozmyślaniami i wyszukiwaniem biednych, którzy jedni z całego miasta znali ją i oczekiwali jak anioła pocieszyciela.

Pan Józef mieszkał zawsze na Podolu. Pracował, uczył się, a gdy go tęsknota ogarnęła, gdy obawa i niepewność przeważała nadzieję, jaką się tajemnie karmił, wtenczas brał rękopism ojca i w nim czerpał siły i pociechę. Na wilią Bożego Narodzenia przyjechał do rodziców, jako w dzień uroczysty dla całej familii, w który wszyscy, dawnym obyczajem, musieli być obecni. Wtenczas odwiedził Szyszkowce, i z sercem na nowo rozranionym widokiem tego miejsca powrócił do domu.

Już przy końcu stycznia nagrobek marmurowy, przywieziony z Odessy, stał na cmentarzu parafialnego kościółka. Ob rzucały go nagimi dziś gałęziami bzy, dawniej przez kogoś posadzone, wśród których proboszcz naznaczył miejsce zwłokom prezesa i okrażały go sztachety żelazne z drzwiczkami na kluczyki zamykanymi. Jak tylko robota ta była skończona, doniósł o tym pan Starzycki pannie Kamilli, zdając jej oraz sprawę z postępów gospodarstwa i stanu majątku. Pracował on wiernie, przyprowadził wszystko do porządku, zajmował się poddanymi, niósł im ulgę i pomoc i każdej niedzieli dziedziniec jego

był pełen ludzi, z których jedni przychodzili dziękować, a drudzy prosić.

Ze swojej strony Szloma także nie zależał pola i już w połowie lutego panna Kamilla odebrała najdokładniejszą wiadomość o wszystkich dawniejszych dziedzicach Czapliniec. Z niej dowiedziała się, że niektórzy pobrali dzierżawy na kontraktach w Dubnie, inni dostali miejsca ekonomów, a panowie Zarzycki i Cepowski miejsca rządców w kluczach możnych panów, ich zaś synowie przyjęci zostali do służby rządowej; że z tych pan Płachta najgorzej wyszedł, bo nie przestawał żyć komiflo i prawie ostatkiem gonił; że oprócz dwóch córeczek owej wdowy z Żurawki, było wszystkiego panienek dorosłych i mniejszych dziesięć, a wszystkich chłopczyków, potrzebujących już szkół i jeszcze małych, szesnastu.

Przy końcu listu Szloma umieścił te słowa: „Wypełniłem rozkaz pani z największą akuratnością. Domyślając się celów pani więcej zająłem się dziećmi, niż rodzicami, i tych spis dokładny, z oznaczeniem lat każdego, przyłączam. Niech pani jeszcze co każe. Im więcej myślę nad przeszłością, tym więcej pragnę rozkazów pani. Ja czuję, że nie był stworzony do szachrajstwa i mógłbym być czym innym się zając.

„Pana Józefa widziałem niedawno. Był u rodziców na świętach. Smutny jest, ale zdrow. Mało mówiliśmy o pani, bo jemu lży przeszkadzają a on mężczyzna, wstydzi się płakać przy żydzie. Gdyby wiedział, coś pani ze mnie zrobiła, to by tak nie myślał”.

W miesiąc potem pan Starzycki odebrał od panny Kamilli list, w którym dziękuję mu za wszystko, co dla niej robił i robi i prosi o wypełnienie poleceń, które mają ulżyć jej sercu, co jej podadzą nadzieję przebaczenia, co może rozjaśnia jej duszę nadzieją szczęścia. Prosi go więc naprzód, aby dwie córeczki wdowy z Żurawki, chorej i skrzywdzonej przez dziedzica, u którego trzymała posesję, Anulka wzięła do siebie, póki ona nie wróci i nie zajmie się ich wychowaniem i wyposażeniem sama. Matce zaś żeby dał jeden z dworków w Czaplinicach i naznaczył jej ordynarię. Po wtóre: aby rodziców panienek wymie-

nionych w przyłączonym spisie, uwiadomił w jej imieniu i upewnił formalnie, że każda z nich będzie miała po piętnaście tysięcy posagu, które odebrać może zaraz po ślubie. Po trzecie: aby uwiadomił rodziców wszystkich w spisie wymienionych chłopczyków, że począwszy od lat dziesięciu aż do skończenia edukacji, naprzód w gimnazjum rówieńskim ¹⁾, a potem w uniwersytecie kijowskim, naznacza na każdego z nich tysiąc dwieście złotych rocznie; że to utrzymanie nawet na przypadek jej śmierci zabezpieczonym dla nich zostanie.

Pan Starzycki wykonał święcie polecenia, tak zgodne i z jego sercem i przekonaniem, i przesłał jej o wszystkim wiadomość, oraz pakiet listów, w których wszyscy, rodzice i dorosłe już panny, wynurzali jej wdzięczność za takie dobrodziejstwo, i przyrzekali modlić się za duszę jej ojca, i prosić Boga, aby jej dał pokój i szczęście. Przeczytawszy to wszystko panna Kamilla kazała odprawić w ustronnym kościółku mszę żałobną, całą mszę leżała krzyżem i modliła się gorąco, a gdy ją ksiądz błogosławił i wodą święconą pokropił, powstała spokojniejsza i jakby odrodzona. Zdawało się jej, że słońce inaczej świeci, że świat boży inaczej wygląda, że na nim jest jeszcze nadzieja, że radość i szczęście mogą jeszcze mieszkać na ziemi. Odtąd i rumieniec zaczął na twarz jej powracać, i dawniejszy uśmiech ozdabiał niekiedy jej śliczne usta. Z wielką pociechą patrzyła na to panna Beldeau, która się serdecznie nudziła, ale przez przywiązanie do panny Kamilli nigdy jej tego poznać nie dała.

Dobrodziejstwa heroiny naszej prędko się rozgłosiły i miały pożądaną skutek. Pan Remigiusz i pan Paweł Smyczkowski, dowiedziawszy się o posagu panien Płachcianek, pogodzili się z sobą i obaj, z lewej strony pokręcając węża, na znak zgody i ukontentowania zajechali przed dom pana Płachty, który nie znalazł dla siebie wygodnej posesji i żył tymczasowo w miasteczku, uważając to za rzecz bardziej komilfo. Pan Płachta, jako dyplomata, czytał gazety, pani Płachcina siedziała na kanapie, obok niej obie panny, a naprzeciwko siedział pan Jakub,

1) Równy — na Podolu; w mieście tym było po r. 1831 gimnazjum.

grał na gitarze i śpiewał: Te brzóz kilka. Zacerwieniły się panienki, obaczywszy panów Smyczkowskich, i krzyknęły obie. Krzyk ten przerwał śpiew pana Jakóba w miejscu najpatetyczniejszym ¹⁾, to jest w połowie wyrazu: Lucyna. Wszakże nie gniewał się o to były czapliniecki Orfeusz, bo tegoż samego wieczoru nastąpiło oświadczenie, a we trzy tygodnie potem, gdy pan Remigiusz przywiózł z Łucka indult ²⁾ i dyspensę ³⁾ biskupa dla dwóch sióstr, wychodzących za dwóch braci, odbył się ślub solennie i o tyle komilfo, o ile stawało funduszów. Wszakże pani Birucka, która mieszkała o sześć mil od państwa Płachtów, upewniała pod sekretem i ruszając ramionami, że wszystkie koszta na wyprawę i ślub łożył tajemnie pan Jakub pod pretekstem pożyczki.

Po ślubie pan Remigiusz z żoną i pan Paweł z żoną pojechali do pana Starzyckiego, który im wypłacił natychmiast trzydzieści tysięcy.

Gdy ta wiadomość gruchnęła po okolicy i gdy się przekonano, że to nie prosta obiecanka, ale że nie żartem wypłacają posąg gotowizną i natychmiast, rzucono się do pozostałych jeszcze pięciu panienek, z których jednak panna Birucka starsza wyszła za pana Zarzyckiego, młodego, a młodsza panna Birucka została panią Cepowską. Inne znalazły sobie także mężów, a niektóre nawet dobre partie. Niektórzy nawet na dwie małe córeczki państwa Skrętskich i na córeczkę państwa Poryczkowskich obrócili oczy i postanowili na nie czekać.

Z chłopczyków sześciu zaczęło edukację: dwóch pana Zarzyckiego, jeden pana Cepowskiego i trzech drobniejszej jeszcze szlachty. Inni czekali dziesiątego roku. Tych sześciu pan Starzycki sam odwiózł do Równa, oporządził i ulokował. Wszystkim zaś młodym mężatkom, którym oddawał posagi, wszystkim dzieciom, na które nadziewał mundury szkolne, wrażał w pamięć, aby nie zapomniały, z czyich rąk odbierają.

1) *Patetyczny*: porywający uczuciem, wzniósły, czuły.

2) *Indult*: pozwolenie na odbycie ślubu po jednorazowych zapowiedziach.

3) *Dyspenza*: zwolnienie od przepisu (siostry wychodzące za dwu rodzonych braci potrzebowały dyspenzy).

tak wielkie dobrodziejstwo, że szlachetna kobieta, która je świadczy, innej wdzięczności nie wymaga, jak codziennej modlitwy za duszę jej ojca.

Tymczasem mijały tygodnie i miesiące, przeszło lato i jesień uchodziła. W połowie października, właśnie w rocznicę tego dnia, kiedy panna Kamilla poznała pana Józefa, wychodząc z fary, postrzegła przed kościołem podróżną karetę. Wsiadł z niej młody człowiek niewielkiego wzrostu, ale czerstwej i przystojnej twarzy. Ozdabiały ją ładne wąsy, gęste włosy wychodziły spod podróżnej czapeczki, a we wszystkich jego ruchach była jakaś pewność i żywość. Za nim wysiadła młoda, ładna blondynka, ze śmiejącym się i uszczęśliwionym licem. Podał jej obie ręce ów młody człowiek i pomagał wysiadać z karety, z której ona z żywością i uśmiechem wyskoczyła. Za nimi wysiadł trzeci mężczyzna, przyzwoicie ubrany, w czamarcie nowej i militarnie zapiętej, wąs miał rudawy i cokolwiek siwiejący, czapczkę na uchu i we wszystkich jego ruchach widać było dawnego wojskowego. Gdy młoda para, wzięwszy się pod ręce, poszła do kościoła, furman rzekł do owego pana, który wysiadł ostatni:

— Proszę pana, czy mam tu czekać?

— A jużci, tu mosanie, póki państwo nie wyjdą z kościoła.

— A jak nas stąd spędzą? — zapytał furman.

— Ej, pluń na to mosanie — odpowiedział wojak; — będziesz mi się bał Niemca z laską i rzemykiem. Małoś ich widział? Zjadłby mi sto diabłów, który z moich... — mrucał potem do siebie pan Siodłowski, którego zapewne czytelnicy poznali i poszedł do kościoła.

Uderzona znajomą sobie twarzą, chociaż nadzwyczajnie zmienioną, zatrzymała się z boku panna Kamilla, i gdy pan Siodłowski się oddalił, posłała lokaja do ludzi zapytać, czyja to kareta i kto ta pani. Dowiedział się człowiek, że to powóz pana Henryka Podziemskiego, że ta pani to jego żona, i że wracają do matki na Wołyń. Serdecznie ucieszyła się tą wiadomością panna Kamilla i podziękowała Bogu, że i ten ciężar spadł z jej sumienia.

Pan Henryk, wyjeżdżając z domu, wziął z sobą Siodłowskiego na usilne prośby matki i dla jej uspokojenia. Przejechał Lwów i udał się prosto do Wiednia. Tam osiadłszy, z wielkim nieukontentowaniem pana Siodłowskiego, który nie wiedział, co robić między Niemcami, zaczął życie twarde, pracowite i oddane wszelkiego rodzaju ćwiczeniom. Miał dwóch nauczycieli: jednego literatury, drugiego historii; wstawał o godzinie piątej, spał na twardym materacu, wyrzuciwszy niemieckie piernaty; co dzień chodził do zupełnego umęczenia, fechtował się, uczył się strzelać, jeździć konno, i w szkole pływania był najzawziętym uczniem. Wspomnienie upokorzeń, których doznał, dodawało mu wytrwałości, a widoczne wzmaganie się sił, zręczności i śmiałość, których mu stopniami przybywało, obudziły wrodzoną odwagę i energię, które pierwotna edukacja uderzyła letargiem. Po roku takiej pracy zwiedził brzegi Renu, obszedł piechotą Szwajcarię i wrócił do Galicji, do krewnych, których miał w stanisławowskim cyrkułe. Tam poznał kuzynkę niezbyt bogatą, ale żywą, ładną, której się podobał. Ucieszony tym szczęściem, którego w chwilach rozpaczny nigdy się już nie spodziewał, aby się podobać kobiecie miłej i edukowanej, przystał do niej sercem i duszą, i otrzymawszy pozwolenie matki, ożenił się. Właśnie teraz wracał do domu, zdrów, śmiały i szczęśliwy, nie wiedząc o tym, że przechodził pod bokiem tej, która pierwsza obudziła w nim to uczucie poniżenia, w jakim znajdował się, i w którym byłby prędko zginął, gdyby jej wzrok, pełen siły i życia, nie padł na niego, jak ożywiający promień słońca na roślinę bliską zwiędnięcia.

I znowu przechodziły tygodnie i miesiące i zima się skończyła. Gdy przyszła wiosna, gdy się wszystko okryło zielonością, gdy ptaki śpiewały miłość, gdy kwiaty zwracały się ku sobie, gdy w powietrzu pełnym woni wszystko powoływało istoty żyjące do szczęścia i radości panna Kamilla poczuła nieogarnioną tęsknotę i zabrawszy się jednego wieczoru po nieszporach, gdy się poradziła z Bogiem, nazajutrz wyjechała.

Dziadzio właśnie stał na ganku, w popielatej czapeczce na bakier, z toporkiem w ręku, gdy zajechała karetą, i panna Ka-

milla, w czarnej jeszcze sukni, z niej wyskoczyła, rzuciła się w jego objęcia, zaczęła ręce jego całować. Płakał pocziwy starzec, ścisnął ją i zaniósł prawie na rękach do pokoju. Nie będziemy opisywać przywitania jej z resztą rodziny, bo to są chwile święte, których nie godzi się profanować słowami. Dodamy tylko, że babunia przez cały czas nie puszczała jej od siebie. Trzymała jej rękę i wpatrywała się w tę twarz czarującą, na której zostały ślady cierpienia, głębszych refleksyj, a czyniącą ją poważniejszą, niż była, jeszcze ją piękniejszą robiły.

Nazajutrz pan Starzycki przybył do Szyszkowiec i, zdawszy jej sprawę ze stanu majątku i interesów, chciał jej zdać cały zarząd, który przez półtora roku sprawował. Ale panna Kamilla uprosiła go, aby to odłożył na potem, że jeszcze jej serce i głowa potrzebują wytchnienia i że niezdolna niczym się zająć. Tak przeszły dwa tygodnie na odpoczynku, na odwiedzaniu państwa Starzyckich w Czaplincach i na rozmowach, a niekiedy i na szeptach z babunią.

W połowie maja, już po dziesiątej wieczorem, na cmentarzu parafialnym kościółka, stał oparty o kraty grobowca mężczyzna czarno ubrany i patrzył na pływający po niebie księżyc, który co chwila chmury zakrywały. Wtem posłyszał szelest i spostrzegł zbliżającą się osobę w żałobie i z zakrytą twarzą. Przystąpiła do niego spokojnie, podała mu rękę i otworzywszy drzwi, weszła z nim razem. Tam uklękli oboje i modlili się długo. Klony szumiały nad ich głowami, bzy rozkwitające błękitnymi kitami dotykały ich ramion, a księżyc, uwalniając się od chmur, które stopniami uciekały, zawisł nad nimi na czystym i błękitnym niebie. Po dwóch godzinach klęczenia wyszli. Ona zamknęła kratę, podała mu znowu rękę i poszła. On został jeszcze przez czas niejaki na miejscu, i także zwolna się oddalił.

Nazajutrz państwo Starzyccy odebrali bilecik od panny Kamilli, że jutro o godzinie jedenastej czeka ich wszystkich u siebie i że prosi na wszystko, aby i babunia nie odmawiała jej tego szczęścia i przyjechała także, że przyszłe po nią karete i spokojne konie, żeby jej było wygodnie i bezpiecznie. Babunia

uśmiechnęła się jakoś nieznacznie i przyrzekła, a posłaniec powrócił galopem.

Gdy na drugi dzień o godzinie jedenastej dziadzio, babunia wystrojona i wyświeżona i państwo Starzyccy weszli do pokoju w Szyszkowcach, zastali tylko pannę Beldeau, która ich przyjmowała, oświadczając, że panna Kamilla zaraz wyjdzie. Wkrótce zjawili się kilku oficjalistów, którzy także byli wezwani. Po chwili przybył i ksiądz proboszcz i przywitał wszystkich, nic nie mówiąc po co przyjechał; pan Starzycki, widząc to chodził niespokojny i tarł ręką czoło, a babunia nieznacznie się uśmiechała. Nareszcie otwarły się drzwi od bocznego pokoju, i wyszła panna Kamilla w białej sukni, z mirtem na głowie i z woalem. Nie miała na sobie żadnych ozdób, nie miała brylantów, jaśniała tylko poważną i dziwną pięknnością. Prowadził ją pan Ignacy. Za nią szedł pan Józef ze spuszczonej oczyma, którego prowadziła Anulka.

Gdy wszyscy byli zadziwieni tym widokiem i uderzeni wdziękami obojga, podała rękę kochankowi panna Kamilla i uklękła z nim razem przed babką.

— Ty pobłogosław najpierwsza — rzekła rozrzuwniona panna — on twój.

Pobłogosławiła ich staruszka ze łzami, dziadzio przyłączył swoje błogosławieństwo. wtenczas panna Kamilla, zwracając się do pana Starzyckiego, który stał zamyślony, rzekła:

— Ojczy! bałam się twoich skrupułów i dlatego ten sekret przed tobą. Twoja matka wiedziała o wszystkim i pobłogosławiła. Daruj ty jemu i mnie i pobłogosław. Myśmy dużo cierpieli, długo walczyli i należy nam się cokolwiek szczęścia na ziemi. Proś za nami, mamó!

To powiedziawszy, upadli oboje na kolana przed rodzicami. Zwyciężony pan Starzycki, położył rękę na ich głowach i rozrzuwnionym głosem rzekł:

— Widać taka była wola Stwórcy. Niech wam da szczęście, boście go warci oboje. — Matka także żegnała ich, płacząc. Otrzymawszy błogosławieństwo wszystkich, weszli do sali, gdzie był przybrany ołtarz, przy którym stał już proboszcz.

Po skończonej ceremonii, pani Józefowa, obracając się do męża i podając mu obie ręce: — Józiu mój — rzekła — teraz razem do śmierci tu, a może Bóg da, razem i tam.

Objął ją uszczęśliwiony mąż, przycisnął do serca i tak się wszystko skończyło.

Odtąd zgoda, miłość i pokój panują w tym domu. Kwitnie majątek, swawolą prawnuczki, rosną dziatki wyposażonych panienek, uczą się chłopczyki i poddani błogosławią, bo szczęście wysłużone walką, bo dobrymi czynnościami wyproszone przebaczenie za winy przodka, serca młodych małżonków oczyszczone od próżności, bo umiarkowanie i rozum ojca kieruje ich szlachetnymi popędami, a modlitwy dziadzia i babuni ciągle się nad nimi unoszą.

K O N I E C.

